

BROWN SANDRA

LOKATOR

Ella Barron, młoda, zdeterminowana wdowa, codziennie walczy o utrzymanie niewielkiego pensjonatu i bezpiecznego spokoju, jakiego potrzebuje jej chory synek.

Za namową znajomego przyjmuje nowego lokatora, Davida Rainwatera, który budzi w niej uczucia, o jakich dawno zapomniała.

Jednak ludzka podłość i okrutny los stają na drodze do szczęścia.

Prolog

- Czy ten zegarek kieszonkowy jest przypadkiem na sprzedaż?

Staruszek uniósł głowę. Kobieta, która pytała o jego zegarek, nachylała się nad rozdzielającą ich gablotą z tabakierami, szpilkami do kapelusza, brzytwami z rączką z kości słoniowej, solniczkami z misternymi srebrnymi łyżeczkami oraz z różną biżuterią, zdobytą niedawno na wyprzedaży dóbr pewnej posiadłości.

Ona jednak nie odrywała wzroku od zegarka.

Oceniał ją i jej męża na czterdzieści kilka lat. Złoty chronometr prawdopodobnie wydawał im się wytworny, staroświecki, niczym z ilustracji Rockwella. Szykownie ubrani, jakby właśnie wyszli z country klubu, szczupli i opaleni, tworzyli miłą dla oka i dobraną parę - on był równie przystojny, jak ona atrakcyjna.

Przyjechali eleganckim SUV-em, który zupełnie nie pasował do zakurzonego zwirowanego parkingu przed antykwariatem. W ciągu pół godziny, jakie spędzili w sklepie, zainteresowali się kilkoma rzeczami z tego, co miał do zaoferowania. Wszystko, co postanowili kupić, było wysokiej jakości. Sądząc z ich wyglądu, mieli wyszukany gust.

Kiedy klientka zadała pytanie o zegarek kieszonkowy, staruszek wystawiał właśnie paragon na zakupy. Położył rękę na kamizelce, tam gdzie spoczywał chronometr, i uśmiechnął się.

- Nie, proszę pani. Nie mógłbym się z nim rozstać. Cechowała ją pewność siebie ładnej kobiety, która przywykła do tego, że urzeka ludzi uśmiechem.

- Za żadną cenę? Takich zegarków kieszonkowych jak ten już się nie widuje. Te nowe wyglądają na... no właśnie, na nowe. Błyszczą się jak, nie przymierzając, tandetne podróbki, przyzna pan? Taka patyna jak na pańskim zegarku przydaje charakteru.

Jej mąż, który szperał na półkach z książkami, dołączył do nich przy ladzie. On również pochylił się nad gablotą, żeby z bliska lepiej ocenić kunsztowną konstrukcję zegarka.

- To dwudziestoczworokaratowe złoto?

- Tak przypuszczam, chociaż nigdy nie oddałem go do sprawdzenia próby.

- Kupiłbym go bez ekspertyzy - oświadczył mężczyzna.

- Nie zamierzam go sprzedawać. Przykro mi.

Antykwariusz schylił się nad gablotą i wrócił do mozolnego podliczania ich zakupów. Reumatyzm w palcach czasami bardzo utrudniał mu pisanie, ale w sklepie z antykami nie ma przecież miejsca dla komputera. A zresztą nie ufał takim wynalazkom. Rachował w staroświecki sposób, uzyskując sumę z dodawania liczb w kolumnach.

- Razem z podatkiem wychodzi trzysta sześćdziesiąt siedem dolarów i czterdzieści jeden centów.

- Bardzo godziwa cena. - Mężczyzna wyciągnął mały portfel ze skóry aligatora, a z niego kartę kredytową i pchnął ją po gablocie. - Proszę doliczyć dwie butelki evian.

Ruszył do eleganckiej lodówki ze szklanymi drzwiami. Ona też nie pasowała do antykwariatu, sprzedawca poszedł jednak na drobne ustępstwo na rzecz nowoczesności, ponieważ klienci, których akurat dopadło pragnienie, dłużej szperali w sklepie, jeśli mogli się napić na miejscu.

- Na koszt firmy - powiedział. - Proszę się częstować.

- To miło z pańskiej strony.

- Stać mnie na gest - rzucił staruszek z uśmiechem. -To moja największa transakcja w tym tygodniu.

Mężczyzna wyjął z lodówki dwie butelki wody, podał jedną żonie i podpisał pokwitowanie transakcji.

- Wielu klientów zjeżdża tu do pana z autostrady? Właściciel sklepu przytaknął ruchem głowy.

- Owszem, ci, którym nieszczególnie się śpieszy.

- Zauważyliśmy pańską reklamę na billboardzie -wyjaśniła kobieta. - Zwróciła naszą uwagę, więc bez namysłu postanowiliśmy tu zajrzeć.

- Wynajęcie tego billboardu kosztuje mnie sporo, jak zresztą każdej reklamy zewnętrznej. Miło wiedzieć, że odnosi skutek. - Zaczął ostrożnie zawijać zakupy w bibułkę.

Mężczyzna rozejrzał się po sklepie i zerknął na parking, pusty, jeśli nie liczyć jego paliwożercy.

- Wychodzi pan na swoje? - zapytał z powątpiewaniem.

- Od biedy. Prowadzę ten sklep z zamiłowania, nie dla zysku. Zapewnia mi aktywność i gimnastykę umysłu. Dzięki niemu mam co robić na emeryturze.

- A wcześniej czym pan się zajmował?

- Tekstyliami.

- I zawsze interesował się pan antykami? - spytała kobieta.

- Nie - przyznał z zakłopotaniem. - To - uniósł ręce, omiatając sklep - przydarzyło się niespodziewanie, jak większość rzeczy w życiu.

Kobieta przysunęła sobie wysoki stołek i usiadła.

- Odnoszę wrażenie, że kryje się za tym jakaś historia.

Staruszek uśmiechnął się, zadowolony, że wzbudził ciekawość klientki. Miał okazję uciąć sobie pogawędkę.

- Przez lata meble z domu mojej matki leżały w magazynie. Po przejściu na emeryturę, kiedy miałem czas, żeby przejrzeć jej rzeczy, zdałem sobie sprawę, że większość z nich do niczego mi się nie przyda, ale inni mogą mieć z nich pożytek. Wobec tego zacząłem sprzedawać porcelanę i różne bibeloty. Po trochu, na weekendowych pchlich targach. Nie miałem w tym kierunku żadnych ambicji, okazało się jednak, że jestem całkiem niezłym handlarzem. Wkrótce przyjaciele i znajomi zaczęli mi wstawiać różne graty w komis, żebym je sprzedał. I ani się obejrzałem, jak zabrakło mi miejsca w garażu, więc musiałem wynająć ten budynek.

Pokręcił głową i zachichotał.

- Tak więc zostałem sprzedawcą antyków przez przypadek. Ale mi się spodobało. - Posłał im szeroki uśmiech. - Mam zajęcie, mam pieniądze na różne swoje wydatki, a poza tym spotykam takich miłych ludzi jak państwo. Skąd jesteście?

Powiedzieli mu, że są z Tulsy i wracają po długim weekendzie z San Antonio, gdzie grali z przyjaciółmi w golfa.

- Nie musimy być w domu o jakiejś konkretnej porze, więc kiedy zobaczyliśmy pańską reklamę, postanowiliśmy się zatrzymać i zajrzeć. Kupujemy antyki i rustykalne meble do naszego domu nad jeziorem.

- Cieszę się, że państwo wpadli. - Podał kobiecie firmową wizytówkę z nazwą sklepu. - Gdyby jednak skusiła się pani na tę wazę od Spode'a, którą tak długo pani oglądała, proszę dzwonić. Prowadzę też sprzedaż wysyłkową.

- Kto wie. - Przesunęła palcem po wytłoczonej na wizytówce nazwie i odczytała na głos: - „U Solly'ego”. Niecodzienne imię. A może to nazwisko?

- Imię. Zdrobnienie od Salomona, tego mądrego króla ze Starego Testamentu. - Uśmiechnął się markotnie. - Często się zastanawiam, czy matka nie żałowała takiego wyboru.

- Już po raz drugi wspomina pan o matce. - Uśmiech kobiety był cieplejszy, a nawet jeszcze ładniejszy, kiedy nie używała go po to, żeby postawić na swoim. - Na pewno byliście bardzo życzliwi. Bo cóż... zakładam, że ona już nie żyje.

- Umarła pod koniec lat sześćdziesiątych. - Uświadomił sobie, że dla tej pary to zamierzchłe czasy. Wtedy chodzili pewnie w pieluchach. - Byliśmy z matką bardzo zżyci, to prawda. Wciąż za nią tęsknię. To była śliczna kobieta.

- Pochodzi pan z Gilead?

- Tutaj się urodziłem, w wielkim żółtym domu należącym do dziadków ze strony matki.

- Ma pan rodzinę?

- Żona zmarła osiem lat temu. Mam dwoje dzieci, syna i córkę. Oboje mieszkają w Austin. Obdarzyli mnie szóstką wnuków, najstarszy z nich wkrótce się żeni.

- A my mamy dwóch synów - powiedziała kobieta. - Studiują na uniwersytecie stanowym w Oklahomie.

- Dzieci to czysta radość.

Kobieta parsknęła śmiechem.

- I spore wyzwanie.

Jej mąż przysłuchiwał się tej rozmowie, jednocześnie oglądając zbiór książek na półkach.

- To są pierwsze wydania.

- A wszystkie z autografem i w znakomitym stanie -dorzucił staruszek. - Kupiłem je niedawno na wyprzedaży dóbr w pewnej posiadłości.

- Imponująca kolekcja. - Mężczyzna przesunął palcem po grzbietach stojących rzędem książek. - *Z zimną krwią* Trumana Capote'a. Steinbeck. Norman Mailer. Thomas Wolfe. - Z szerokim

uśmiechem odwrócił się do właściciela sklepu. - I po co ja chowałem kartę kredytową?

- Przyjmuję również gotówkę.

Klient się roześmiał.

- W to nie wątpię.

- Za wszystko z wyjątkiem pańskiego zegarka kieszonkowego - dodała jego żona.

Staruszek wyciągnął dewizkę przez dziurkę w kamizelce i położył zegarek we wgłębieniu dłoni. Nie późnił się ani o sekundę od dnia, gdy go ostatnio nakręcił. Z upływem czasu biały cyferblat pożółknał, ale to lekkie odbarwienie sprawiało, że wyglądał jeszcze wspanialej. Czarne wskazówki były cienkie jak nici pajęczyny. Dłuższa miała zakończenie w postaci ostrej strzałki.

- Nie oddałbym go za żadną cenę, proszę pani.

- Czyli jest dla pana bezcenny - powiedziała cicho.

- I to dosłownie.

- Ile ma lat? - zapytał jej mąż.

- Nie wiem dokładnie - odparł właściciel sklepu. - Ale nie ze względu na wiek ma dla mnie takie znaczenie.

Odwrócił go cyferblatem w dół, żeby mogli przeczytać napis wygrawerowany na spodzie złotej koperty.

- Jedenasty sierpnia tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego roku - odczytała kobieta na głos, po czym spojrzała na antykwariusza.

- Czy to pamiątka z okazji jakiegoś wydarzenia? Rocznicy? Urodzin? Czegoś wyjątkowego?

- Wyjątkowego? - powtórzył staruszek z uśmiechem. - Raczej nie. Ale czegoś bardzo niezwykłego.

Rozdział pierwszy

Budząc się z rana, Ella Barron nie przeczuwała, że będzie to tak doniosły dzień. Jej snu nie zakłóciło żadne przecucie. Nie zanosilo się na zmianę pogody, nie obudziły jej też gwałtowne skoki ciśnienia ani żaden niezwykle dźwięk.

Tak jak zazwyczaj, wybiła się ze snu stopniowo, pół godziny przed świtem. Ziewnęła i przeciągnęła się, szukając stopami chłodnego miejsca pod kołdrą. Chętnie by przysnęła jeszcze na chwilę, ale to nie wchodziło w rachubę. Taki luksus nigdy by jej nie przyszedł do głowy. Miała obowiązki, zadania, od których nie mogła się wymigać ani których nie mogła odłożyć. Leżała w łóżku tylko dopóty, dopóki nie przypomniała sobie, jaki to dzień tygodnia. Dzień prania.

Szybko zasłała łóżko i zajrzała do Solly'ego, wciąż pogrążonego w głębokim śnie.

Ubrała się sprawnie, jak zawsze. Nie miała czasu się malować, pośpiesznie zwinęła więc długie włosy w kok, umocowała go szpilkami i wyszła z sypialni do kuchni; poruszała się cichutko, żeby nie obudzić pozostałych domowników.

Tylko o tej porze dnia w kuchni panowała cisza i było chłodno. Później coraz bardziej nagrzewała się od pieca, a przez siatkowe drzwi i okno nad zlewem wnikał panujący na dworze upał. Poza tym dodatkowym źródłem ciepła była własna energia Elli.

Proporcjonalnie do wzrostu temperatury nasilał się także hałas, więc gdy nadchodziła pora kolacji, kuchnia - serce domu - pulsowała własnym życiem i zapadała w chłodny spoczynek dopiero wtedy, kiedy Ella gasiła górne światło, przeważnie kilka godzin po tym, jak jej pensjonariusze udali się do siebie.

Tego ranka nie usiadła, żeby nacieszyć się względnym chłodem i ciszą. Włożyła fartuch, rozpałała pod piecem, nastawiła kawę i zaczęła wyrabiać ciasto na bułeczki. Margaret zjawiała się punktualnie, zdjęła kapelusz i powiesiła go na kołku na drzwiach, z wdzięcznością wzięła od Elli blaszany kubek posłodzonej kawy i znów wyszła, żeby napełnić pralkę wodą w oczekiwaniu na pierwszą porcję prania.

Perspektywa zakupu pralki elektrycznej była tak odległa, że Ella nawet o niej nie śniła. W przewidywalnej przyszłości wciąż będzie się musiała obywać przestarzałym modelem z wyzmaczką na korbę, który niegdyś należał do jej matki. Mydliny i woda po płukaniu spływały z balii do rowu biegnącego obok komórki, w której stała pralka mechaniczna.

Latem, tak jak tego dnia, już w południe w komórce panował zaduch. Za to zimą mokre pranie wydawało się cięższe, bo obtarte dłonie grabiły z zimna. Dni prania o każdej porze roku napawały lękiem. Zanim zapadnie zmrok, Elli będzie pękał krzyż.

Smażyła akurat bekon, gdy do kuchni przyplątał się Solly, wciąż jeszcze w piżamie. Śniadanie podawano o ósmej.

Do dziewiątej wszyscy byli nakarmieni, a naczynia pomyte, wytarte i pochowane. Ella nastawiła garnek z kapustą sarepską, żeby

pyrkotał na piecu przez cały dzień, zagotowała miskę krochmalu, wzięła ze sobą Solly'ego i wyszła na dwór rozwiesić pierwszy kosz z rzeczami, które Margaret uprała, wypłukała i wyżęła.

Gdy Ella wróciła do domu, by sprawdzić, jak się mają sprawy w kuchni, dochodziła jedenasta. Kiedy dosalała kapustę, ktoś pociągnął za sznurek dzwonka przy drzwiach frontowych. Przemierzając mroczny główny korytarz, wytarła ręce w fartuch i przejrzała się w lustrze na ścianie. Twarz miała zaczerwienioną i wilgotną z gorąca, a ciężki kok wymknął się szpilkom i opadł na kark, nie traciła jednak czasu na strojenie się, tylko ruszyła do wejścia.

Za progiem stał doktor Kincaid i mrużąc oczy, zerkał na nią przez siatkowe drzwi.

- Uszanowanie pani.

Jego biały słomkowy kapelusz ozdabiała elegancka czerwona wstążka, upstrzona pokoleniami plam z potu. Zdjął go i w nieco dworski sposób przycisnął do piersi.

Widok lekarza na werandzie zaskoczył ją, wciąż jednak nic nie zapowiadało, że będzie to niezwykły dzień.

Doktor Kincaid miał gabinet w samym centrum miasta, przy Hill Street, lecz chodził także z wizytami, przeważnie do porodów, a czasem do pacjentów z chorobami zakaźnymi, by zapobiec rozprzestrzenieniu się zarazy po całym Gilead, ich liczącym dwa tysiące dusz miasteczku.

Ella również wezwała go do siebie dwa lata temu, kiedy jeden z jej lokatorów w środku nocy spadł z łóżka. Na szczęście dla pana

Blackwella, starszego już wiekiem dżentelmena, bardziej ucierpiała jego duma niż ciało, ale i tak protestował, gdy doktor Kincaid przyznał Elli rację, że na wszelki wypadek należy go gruntownie przebadać. Pan Blackwell już u niej nie mieszkał. Krótco po tym zdarzeniu rodzina umieściła go w domu starców w Waco. Przenosinom wbrew własnej woli także się opierał, równie nieskutecznie.

Czyżby któryś pensjonariusz zamówił dziś lekarza? Ella miała baczenie na wszystko, co działo się w domu, i mało co umykało jej uwadze, ale skoro od rana niemal bez przerwy przebywała na dworze, niewykluczone, że jedna z sióstr skorzystała z telefonu bez jej wiedzy.

- Dzień dobry, doktorze. Czy to panny Dunne posłały po pana?
- Nie. Nie wezwano mnie do chorego.
- A zatem czym mogę służyć?
- Czyżbym przyszedł nie w porę?

Pomyślała o stercie ubrań w koszu, gotowych do krochmalenia, ale krochmal i tak musiał jeszcze ostygnąć.

- Skądże znowu. Proszę wejść. - Odsunęła rygiel w siatkowych drzwiach i otworzyła je na oścież.

Doktor Kincaid odwrócił się w prawo i zamasyście machnął kapeluszem, zapraszając kogoś do środka. Ella nie dostrzegła obecności drugiego mężczyzny, zauważyła go dopiero wtedy, gdy ominąwszy wielką paproć z boku drzwi, znalazł się w jej polu widzenia.

Pierwsze, co uderzyło ją w jego wyglądzie, to niezwykle wzrost i chudość. Można by rzec, że wyglądał na niedożywionego. Ubrany był w czarny garnitur, białą koszulę i czarny krawat, w ręku trzymał czarną pilśniową fedorę. Pomyślała, że ten strój jest zbyt poważny i nie na miejscu w tak gorący poranek, zwłaszcza w porównaniu z garniturem z marszczoną bawełny i białym kapeluszem z czerwoną wstążką doktora.

- Pani Barron, to pan Rainwater - przedstawił ich lekarz.

Nieznajomy skłonił głowę.

- Uszanowanie pani.

- Witam pana.

Usunęła się na bok i ruchem ręki zaprosiła gości do środka. Doktor Kincaid przepuścił nieznajomego przodem. Ten po kilku krokach w głąb przedpokoju zatrzymał się, czekając, aż jego oczy przywykną do stosunkowo ciemnego wnętrza. A potem się rozejrzał, machinalnie przesuwając rąbek kapelusza między długimi, smukłymi palcami.

- Zapraszam tutaj. - Ella ominęła gości i wskazała im salonik od frontu. - Zechcą panowie usiąść.

- Zdawało nam się, że ktoś dzwonił do drzwi.

Ella odwróciła się, słysząc świergotliwy głos. Na dolnym stopniu stały panny Dunne - Violet i Pearl. W pastelowych sukienkach z drukowaną bawełny i staromodnych pantoflach były w zasadzie nie do odróżnienia. Obie miały aureolę białych włosów. W pociętych siatką żył, upstrzonych plamami dłoniach trzymały identyczne

chusteczki, delikatnie obrębione i ręcznie haftowane przez ich matkę, o czym nie omieszczały poinformować swojej gospodyni.

Z nieskrywaną ciekawością spoglądały za plecy Elli, próbując dojrzeć gości. Każda wizyta w tym domu stanowiła wydarzenie.

- Czy to doktor Kincaid? - spytała Pearl, bardziej wścibska od siostry. - Witam, doktorze! - zawołała.

- Dzień dobry pani.

- A kogóż to nam pan przyprowadził? Panna Violet zganiła siostrę wzrokiem.

- Zeszliśmy, żeby przed lunchem pograć w remika - szepnęła do Elli. - Nie będziemy przeszkadzać?

- Ależ skąd.

Ella poprosiła, żeby skorzystały z prywatnego saloniku, i sama je tam zaprowadziła. Gdy już usiadły przy stoliku do kart, rzuciła: „Panie wybaczą”, i zsunęła oba skrzydła ciężkich dębowych drzwi, które dzieliły wielkie pomieszczenie na pół. Dołączyła do dwóch mężczyzn w części dla gości, wychodzącej na werandę od frontu. Wciąż stali, choć poprosiła ich, żeby usiedli.

Doktor Kincaid wachlował się kapeluszem. Ella włączyła stojący na stoliku w rogu wentylator, skierowała strumień powietrza na lekarza i ruchem ręki wskazała dwa fotele z uszakami. - Proszę.

Zaczekali, aż usiądzie pierwsza.

Jak to w lecie, kiedy wypadał dzień prania, nie włożyła rano pończoch. Zażenowana, skrzyżowała gołe nogi w kostkach i podwinęła stopy pod fotel.

- Napijcie się, panowie, lemoniady? Albo herbaty?

- Brzmi to kusząco, proszę pani, ale niestety, nie skorzystam - odparł lekarz. - Muszę zajrzeć do kliniki, pacjenci czekają.

Spojrzała na pana Rainwatera.

- Nie, dziękuję - powiedział.

Gdyby wróciła do kuchni, miałyby okazję pozbyć się fartucha, na którym została mokra plama po tym, jak wycierała ręce, a także mogłaby staranniej upiąć kok. Skoro jednak goście podziękowali za napoje, z braku wyboru musiała świecić swoim niechlujstwem aż do końca wizyty, której celu jak dotąd nie sprecyzowali. Zachodziła w głowę, co porabia Solly i jak długo potrwa to niespodziewane spotkanie. Liczyła tylko na to, że pan Rainwater nie jest komiwojażerem. Nie miała czasu wysłuchiwać, jak będzie zachwalał swój towar, bo bez względu na to, czym handlował, i tak nic by nie kupiła.

Nawet tutaj, do saloniku od frontu, docierał silny zapach gotującej się na wolnym ogniu kapusty. Lekarz wyciągnął z kieszeni surduta wielką białą chusteczkę i otarł pot z łysiejącej głowy. W siatkę na oknie wpadła osa i wściekle usiłowała się przedostać do środka. Szum elektrycznego wentylatora wydawał się równie głośny jak warkot piły tarczowej.

Ella z ulgą usłyszała, że doktor Kincaid odchrząknął i rzekł:

- Słyszałem, że straciła pani lokatora.

- A i owszem. Pani Morton wyjechała do niedomagającej siostry, żeby z nią zamieszkać. Zdaje się, że do wschodniej Luizjany.

- To ładny kawałek stąd - zauważył.
- Jej siostrzeniec przyjechał i odprowadził ją na pociąg.
- Miło z jego strony. Czy ktoś już zarezerwował wolny pokój?
- Wyjechała przedwczoraj, więc z braku czasu nie wywiesiłam jeszcze ogłoszenia.

- A to dobrze, to bardzo dobrze. - Lekarz wyraźnie się ucieszył i zaczął się wachlować z takim entuzjazmem, jakby coś świętował.

Ella nareszcie pojęła cel tej wizyty i spojrzała na Rainwatera. Siedział lekko pochylony, opierając obie stopy na podłodze. Zwróciła uwagę, że jego czarne buty są wypastowane. Gęste ciemne włosy były zaczesane do tyłu i tylko jeden niesforny kosmyk, błyszczący i prosty jak satynowa wstążka, bezczelnie zwisał na szerokie czoło. Mężczyzna miał wydatne kości policzkowe i wąskie kruczoczarne brwi. Wpatrywał się w nią zaskakująco niebieskimi oczami.

- Czy szuka pan pokoju do wynajęcia, proszę pana?

- Tak. Muszę gdzieś zamieszkać.

- Nie miałam jeszcze okazji gruntownie wysprzątać tego wolnego pokoju, ale chętnie go panu pokażę, jak tylko się z tym uporam.

- Nie mam szczególnych wymagań. - Uśmiechnął się, pokazując wyjątkowo białe, choć nieco krzywe zęby. - Wezmę go w takim stanie, w jakim jest.

- O nie, niestety, nie mogę go panu odnająć już teraz - odparła szybko. - Najpierw muszę przewietrzyć pościel, wszystko wyszorować, wypastować podłogę. U mnie wszystko jest na najwyższym poziomie.

- To dotyczy lokatorów czy czystości?

- Jednego i drugiego.

- I właśnie dlatego przywiozłem pana Rainwatera do pani - wtrącił pośpiesznie lekarz. - Powiedziałem mu, że prowadzi pani pensjonat nienagannie i ma baczenie na wszystko. Nie wspominając już o wybornej kuchni, jaką raczy pani swoich lokatorów. Pan Rainwater życzy sobie zamieszkać w należycie utrzymanym domu. Spokojnym i cichym.

W tym momencie od strony kuchni dobiegł straszliwy rumor, a potem mrozący krew w żyłach wrzask.

Rozdział drugi

Ella jak oparzona zerwała się z fotela.

- Panowie wybaczą.

Wybiegła z salonu na korytarz i wpadła do kuchni. Na środku pomieszczenia stał Solly z wyciągniętą byle dalej od siebie, sztywną jak kij lewą ręką i darł się wniebogłosy.

Gorący krochmal obryzgał mu rękę od nadgarstka po bark. Prysnał także na klatkę piersiową chłopca, tak że bawełniana koszula przylepiła mu się do ciała. Garnek stojący wcześniej na piecu leżał teraz przewrócony na podłodze. Wyciekająca z niego lepka niebieska maź tworzyła szeroką kałużę.

Nie bacząc na bałagan, Ella podniosła syna i przytuliła do piersi.

- O nie, nie! Boże! Solly, Solly, skarbie. Och, Boże!

- Zimna woda.

Doktor Kincaid niemal deptał jej po piętach i gdy tylko wbiegł do kuchni, w jednej chwili ocenił sytuację. Popchnął Ellę w stronę zlewu, puścił zimną wodę i zmusił chłopca, żeby włożył rękę pod strumień.

- Macie lód?

Rainwater skierował to pytanie do Margaret, która przybiegła z podwórka na tyłach domu, wzywając na pomoc Pana Jezusa, zanim jeszcze się zorientowała, na czym polega katastrofa.

Nie była jednak w stanie wykrztusić ani słowa, wobec tego odpowiedziała mu Ella, przekrzykując wrzaski syna:

- Jest w lodówce! Z samego rana dostarczyli cały blok.

Wraz z doktorem Kincaidem wciąż szamotała się z chłopcem, żeby utrzymać jego poparzoną rękę pod strumieniem zimnej wody. Garściami chlapała wodą na koszulę syna, próbując zneutralizować krochmal, parzący go przez cienki materiał.

Nie było to takie proste. Musieli zмагаć się z Sollym, który na oślep wywijał prawą ręką, częstokroć boleśnie trafiając matkę albo lekarza. Poza tym próbował uderzyć ich głową i wierzgał nogami. Kilka sztuk naczyń stołowych i porcelany spadło z suszarki i rozbiło się na podłodze, w powiększającej się kałuży krochmalu.

- To mu dobrze zrobi. - Rainwater stanął obok Elli ze świeżo odłupaną bryłą lodu. Podczas gdy matka i lekarz starali się utrzymać rękę chłopca w miarę nieruchomo, pocierał lodem całe jego ramię, na którym wykwitły brzydkie czerwone plamy.

Lód ostudził oparzenia i w końcu Solly przestał wrzeszczeć, choć nadal rytmicznie kiwał głową. Lekarz zakręcił kran. Ella zauważyła, że doktor ma rękawy marynarki mokre po łokcie, i uświadomiła sobie, że jej fartuch i sukienka także są przemoczone.

- Dziękuję - powiedziała.

Wzięła od Rainwatera resztkę lodu i pocierała nią ramię syna, niosąc go na krzesło i sadzając sobie na kolanach. Przytuliła go mocno do piersi i całowała w czubek głowy. Dopiero po kilku minutach przestał kiwać głową.

Stojące w otwartych drzwiach stare panny Dunne pieśczośliwie wyrażały współczucie i dodawały małemu otuchy. Margaret jedną ręką trzymała rąbek fartucha przy ustach, a drugą, zwróconą różowym wnętrzem dłoni do góry, wznosiła w błagalnym geście do sufitu. Płacząc na głos, modliła się żałośnie:

- Jezusiczku, pomóż biednemu szkrabowi. Panie Jezu, pomóż temu dziecku.

Ella była wdzięczna służącej za tę modlitwę i miała nadzieję, że Pan jej słucha, ale głośnie modły tylko zwiększały zamieszanie.

- Margaret, przynieś mi, proszę, jeden z tych jego długich cukierków - powiedziała.

Jej spokojny ton przebił się przez żarliwą litanię; Margaret przestała się modlić, wygładziła fartuch i poszła do spiżarni, gdzie Ella trzymała słój z długimi cukierkami ukryty za puszkami mąki i cukru. Na widok tych łakoci Solly zawsze rzucał się na podłogę i wierzgał nogami dopóty, dopóki albo nie padł z wyczerpania, albo nie

zmęczył Elli do tego stopnia, że ulegała i dawała mu smakołyk, byleby przywrócić spokój.

Te cukierki były zarezerwowane na sytuacje kryzysowe. Takie jak obecna.

Margaret zdusiła szloch.

- Wszystko przeze mnie. Bawił się na ziemi. Pani wie, jak lubi w niej kopać tą wielką drewnianą warząchwią? Odwróciłam się na góra pół minutki, tylko żeby powiesić prześcieradło na sznurze. I ani się obejrzałam, a on już w domu i drze się wniebogłosy. Przepraszam, psze pani, ja...

- To nie twoja wina, Margaret. Wiem, jak Solly potrafi zniknąć w mgnieniu oka.

Wracając ze spizarni ze słojem, służąca wciąż mruzczała pod nosem, że to wszystko przez nią. Odkręciła metalową pokrywkę i wyciągnęła słoik do chłopca.

- Margaret w życiu sobie tego nie daruje - powiedziała. - Za żadne skarby. Na jaki smak masz ochotę, ptysiu?

Solly nie zwracał na nią uwagi, więc Ella wybrała za niego - biały patyczek w pomarańczowe paski. Nie podała mu go do ręki, tylko położyła na stole. Chłopiec wziął cukierek i zaczął lizać. Wszyscy w kuchni odetchnęli z ulgą.

- Niech no obejrzą te poparzenia.

- Nie. - Ella uniosła rękę, powstrzymując lekarza. Nie chciała, żeby się zbliżał, bo Solly znów mógłby wpaść w szal. - Ani śladu pęcherzy, krochmal studził się już od ponad dwóch godzin. Wcale nie

był aż tak gorący. Myślę, że Solly po prostu się przestraszył, kiedy ściągnął garnek z pieca i się ochlapał.

- Całe szczęście, że to nie był...

Panna Pearl urwała nagle, pewnie dlatego, że bardziej taktowna siostra szturchnęła ją łokciem w żebra. Ella wiedziała jednak, co miała na myśli panna Pearl i co sądzili wszyscy obecni, nie wyłączając jej - że na szczęście Solly nie zrzucił na siebie garnka z gotującą się na piecu kapustą.

Pogładziła syna po głowie, lecz uciekł przed pieśczołą. Przyjęła to ze ściśniętym sercem, ale spojrzała na pozostałych i uśmiechnęła się dzielnie.

- Myślę, że kryzys już minął.

- W klinice mam balsam - powiedział lekarz. - Wprawdzie nie ma pęcherzy, ale nie zaszkodzi smarować mu rękę przez kilka dni.

Ella polowała głową i spojrzała na Rainwatera, który stał przy piecu, jakby pilnował, żeby nie doszło do kolejnego wypadku.

- Lód bardzo mu pomógł. Dziękuję panu.

Skwitował to skinieniem głowy.

- A jeśli chodzi o pokój... - ciągnęła.

- Widzisz, mówiłam ci, że to będzie nowy lokator - odezwała się panna Pearl do siostry, wprawdzie szeptem, ale na tyle głośnym, żeby wszyscy ją usłyszeli.

- Państwo wybaczą, zobaczymy się przy lunchu. - Panna Violet chwyciła siostrę pod rękę tak mocno, że ta aż się skrzywiła, i

właściwie wywlokła ją na schody. Po drodze na górę panna Pearl wciąż szeptała z ożywieniem:

- Wydaje się niezwykle miły, siostrzyczko, nie sądzisz? Ma takie czyste paznokcie. Ciekawe, skąd pochodzi?

Ella przesadziła syna ze swoich kolan na krzesło, na którym siedziała. Bezskutecznie próbowała poprawić kosmyki, które wysunęły się z koka. W reakcji na wilgoć parującą z gotującej się kapusty niesforne włosy opadały spiralami na jej policzki.

- Jak już mówiłam, proszę pana, nie miałam czasu gruntownie wysprzątać pokoju. Jeśli chce pan się wprowadzić natychmiast...

- Chcę.

- To niemożliwe.

- A zatem kiedy?

- Kiedy doprowadzę pokój do stanu spełniającego moje wymagania.

Rozbawiło go to stwierdzenie, więc zastanawiała się, czy ten jego uśmiech oznaczał, że naigrawa się z jej wymagań, czy z tego, że jest z nich dumna.

Tak czy owak, nie spodobało jej się to.

- Zważywszy na to, co się tu działo przez ostatni kwadrans, dziwię się, że wciąż chce pan zamieszkać u mnie, skoro zależy panu na ciszy i chce pan mieć spokój. W dodatku nawet nie widział pan jeszcze pokoju.

- A więc chodźmy go obejrzyć - zaproponował doktor Kincaid. - Ja naprawdę muszę zaraz wracać do kliniki.

- Nie musisz na mnie czekać, Murdy - rzekł pan Rainwater.

Doktor Kincaid miał na imię Murdock, Ella nigdy nie słyszała, żeby ktokolwiek zwracał się do niego per Murdy, nawet najbliżsi znajomi.

- O nie. Chcę się przydać, jeśli to możliwe. - Lekarz odwrócił się do Elli. - Pozwoli pani?

Zerknęła na syna, który tymczasem zjadł połowę długiego cukierka. Margaret wyczuła jej wahanie.

- Pani idzie z panami - powiedziała. - Już ja będę miała baczenie na tego chłopaka. Nie spuszczę go z oka.

Ella niechętnie wyszła z mężczyznami z kuchni i zaprowadziła ich schodami na piętro, do pokoju na końcu korytarza. Otwierając drzwi, zachwalała:

- Tak się szczęśliwie składa, że wychodzi na południe. Wpada tu miły wiaterek.

Właśnie teraz cienkie zasłony powiewały na wietrze. Na tapecie dominował wzorek w żółte róże; żelazne łóżko na pierwszy rzut oka było za krótkie dla pana Rainwatera. Prawdę mówiąc, kiedy stanął na środku pomieszczenia, to choć był taki chudy, pokój wydawał się znacznie mniejszy niż wtedy, gdy zajmowała go pani Morton.

A jednak albo nie zwrócił na to uwagi, albo nie przeszkadzał mu kobiecej wystrój pokoju, przykrótkie łóżko, ciasnota i wąska szafa. Wyrzał przez okno, pokiwał głową i odwrócił się do gospodyni i lekarza.

- Może być.

- Będzie pan miał wspólną łazienkę z panem Hastingsem.

- Z Chesterem Hastingsem - odpowiedział doktor Kincaid. - To niezwykle sympatyczny człowiek. Rzadko przebywa w mieście. Sprzedaje artykuły pasmanteryjne. Jako komiwojażer jeździ po całym kraju.

- Nie mam nic przeciwko wspólnej łazience - odparł Rainwater.

Na schodach Ella poinformowała go o kosztach wynajmu oraz wyżywienia i zanim zeszli na parter, przystał na jej cenę.

- Wspaniale - ucieszył się doktor Kincaid. - To ja was zostawię, sami ustalicie szczegóły związane z przeprowadzką i tak dalej.

Ella zawahała się i zerknęła w stronę kuchni. Margaret cicho nuciła pieśń religijną, co przeważnie uspokajało Sollyego. Gdyby udało jej się pocieszyć chłopca, od razu miałyby mniejsze poczucie winy, wobec tego Ella uznała, że może poświęcić gościom jeszcze kilka minut.

- Odprowadzę panów.

Ruszyła przodem do drzwi wyjściowych, lecz kiedy się przy nich zatrzymała, przekonała się, że tylko doktor Kincaid idzie za nią. Korytarz za nimi był pusty. Prawdopodobnie pan Rainwater wymknął się do salonu i czekał na nią, żeby omówić szczegóły dotyczące zakwaterowania.

- Mogę zamienić z panią słówko? - spytał lekarz.

Zaledwie przed chwilą tak mu się śpieszyło, że spojrzała na niego z zaskoczeniem, gdy pchnął siatkowe drzwi i wyprowadził ją na werandę.

Pod wystającym poza obrys parteru pierwszym piętrem zbierał się upał oraz uderzający do głowy zapach kremowobiałych gardenii, rosnących w donicy na skraju werandy.

Dwa lata temu miała w lecie lokatora, który uskarżał się na ten zapach, twierdził, że jest duszący i przyprawia go o bóle głowy. Ella przypisywała te migreny nie tyle kwiatom, ile kukurydzianej wódce, którą pociągał ze srebrnej piersiówki, kiedy myślał, że nikt nie widzi. Gdy zwróciła mu uwagę, że nie pozwala pić alkoholu w swoim domu, poczuł się dotknięty.

- Ma pani na myśli moje lekarstwo na kaszel?

Jedyne, co mogła zrobić, to zwymyślać go od kłamców, ale od tej pory już nigdy nie narzekał na gardenie. Mimo to z ulgą powitała jego wyprawdzkę i przyjęła na zwolnione miejsce znacznie bardziej sympatycznego pana Hastingsa.

Lekarz znów otarł łysą głowę chusteczką.

- Chciałbym pomówić z panią w cztery oczy.

- O Sollym?

- Hm, cóż, no właśnie.

Wielokrotnie już dyskutowali na ten temat. Ella splotła ręce na brzuchu, szykując się na poważną sprzeczkę.

- Doktorze, stanowczo odmawiam umieszczenia go w zakładzie dla umysłowo chorych.

- Niczego takiego nie sugerowałem.

- I nie zgadzam się na faszzerowanie go lekami.

- Już mi to pani mówiła. Wiele razy.

- Wobec tego proszę mnie nie przekonywać.

- Ale to, co się stało przed chwilą...

- Mogło się przytrafić każdemu dziecku - wpadła mu w słowo. -
Pamięta pan, jak w zimie chłopak Hinnegarów przewrócił na siebie
lampę naftową?

- Proszę pani, tamten chłopiec miał dwa lata. Solly ma dziesięć.

- Skończy dopiero za wiele miesięcy.

- Nie aż tak wiele - burknął lekarz i ciągnął łagodniejszym tonem:

- Doskonale wiem, na jakie niebezpieczeństwa są narażone dzieci.
Biorąc pod uwagę, na co się napatrzyłem przez lata praktyki
lekarskiej, nie mogę się nadziwić, że komukolwiek w ogóle udaje się
wkroczyć w wiek dorosły.

Przerwał, odetchnął głęboko i spojrzał na nią życzliwie.

- Jednak pani chłopcu niefortunne przygody przydarzają się
szczególnie często. Solly nawet w tym wieku nie rozumie, czym grozi
ściągnięcie z pieca garnka z gorącym krochmalem. A kiedy już
dochodzi do wypadku, reaguje gwałtownym wybuchem. Tak jak
dzisiaj.

- Poparzył się, więc krzyczał z bólu. Na jego miejscu każdy by
tak zareagował.

- Proszę nie sądzić, że rozmawiam z panią tak otwarcie dlatego,
że jestem nieczuły albo okrutny. Okrutna jest sytuacja, w jakiej się
pani znalazła. Nie ulega wątpliwości, że bez lekarstw, które by
osłabiły jego... impulsywność, pani syn może wyrządzić krzywdę

sobie albo innym, zwłaszcza kiedy dostanie jednego z tych swoich napadów szału.

- Pilnuję go, żeby do tego nie doszło.

- Nie kwestionuję, że sumiennie wypełnia pani obowiązek...

- To nie żaden obowiązek, tylko przywilej. Gdybym nie musiała prowadzić pensjonatu, nie odstępowalabym Solly'ego ani na krok. Dzisiaj zdarzył się wyjątek od reguły. Niespodziewanie oderwano mnie do innych zajęć.

W ten subtelny sposób przypomniała mu, że to przez niego spuściła syna z oczu, ale pominął tę przyganę milczeniem.

- I właśnie nawiązała pani do kolejnej kwestii, którą chciałem poruszyć. To bezustanne czuwanie nad synem fatalnie odbija się na pani zdrowiu. Jak długo pani to wytrzyma?

- Tak długo, jak długo Solly będzie wymagał nadzoru.

- Czyli, według wszelkiego prawdopodobieństwa, do końca życia. Jak pani sobie poradzi, kiedy syn panią przerośnie i nie będzie pani w stanie okiełznać go fizycznie?

Zmusiła się, żeby rozewrzeć zaciśnięte pięści.

- Lekarstwa, którymi proponuje pan osłabić jego impulsywność, osłabiłyby także jego możliwości przyswajania wiedzy.

Na te słowa w oczach lekarza pojawiło się jeszcze więcej życzliwości, smutku i współczucia. Poczuli się urażona.

- Ja wiem, doktorze, że pańskim zdaniem Solly nie jest w stanie niczego się nauczyć. Ale nie pozbawię go tej szansy tylko dlatego, że

wtedy sama miałabym łatwiej. Nie pozwolę go otumanić lekami tak, żeby przypominał warzywo. Co on by miał z takiego życia?

- A co pani ma z życia? - odparł łagodnie.

Wyprostowała się, z oburzenia twarz paliła ją ogniem.

- Jestem panu wdzięczna za zawodową poradę, doktorze. Ale to tylko porada, nic więcej. Tak naprawdę nikt nie wie, co właściwie Solly potrafi zrozumieć i zapamiętać. Ale jako matka umiem dostrzec jego zdolności lepiej niż ktokolwiek. Dlatego muszę robić to, co uważam za najlepsze dla syna.

Żeby uniknąć zwady czy wręcz otwartej wojny, lekarz spojrzał na kępę ostróżki, rosnącą na skraju ogrodu.

- Proszę przysłać Margaret po ten balsam - powiedział w końcu.

- Dziękuję.

- Nic pani nie policzę.

- Dziękuję.

Ulica była całkiem pusta, jeśli nie liczyć psa w białe i brązowe łaty, biegnącego truchtem przy furmance powożonej przez starego czarnoskórego woźnicę i ciągniętej mozolnie przez parę mułów. Mijając ich, mężczyzna uchylił kapelusza. W odpowiedzi pomachali mu rękami. Ella nie знаła woźnicy, za to lekarz pozdrowił go, zwracając się do niego po imieniu.

- Jeśli to wszystko, doktorze, muszę się zająć przygotowaniem do lunchu.

Odwrócił się do niej.

- Prawdę mówiąc, jest jeszcze coś. Chodzi mi o pana Rainwatera.

Ella знаła tylko jego nazwisko oraz wiedziała, że chce zapłacić jej za pokój i utrzymanie. Przyjęła go wyłącznie dlatego, że trafił do niej z polecenia doktora Kincaida.

- Czy ten człowiek ma miłe usposobienie?

- Nienaganne.

- Od dawna go pan zna?

- Jest synem zmarłego kuzyna mojej żony. To tak jakby dziesiąta woda po kieselu ze strony małżonki.

- Myślałam, że jest starym przyjacielem albo kimś z rodziny. Nazwał pana Murdy.

Lekarz z roztargnieniem skinął głową.

- Tak mnie nazywano w rodzinie.

- Czy on również jest lekarzem z zawodu?

- Nie. Handlował bawełną.

- Handlował? - Czyżby Rainwater padł ofiarą wielkiego kryzysu, powiększając rzeszę tysięcy ludzi, którzy, jak kraj długi i szeroki, zostali bez pracy? - Skoro jest bezrobotny, to w jaki sposób zamierza uiszczać czynsz? Nie stać mnie na...

- Nie został bez grosza przy duszy. On... - Lekarz spojrział w ślad za oddalającą się furmanką i nie spuszczał z niej oczu, dopóki nie zniknęła za zakrętem. Dopiero wtedy zwrócił się do Elli. - Prawdę mówiąc, nie zabawi u pani zbyt długo.

Patrzyła na niego bez słowa, czekając na ciąg dalszy.

- On umiera - wyjaśnił cicho.

Rozdział trzeci

- Niech pan to zostawi, bardzo proszę.

Rainwater kuczał i zbierał potłuczoną porcelanę z linoleum w kuchni. Zerknął na Elle, nie przerywając tego, co robił.

- Boję się, że chłopiec znów mógłby zrobić sobie krzywdę - rzekł.

- Margaret i ja posprzątamy bałagan i zajmiemy się Sollym.

Służąca wciąż urzędowała przy piecu - skrapiała kapustę tłuszczem z bekonu, który podano na śniadanie. Solly siedział na swoim stałym miejscu przy kuchennym stole; kiwał się w przód i w tył, bawiąc się jo-jo - widocznie Margaret przyniosła mu je z pudełka z zabawkami. Nawijał sznurek na palec wskazujący i odwijał. Poświęcał temu zajęciu całą uwagę.

Kryzys minął, najwyraźniej nie pozostawił u chłopca trwałych śladów, ale czy Ella zorientowałaby się, gdyby było inaczej? Musiała przyjąć jego bierność za dobrą monetę. Patrząc na blond głowę pochyloną nad jo-jo, poczuła znajomy skurcz serca - bezwarunkową miłość połączoną z obawą, że jej uczucie może nie wystarczyć, by ochronić syna.

Rainwater wstał i wyciągnął ręce. Ella podała mu śmietniczkę, którą zdjęła z kołka na ścianie. Ostrożnie pozbierał na nią skorupy potłuczonej zastawy.

- To tylko większe kawałki. Tych drobniejszych nie udało mi się wygrzebać z krochmalu.

- Pozbieramy je, sprzątając.

Odwrócił się do zlewu, zmył krochmal z rąk i wytarł je w ścierkę do naczyń. Ella nie potrafiłaby się tak szarogęsić w czyjejś kuchni, zwłaszcza u kogoś obcego; czułaby się skrepowana. Ale nieśmiałość, jak widać, nie należała do cech Rainwatera.

Postawiła śmietniczkę na podłodze w kącie.

- Margaret, mogłabyś wyjąć rzeczy na lunch, a ja tymczasem porozmawiam z panem Rainwaterem?

- Tak jest, psze pani. Dla małego też mam naszykować?

- Bardzo proszę. Obierz pomarańczę i podziel na kawałki. Do tego zrób mu kanapkę z masłem i galaretką z winogron, przeciętą na pół. Połóż wszystko na tym niebieskim talerzu, który tak lubi.

- Dobrze, psze pani. Pani się zajmie tym panem. - Margaret uśmiechnęła się do Rainwatera, wyraźnie zadowolona, że już wkrótce zostanie ich domownikiem. Swoją gotowością do pomocy w sytuacji kryzysowej zaskarbił sobie jej przychylność, o co wcale nie było łatwo. - Pościel by trza rozwiesić, ale to po lunchu, nic jej się nie stanie, jak poczeka.

- Dziękuję, Margaret. - Ella odwróciła się i wskazała gościowi korytarz. - Pozwoli pan?

- Możemy porozmawiać tutaj.

Ella wolałaby nie omawiać interesów w kuchni, gdzie - zgodnie z jej przewidywaniami - temperatura wciąż rosła. Martwiła się także o leżącą w balii pościel, którą należało przepuścić przez wyżymaczkę, i to chyba dwukrotnie, a potem rozwiesić na sznurze, żeby wyschła.

Poza tym bała się, że służąca swoim zwyczajem przeszarżuje z polewaniem kapusty tłuszczem z bekonu. W dodatku Margaret była niepoprawną plotkarką. Ella kilkakrotnie musiała ją zbesztać za rozpowszechnianie prywatnych informacji o ich lokatorach, a nawet o niej samej.

Jednak najbardziej przejmowała się Sollym, mimo że czerwone plamy na jego skórze zbladły, były ledwo widoczne i wyglądało na to, że poparzenia już go nie boją. Chwilowo zachowywał się spokojnie.

Ale ona nie była spokojna. Wypadek z krochmalem rozstroił ją i zdenerwował. Dodatkowo wstrząsnęło nią to, co doktor Kincaid powiedział o panu Rainwaterze. Wprawdzie jej byt zależał od tego, czy ma w pensjonacie komplet gości, ale perspektywa przyjęcia stojącego nad grobem lokatora wydawała się niezbyt miła z wielu powodów, już choćby dlatego, że i tak miała pełne ręce roboty z dopilnowaniem, by pozostali pensjonariusze byli zadowoleni, i z opieką nad Sollym.

Z drugiej strony, przeciwko Rainwaterowi przemawiał jedynie jego niefortunny stan zdrowia. A skoro tak, czy sumienie pozwoliłoby jej spać spokojnie, gdyby odmówiła mu pokoju tylko z tego powodu?

O jego kłopotach zdrowotnych doktor Kincaid powinien ją poinformować, zanim zgodziła się odnająć mu pokój. Pan Rainwater również powinien o tym wspomnieć. Fakt, że żaden z nich tego nie zrobił, stawiał ją w bardzo niekorzystnej pozycji, podobnie jak uczynił to Rainwater teraz, chcąc omawiać interesy w obecności gadatliwej służącej.

- W szufladzie szafki nocnej znajdzie pan koperty - powiedziała, starając się, żeby z jej głosu nie przebijała uraza. - Opłaty za czynsz proszę wrzucać do puszeki stojącej na stole pod schodami. Pobieram należność w każdy poniedziałek, ale za pierwszy tydzień zapłaci pan z góry, jeszcze zanim się pan wprowadzi. Czy to panu odpowiada?

- Tak. Znakomicie.

- Żeby uniknąć nieporozumień, proszę pamiętać o zapisaniu swojego nazwiska na kopercie, zanim ją pan wrzuci do puszeki.

- Nie zapomnę.

Teraz, kiedy już wiedziała to, co wiedziała, stwierdziła, że jego uporczywe spojrzenie jeszcze bardziej wytrąca ją z równowagi. Z ulgą przyjęła słowa Margaret które przykuły jego uwagę.

- Proszę, pączusiu. Naszykowałam ci lunch, tak jak lubisz.

Służąca postawiła na stole przed chłopcem niebieski talerz.

Nie zareagował ani na jej słowa, ani na jedzenie. Nadal kiwał się w przód i w tył i nawijał sznurek jo-jo na palec.

- Co się tyczy posiłków - podjęła Ella, z powrotem przykuwając uwagę Rainwatera - o ósmej rano podajemy pełne śniadanie, ale tu, w kuchni, można się przedtem napić kawy. Kolacja jest o osiemnastej trzydzieści. Nie lubię marnować żywności, dlatego jeśli by zamierzał pan kiedyś zjeść na mieście, byłabym wdzięczna, gdyby mnie pan wcześniej powiadomił.

- Wątpię, żebym jadał gdzie indziej.

Tylko jego obecność powstrzymała ją przed wyjęciem szpilek i rozpuszczeniem koka, który tymczasem osunął się jeszcze niżej i ciążył jej na karku, grzejąc jak kaloryfer.

- Na lunch podaję zimne mięsa, ser, owoce. Czasami to, co nam zostało z kolacji. - Wskazała Margaret, która wypakowywała plasterki szynki z woskowanego papieru od rzeźnika. - Wszystko jest na stole w jadalni od południa do trzynastej, obsługa na zasadzie „kto pierwszy, ten lepszy”. - Zerknęła na ścienny zegar. - Dzisiaj mamy lekkie spóźnienie, ale panny Dunne i tak przeważnie zadowolają się owocami, a pan Hastings wyjechał z miasta.

- Czy oprócz mnie to wszyscy pani lokatorzy?

Kiwnęła głową.

- Siostry Dunne zajmują wspólnie największy pokój, po przeciwnej stronie korytarza niż pański. Pan Hastings mieszka w pokoju u szczytu schodów.

- A pani i Solly?

- Tu, na parterze. W niedzielę - ciągnęła szybko - podaję główny posiłek o drugiej po południu. Muszę mieć czas na powrót z kościoła. Niedzielne kolacje wszyscy jadają we własnym zakresie, ale kuchnia jest otwarta i można z niej korzystać. Mam tylko prośbę, żeby każdy po sobie sprzątał.

- Oczywiście.

- Czy jest coś, czego nie wolno panu jadać? - Pytała o to wszystkich nowych lokatorów, choć on akurat mógł odnieść

wrażenie, że potraktowała go szczególnie ze względu na jego chorobę.

Uśmiechnął się lekko, jak gdyby czytał w jej myślach.

- Jadam wszystko, nie jestem wybredny.

- Ma pan jakieś pytania?

- Kiedy mogę się wprowadzić?

Unikając odpowiedzi w tej kwestii, wyjaśniała dalej:

- Pościel zmieniamy co tydzień. Upraszam o używanie tylko trzech ręczników w okresie między jednym praniem a drugim. Ze względu na pana Hastingsa proszę utrzymywać łazienkę w czystości. On wie, że ma się panu zrewanżować tym samym. Z wszelkimi skargami proszę się zwracać do mnie. Nie pozwalam na picie alkoholu w moim domu. Oczekuję podstawowej, elementarnej uprzejmości oraz respektowania prywatności i wygody pozostałych lokatorów. Może pan przyjmować swoich gości w saloniku od frontu, tylko proszę mnie wcześniej uprzedzić. Po wcześniejszym uzgodnieniu odwiedzający dostają zimne napoje. Za symboliczną opłatą może pan też zaprosić swojego gościa na kolację, ale tylko jeżeli zostaną poinformowana z odpowiednim wyprzedzeniem.

- Nie będę nikogo przyjmował ani zapraszał gości na kolację.

Jego pałające oczy były tak intensywne, tak niebieskie jak lampka sygnalizacyjna na piecu. Na chwilę przykuły jej uwagę, lecz zaraz uciekła wzrokiem.

- Dam panu numer skrytki pocztowej, żeby mógł go pan podać rodzinie i znajomym.

- Zdziwiłbym się, gdybym otrzymał jakiś list.

- No cóż, ponieważ tylko ja mam klucz od skrytki, gdyby jednak pan dostał korespondencję, zostawię ją w pańskim pokoju. Może pan polegać na mojej dyskrecji.

- W to nie wątpię.

- Czy moje wymagania panu odpowiadają?

Wysłuchawszy cierpliwie zasad panujących w jej pensjonacie, powtórzył:

- Kiedy mogę się wprowadzić?

Zapytał o to już po raz trzeci. Całkiem zrozumiałe. Dla kogoś, komu, według doktora Kincaida, zostało niewiele życia, kwestia czasu ma szczególne znaczenie.

- We wtorek.

- Ale dziś jest czwartek.

- Jak już mówiłam, pokój należy wysprzątać. Czy do tej pory nie mógłby pan pomieszkać jeszcze u państwa Kincaid?

- I tak już spędziłem u nich dwie noce. Są niezwykle gościnni, oddali mi do dyspozycji pokój swoich synów. Ale chłopcy muszą przez to spać na siennikach w salonie, przysparzając wszystkim kłopotu. Chciałbym się wprowadzić najpóźniej jutro.

- Pokój nie będzie jeszcze gotowy. Mamy dzień prania. Margaret i ja nie możemy odłożyć tego na później i zająć się pańskim pokojem. Trzeba usunąć meble, żeby wyszorować podłogę. Materace i poduszki należy wynieść na dwór i przewietrzyć. - Z irytacją

strząsnęła kosmyk włosów, który lepił się do jej policzka. - Do jutra nie zdążę uporać się ze wszystkim.

- Mój nowy pastor szuka pracy.

Ella spojrzała na Margaret.

- Co proszę?

- Brat Calvin - wyjaśniła Margaret. - Właśnie przyjechał do miasta, żeby głosić kazania. Ale naszych parafian nie stać, żeby mu płacić. Śpi na kościelnej ławce, wierni go karmią, ale chce zarobić trochę grosza, żeby coś sobie wynająć i sprowadzić żonę. Została w południowym Teksasie z rodzicami, a jemu okrutnie się za nią cknę. Wyszukuje pani ten pokój za psi grosz. Pani zresztą nie wolno nosić ciężarów, a i mnie łupie w krzyżu, jak tylko pomyślę, że mam zwlec ten materac po schodach na dół i wtargać go na górę. To jak, mam sprowadzić brata Calvina?

Ella rzuciła okiem na Rainwatera, który z zainteresowaniem przysłuchiwał się tej rozmowie.

- Chętnie pokryję wynagrodzenie dla brata Calvina - powiedział.

Margaret uśmiechnęła się, jakby to załatwiało sprawę. Ruszyła do korytarza, gdzie stał telefon.

- Zadzwoń do sklepu - rzekła i zwróciła się do Rainwatera: - Mój syn Jimmy pracuje w pasmanteryjno-spożywczym Randalla. Jak go wyślą z dostawą, podskoczy do pastora i powie, żeby się tu zjawił.

Kiedy się oddaliła na tyle, że nie mogła ich słyszeć, Rainwater szepnął do Elli:

- Mam nadzieję, że to pani odpowiada.

Wcale jej nie odpowiadało. Pensjonat należał do niej i to ona podejmowała wszelkie związane z nim decyzje. Wyglądało jednak na to, że od rana wszystko było postawione na głowie. Wywrócone do góry nogami. Dała się porwać serii niezwykłych wydarzeń. Prawdę mówiąc, czuła się nimi przytłoczona, miała wrażenie, że wszystko się płacze, to zaś budziło jej głęboki niepokój. Ustalony porządek dnia nie wynikał z wyboru, tylko z konieczności.

Jednakże wobec nawału innych kłopotów skorzystanie z usług brata Calvina było błahostką, a zatem gdyby odrzuciła tak rozsądną propozycję, okazałaby się małostkowa, skoro Rainwater sam zaproponował, że pokryje koszty pracy tego człowieka.

Mimo to nie była jeszcze gotowa dać za wygraną.

- Wolałabym zająć się tym osobiście, proszę pana.

- Ze względu na pani wysokie wymagania.

- Niestraszna mi ciężka praca.

- Nikt w to nie wątpi.

- Skoro jednak kwestia czasu jest tak istotna... Nie zamierzała sugerować, że jego czas dobiega końca.

Urwała i niedokończone zdanie zawisło w powietrzu. Z zażenowania zrobiło jej się jeszcze bardziej gorąco.

- To dobra propozycja - ocenił Rainwater. - Zaoszczędzi pani wiele pracy. Margaret nie będzie miała kłopotów z kręgosłupem. No i dzięki temu brat Calvin szybciej połączy się z żoną.

I znów dostrzegła w jego oczach ten wesoły błysk. Pomyślała, że gdyby się uśmiechnęła, zrobiłby tak samo.

Zachowała jednak poważną minę, więc i on był poważny.

- I miałby pan gdzie zamieszkać - dodała.

- Owszem, to też.

Westchnęła, przyznając się do porażki.

- No dobrze. Ale byłabym wdzięczna, gdyby dał mi pan jeszcze jutrzejszy ranek.

- Więc może o czwartej po południu?

- O czwartej? Dobrze. Do tej pory pokój będzie gotowy.

- Nie zapomnę przynieść pieniędzy. Na wynagrodzenie dla brata Calvina i czynsz za pierwszy tydzień.

Uśmiechnął się, ale nie zrewanżowała się tym samym. Ruchem ręki wskazała mu korytarz, na znak, że dobili targu.

- Wyjdę od tyłu - oznajmił.

Kiwnęła głową i zaprowadziła go do siatkowych drzwi na końcu korytarza. Schodząc z ganku, włożył kapelusz. U stóp schodów uchylił go.

- Uszanowanie pani.

- Do zobaczenia. Mam nadzieję, że będzie panu u nas wygodnie.

Czekały na nią inne obowiązki. Przede wszystkim musiała sprawdzić, czy Solly zjadł lunch. Ale z jakiegoś powodu nie odwróciła się i nie odeszła. Patrzyła w oczy człowieka, który miał spędzić u niej ostatnie tygodnie życia. Zastanawiała się, czy jej wzrok zdradza litość. Pewnie tak.

- Powiedział pani, prawda? - odezwał się Rainwater. - Murdy opowiedział pani o mnie?

Nieśmiałość nie leżała w naturze Elli. Poza tym kłamstwem tylko by obraziła swojego gościa.

- Uznał, że powinnam wiedzieć.

Pokiwał głową, nie tylko potwierdzając swoje podejrzenia, lecz także w uznaniu dla jej szczerości.

- Byłbym wdzięczny, gdyby nie informowała pani o tym nikogo innego. Z taką wiedzą ludzie czują się skrepowani, uważają na to, co mówią. Tak czy inaczej, nie chcę wprowadzać zamieszania z tego powodu. Chciałbym być traktowany jak wszyscy.

- Nikomu nic nie powiem.

- Dziękuję.

- Nie ma za co, proszę pana.

- Widzi pani, co miałem na myśli? - powiedział z uśmiechem. - Już traktuje mnie pani ulgowo.

Miała tyle przyzwoitości, żeby nie ukrywać zmieszania.

Po kilku sekundach uśmiech zniknął i nowy lokator znów stał się poważny.

- Czy on mówi?

- Słucham?

- Pani syn.

Wskazał go ruchem głowy. Odwróciła się. Za jej plecami Solly wciąż siedział przy stole. Przed nim stał nietknięty lunch. Chłopiec nakręcał sznurek od jo-jo na palec, rozwijał go i nawijał z powrotem, kiwając się w rytm muzyki, którą tylko on słyszał.

Odwróciła się z powrotem do Rainwatera i pokręciła głową.

- Nie. Nie mówi.

- No cóż - odparł miłym głosem. - Przekonałem się, że większość tych, którzy mówią, nie ma do powiedzenia nic godnego uwagi.

Tak lekceważące potraktowanie ułomności Sollyego było jeszcze trudniejsze do zniesienia niż obcesowe, ciekawskie spojrzenia obcych, i oczy Elli niespodziewanie zaszczyły łzami. Rainwater prawdopodobnie to zauważył; chciał jej najwyraźniej oszczędzić zażenowania, bo nie mówiąc nic więcej, jeszcze raz uchylił kapelusza, odwrócił się i odszedł.

Rozdział czwarty

Brat Calvin Taylor okazał się prawdziwym darem losu, i to nie tylko dla Afrykańskiego Episkopalnego Kościoła Metodystycznego.

Ten wysoki, krzepki mężczyzna pod trzydziestkę był ujmujący w obyciu i zawsze szeroko uśmiechnięty; złota jedynka sprawiała, że ten uśmiech wręcz olśniewał. Ella zastanawiała się, czy podczas kazania zęb pastora rozprasza wiernych, czy też hipnotyzuje ich jak dyndający przed oczami zegarek z dewizką.

Kiedy jednak usłyszała, jak mówi, uznała, że mało co mogłoby odwrócić uwagę jego trzódki od tych natchnionych przez Boga słów. Przemawiał głosem proroka, basowe tony przetaczały się jak grzmot na zboczu góry. Wyobraziła sobie, jak jego głos odbija się głośnym echem we wnętrzu kościoła, wyrywając śpiochów z drzemki,

wzbudzając skrucę wśród wystraszonych grzeszników i przepełniając wiernych odnowioną miłością do Boga.

Na parafianach wywarł niezwykle korzystne wrażenie. Oficjalnie przedstawiając Elli brata Calvina, Margaret powiedziała, że odkąd to on zaczął wygłaszać kazania, frekwencja w kościele wzrosła trzykrotnie.

- W niedzielę nie znajdzie się jednej wolnej ławki.

Młody pastor przyjął jej pochwały ze stosowną skromnością, przypisując swój sukces Bogu.

- Pan obdarza nas swoją łaską na wiele różnych sposobów.

Ella z miejsca go polubiła i od razu wysłała do pracy, nie bacząc na to, że na widok kolorowego mężczyzny w jej domu siostry Dunne ani chybi mogą zemdleć. Ale ona nie pochwałała ich uprzedzeń. Wciąż miała w pamięci tę chwilę, gdy po raz pierwszy uświadomiła sobie, że przywileje rasowe są skrajnie niesprawiedliwe.

Kiedyś ojciec zabrał ją do kina w Waco, a ona uparła się, że chce siedzieć na balkonie. Wyjaśnił jej wtedy, że balkony są przeznaczone wyłącznie dla kolorowych. Oburzyła się, że to niesprawiedliwe. Miała na myśli, że to ją spotyka niesprawiedliwość, bo nie może usiąść tam, gdzie ma ochotę. Ojciec jednak błędnie odczytał jej protesty, objął ją i uśmiechnął się.

- Masz rację, Ello. To bardzo niesprawiedliwe. Jestem z Ciebie dumny, że też to odbierasz w ten sposób.

Nie miała żadnych uprzedzeń, bo nie wychowano jej w takim duchu. Z czasem zrozumiała jednak, że w kwestiach rasowych większość ludzi nie podziela jej poglądów.

Pastor szybko udowodnił, że potrafi nie tylko mówić. Pod koniec dnia podłoga pustego pokoju była już wyszorowana i wypastowana.

- Skoro już to robię, za jednym zamachem mogę też obrobić korytarz - zaproponował i ręcznie wypolerował go na błysk.

Podczas kolacji Ella podała mu posiłek w kuchni, a siostry Dunne obsłużyła w jadalni. Zwróciła uwagę, że brat Calvin odmówił modlitwę, zanim przystąpił do posiłku. Gdy zjadł, wziął pościel, która wietrzyła się w ogrodzie za domem, i zaniósł do pokoju przeznaczonego dla Rainwatera.

Przed wyjściem zapowiedział Elli, że wróci z samego rana, by pomóc Margaret we wszystkim, co jeszcze należy zrobić, żeby nowy lokator mógł się wprowadzić.

- Daję słowo, że do czwartej pokój będzie lśnił jak złoto.

Dotrzymał obietnicy. Ella z zadowoleniem przyjęła efekty jego pracy. Ścieleniem łóżka zajęła się jednak osobiście. Nie tylko dlatego, że była pod tym względem bardzo pedantyczna - po prostu czerpała przyjemność z wdychania świeżego zapachu suszonych na słońcu prześcieradeł i poszew.

Rainwater zjawił się o ustalonej porze. Siostry Dunne poszły do wypożyczalni książek - specjalnie przerobionej w tym celu furgonetki, która przyjeżdżała do Gilead co dwa tygodnie. Margaret

urzędowała w kuchni, gdzie prasowała, a jednocześnie miała baczenie na Solly'ego. Pan Hastings nie wrócił jeszcze do miasta.

Pomijając zegar szafkowy w saloniku dla gości, wybijający cicho czwartą po południu, w domu panowała absolutna cisza, kiedy Ella otwierała Rainwaterowi siatkowe drzwi od frontu. Po wymianie uprzejmości zaprowadziła go na górę. Ich kroki dudniły głucho na świeżo wypastowanej podłodze korytarza.

Zatrzymał się w otwartych drzwiach sypialni i zlustrował ją wzrokiem. Zwrócił uwagę na każdy szczegół, nie wyłączając gałązki kapryfolium w wazonie z wodą, który Margaret postawiła na biurku.

- Słusznie obstawała pani przy swoich standardach. Teraz pokój wygląda znacznie przyjemniej. Dziękuję.

- Nie ma za co.

- Zdaję sobie sprawę, że prosząc o wcześniejsze przygotowanie go, przysporzyłem pani kłopotu, ale chciałem się wprowadzić jak najszybciej.

Skwitowała to skinieniem głowy, w obawie, że ewentualna uwaga na temat takiego pośpiechu mogłaby zostać źle odebrana.

Wręczył jej białą kopertę ze swoim nazwiskiem, starannie wypisanym czarnym atramentem.

- Czysz za pierwszy tydzień. Proszę mnie zawiadomić, ile jestem winien bratu Calvinowi.

A potem wniósł do pokoju dwie brezentowe walizki i delikatnie zamknął za sobą drzwi.

- Z północnego Teksasu. Mniej więcej w pół drogi między Dallas i Texarkana.

Podczas wieczornego posiłku siostry Dunne bez przerwy zasypywały Rainwatera pytaniami. Ella właśnie zbierała puste talerze na tacę, kiedy panna Violet zainteresowała się, skąd pochodzi nowy lokator. Panna Pearl, która wpatrywała się w niego z drugiej strony stołu rozmarzonym wzrokiem, oświadczyła:

- Ta okolica słynie z upraw bawełny.

- Pan o tym wie, siostró - zganiała ją Violet. - Przecież handluje bawełną.

- Jakbym sama o tym nie wiedziała - odcięła się Pearl szorstko. - Tak tylko mówiłam.

- Czy do placzka z owocami podać śmietanę, panno Pearl? - wtrąciła się Ella taktownie, żeby zapobiec kłótni między siostrami.

- Śmietanę? Ach, tak, proszę. Nie sądzi pan, że placek owocowy najlepiej smakuje ze śmietaną, panie Rainwater?

- Bez dwóch zdań. - Zerknął na Elle; kąciki jego ust drgały, gdy usiłował powstrzymać uśmiech. - Ja również poproszę ze śmietaną.

- Kawy?

- Bardzo chętnie. Podniosła tacę.

Rainwater wstał.

- Mogę pani pomóc?

- Nie.

Ella powiedziała to z dużo większym naciskiem, niż zamierzała, wprawiając w zdumienie wszystkich obecnych, nawet samą siebie.

Siostry gapiły się to na nią, to na nowego lokatora. Bez wątpienia były zaskoczone jego bezprecedensową propozycją pomocy nie mniej niż Ella.

- Nie, proszę pana, bardzo dziękuję - wybąkała, żeby ukryć zażenowanie, i pośpiesznie ruszyła do kuchni.

Wychodząc z pokoju, usłyszała, jak panna Violet odchrząknęła cicho i zapytała:

- Powie nam pan coś o swojej rodzinie?

- Moi rodzice nie żyją, a jestem jedynakiem.

- Jaka szkoda - rzekła Pearl. - Violet i ja przynajmniej mamy siebie. Wszyscy inni w naszej rodzinie już umarli.

Drzwi kuchni się zamknęły, więc Ella nie usłyszała odpowiedzi Rainwatera.

- Te stare pańcie doprowadzą go do szału, jak się tak będą dopytywać - oświadczyła Margaret, kręcąc głową

- Wcześniej słyszałam, że ty też go podpytywałaś.

- Tylko przez grzeczność - burknęła służąca. Przyjrzała się Elli uważniej. - Pani aby nie chora?

- Chora? Skądże znowu. Co też ci przyszło do głowy?

- Ma pani rozpaloną twarz. Oby tylko nie złapała pani tej paskudnej grypy żołądkowej. Niektórych przykuwa do łóżka na całe tygodnie.

- Nie mam gorączki. Nałożyłaś już placek?

- A bo ja kiedy nie naszykowałam deseru przed zmywaniem? -
Ruchem ramienia służąca wskazała talerze z ciastem, przygotowane do ustawienia na tacy. - Co z tymi żaluzjami w oknach od frontu?

- A co ma być?

- Już żem mówiła. Brat Calvin zaproponował, że je pomaluje.

Ella postawiła na tacy serwis do kawy.

- W tej chwili nie stać mnie na malowanie.

- Marnie wyglądają.

- Wiem, że należy je pomalować, Margaret, ale...

- Brat Calvin powiedział, że nie policzy dużo. Miło z jego strony, że przyniósł nam te jeżyny. Sam je zebrał.

Ella westchnęła.

- Przyślij go do mnie, porozmawiam z nim o tych żaluzjach. Zobaczymy. - Spojrzała na talerz syna. Zjadł na kolację za mało, żeby mógł nabrać sił. - Solly może już dostać placek.

Margaret uśmiechnęła się do siedzącego chłopca, wyjmując ręce ze zlewu i otrzepując je z wody po zmywaniu naczyń.

- Już ja sama nakarmię tego brzdąca.

Ella przeszła z tacą do drzwi, oparła się o nie plecami i pchnęła.

- David.

- Co proszę?

- To imię pana Rainwatera - wyjaśniła Margaret. - Po mojemu chciałaby pani wiedzieć.

Ella obrzuciła ją zirytowanym spojrzeniem, wycofując się za drzwi. Kiedy odwróciła się twarzą do jadalni, jej wzrok padł na pana

Rainwatera, który patrzył wprost na nią. Przez sekundę spoglądał jej w oczy, a po chwili z powrotem zajął się panną Violet, która opowiadała mu o pasjonującym życiu, jakie wiodły z Pearl jako nauczycielki w szkole publicznej.

- Przyznasz, siostrze, że tak miła pogawędka z nowym znajomym to wielka przyjemność? - rzekła Violet.

- O tak, to prawda. - Pearl kokieteryjnie pogładziła koronkowy kołnierzyk. - Mam nadzieję, że zostanie pan z nami na długie lata.

Unikając jej wzroku, Ella z beznamiętną twarzą podała placek z jeżynami i śmietaną.

Siedziała przy kuchennym stole nad swoją kolacją, gdy naraz wysunął głowę zza drzwi. Natychmiast zerwała się na nogi, wycierając usta.

- Pan Rainwater. Czym mogę służyć?

Wszedł do kuchni.

Margaret przerwała to, czym się akurat zajmowała, i posłała mu szeroki uśmiech.

- Kawa jest jeszcze gorąca - powiedziała.

- Dziękuję, mnie już wystarczy.

Solly, który siedział naprzeciwko matki i stukał łyżeczką o skraj blatu stołu, nie zareagował. Nowy lokator ruchem głowy wskazał talerz Elli.

- Zastanawiałem się, kiedy pani jada.

- Potrzeba panu czegoś?

- Przepraszam, że zakłócam pani posiłek. Chciałem tylko spytać, czy mogę zapalić światło na werandzie, żeby poczytać na dworze?

- Ależ oczywiście. Włącznik jest...

- Już go znalazłem. Najpierw jednak wołałem spytać.

- Proszę tylko pamiętać, żeby zgasić, kiedy będzie pan wracał do środka.

Spojrzał na Solly'ego, który wciąż rytmicznie bębnił łyżką, a potem skinął głową Margaret i Elli i wyszedł.

- Miło z jego strony, że zapytał - powiedziała Margaret. - Ten, jak mu tam... ten, co to trącił gorzałką, on to się nigdy o nic nie spytał. Mam nadzieję, że pan Rainwater zostanie u nas na dłużej.

Ella usiadła i wróciła do jedzenia.

Kiedy Margaret wyszła do domu, Ella położyła Solly'ego spać. Zasnął od razu, ale nadal klęczała obok łóżka, patrzyła na jego słodką buzię i słuchała, jak chłopiec cicho oddycha. Dopiero gdy rozboleły ją kolana, ucałowała powietrze tuż nad jego policzkiem i bezszelestnie wymknęła się z pokoju, zostawiając syna pogrążonego w spokojnym śnie.

A jednak nawet siedząc przy kuchennym stole i łuskając fasolkę „czarne oczko” na następny dzień, nasłuchiwała, czy przypadkiem Solly się nie wierci. Kiedy po raz ostatni obrzuciła spojrzeniem kuchnię i zgasła światło, było już dobrze po dziesiątej.

Gdy szła ciemnym korytarzem, kark i barki paliły ją z bólu. Na werandzie od frontu światło było zgaszone - Rainwater nie zapomniał.

Mimo to podeszła, by sprawdzić, czy zamknął też siatkowe drzwi. Nie zaryglował ich. Wyciągnęła rękę do zatrzasku.

- Jeśli go pani zasunie, nie dostanę się do środka.

Podskoczyła na dźwięk jego głosu.

- Przepraszam - powiedział. - Nie chciałem pani wystraszyć.

Pchnęła drzwi i wyszła na werandę. Rainwater siedział po ciemku na wiklinowym krześle.

- To ja przepraszam. Zobaczyłam, że światło jest zgaszone, i pomyślałam, że wrócił pan do domu. Mam sobie za złe, że zakłóciłam pańską samotność.

- Nic podobnego. Zgasilem światło, bo doskwierały mi owady, które przyciągało. - Wstał, wskazując jedno z pozostałych krzeseł. - Proszę dotrzymać mi towarzystwa.

Po dłuższym wahaniu przeszła na drugą stronę werandy i usiadła.

- Powietrze jest tak rześkie, że nie mogłem się zmusić do powrotu - rzekł, uśmiechając się do niej. - Chociaż pokój jest bardzo wygodny.

- Miło mi, że się panu spodobał.

- Tapeta w róże i tak dalej.

Zapadła cisza, zakłócana tylko nocnym śpiewem cykad, szczekaniem psa w oddali i cichym skrzypieniem wikliny, gdy Rainwater zmieniał pozycję na krześle. Wyciągnął przed siebie długie nogi, luźno splótł ręce na książce leżącej na jego kolanach, odchylił głowę do tyłu - wydawał się całkiem rozluźniony.

Ella nie była pewna, czy tak swobodna postawa jest na miejscu, kiedy kobieta i mężczyzna - obcy sobie ludzie - siedzą sam na sam w

ciemności. A właściwie miała przekonanie graniczące z pewnością, że tak być nie powinno. Sugerowało to nie do końca stosowną zażyłość, mimo że krzesła, na których siedzieli, dzieliło kilka metrów.

- Dokąd trafiła ta żywność?

Spojrzała na niego.

- Jedzenie, które Margaret pakowała, kiedy wszedłem do kuchni - wyjaśnił. - Dokąd je pani wysłała?

- Do slumsów. Leżą na wschodnim krańcu miasta, za torami kolejowymi.

Wciąż jej się przyglądał, uniesione brwi świadczyły o jego zdziwieniu.

- Założyło je kilku włóczęgów, którzy wysiedli tu z pociągu towarowego, żeby rozbić obozowisko nad rzeką. Stróże prawa ich stamtąd przegonili, ale wciąż przybywali następni, więc w końcu szeryf machnął ręką i przestał ich nękać. Teraz już rzadko kiedy ktoś się ich czepia. Liczba stale się zmienia, ale na moje oko zawsze jest ich tam kilkuset. Całe rodziny. Dlatego co kilka dni wysyłam im resztki, które mi zostały... czerstwe pieczywo, przejrzałe owoce. Tego typu rzeczy.

- To bardzo wielkoduszne z pani strony.

Schyliła głowę i wygładziła spódnicę.

- Inaczej musiałabym wyrzucać jedzenie.

- Moim zdaniem mieszkańcom slumsów nie przeszkadza, że jabłko jest poobijane.

- W zamian za te ochłapy proszę, żeby nie przychodzili zebrać do mojego domu. Oni przekazują to nowym przybyszom i przejeźdnym. Nie chodźcie po jałmużnę do Pensjonatu Barron. I tak nic tam nie dostaniecie.

- A jednak prowadzi pani działalność dobroczynną.

Nie chciała wysłuchiwać od niego pochwał, na które nie zasłużyła.

- Dobroczynnością zajmowałabym się wtedy, gdybym osobiście zawoziła jedzenie tym biedakom. Ale ja tego nie robię, proszę pana. Wysyłam Margaret.

- Niektórzy, a właściwie prawie wszyscy ludzie, w ogóle by się nie fatygowali - odparł spokojnie.

Miała ochotę zaprotestować, ale się rozmyśliła - intuicyjnie rozumiała, że lepiej zmienić temat. Znowu zapadła cisza. Ella czuła, że milczenie nie jest dla niego tak kłopotliwe jak dla niej. Odnosiła wrażenie, że trwa ono w nieskończoność, i w pewnej chwili już miała wstać i wrócić do domu, gdy Rainwater zapytał nagle:

- Czy spędziła tu pani całe życie?

- Urodziłam się w tym domu. Ojciec postawił go krótko po ślubie z moją matką. Kilka lat później dobudował pokoje, które zajmujemy teraz z Sollym. Pomijając ten dodatek i przeróbki łazienek i kuchni na bardziej nowoczesne, wszystko wygląda dokładnie tak samo jak w dniu, kiedy przyszedłam na świat.

- Pani rodzice nie żyją?

- Tak.

- A rodzeństwo?

- Miałam braci bliźniaków, trzy lata młodszych ode mnie. Obaj zmarli we wczesnym dzieciństwie.

- Współczuję.

- Właściwie wcale ich nie pamiętam. - Spojrzała w kierunku ujadającego psa, dzięki czemu mogła odwrócić się od Rainwatera. - Mama i tata nigdy o nich nie mówili.

Żal po stracie dzieci najwidoczniej był dla jej rodziców nie do zniesienia. Żadne z nich nie potrafiło się od tego uwolnić. Zdawało się, że matka z dnia na dzień stała się zimną, zgorzkniałą kobietą. Przestała się uśmiechać, nie sprawiała jej już radości zdrowa córka, którą od tej pory trzymała na dystans. Ojciec Elli, który oprócz synów stracił także uczucie i zainteresowanie żony, znalazł pociechę w butelce whisky. W wieku czterdziestu pięciu lat zmarł na marskość wątroby.

Po jego śmierci matka Elli zmuszona była odnajmować pokoje lokatorom. Gdy w końcu umarła z żalu - co, zdaniem Elli, przyniosło jej prawdziwe wybawienie - prowadzenie pensjonatu spadło na córkę. Ella miała wtedy osiemnaście lat. Ale pomimo młodego wieku - choć zakrawało to na pychę - zarządzała domem lepiej, niż robiła to matka.

- Murdy powiedział mi, że jest pani wdową.

Odwróciła się i zmierzyła Rainwatera ostrym spojrzeniem, lecz zaraz spuściła wzrok.

- To prawda.

- Okropna strata.

Pokiwała głową.

- I wszystkie obowiązki związane z synem spadły na panią.

Podniosła głowę.

- Solly to nie żaden obowiązek, drogi panie. To dziecko. Moje dziecko. Dar.

Podkulił długie nogi i nachylił się ku niej.

- To oczywiste. Nie chciałem sugerować, że...

- Wracam do środka. - Wstała szybko.

On też podniósł się z krzesła.

- Proszę tego nie robić - rzuciła.

- Słucham?

- Proszę się nie zrywać, kiedy wstaję albo wchodzę do pokoju.

- Ja...

- Nie oczekuję takiego zachowania. Okazywanie mi takich względów jest najzupełniej zbyteczne. Jestem właścicielką pensjonatu, w którym pan mieszka, a nie pańską... pańską... - Wiedziała, kim jest dla niego, ale nie potrafiła wymyślić, kim dla niego nie jest. W każdym razie jej pozycja nie dawała podstaw do takiej uprzejmości na każdym kroku. - Nie musi pan wstawać ze względu na mnie.

- Kiedy kobieta wstaje, robię to samo. Tak mnie wychowano.

- Nie wątpię, ale...

- Nawyki wchodzą w krew. Ale nie zrobiłbym tego, gdybym wiedział, że panią rozzłoszczę.

- Wcale się nie zezłościłam. - Ostry ton świadczył o czymś wręcz przeciwnym.

Jego oczy przebiły ciemność między nimi, prześlizgnęły się po jej oczach, a właściwie przewierciły ją na wylot, pozostawiając niemiłe wrażenie skrępowania i poczucie, że jest bezbronna.

- Dobranoc.

Odwróciła się i ruszyła do domu, ale kiedy sięgnęła do klamki, jego ręka znalazła się tam pierwsza. Przekręcił gałkę, otwierając przed nią siatkowe drzwi. Nie stroiła już fochów na temat jego manier, tylko weszła do środka. Poszedł w jej ślady, a potem stał i patrzył, jak wspina się na palce, żeby zasunąć rygiel.

- Ta zasuwka chyba jest umieszczona za wysoko jak dla pani?

- Tak, to bardzo niewygodne. - Zaryglowała drzwi i odwróciła się twarzą do niego. - Ale musi być tak wysoko, żeby Solly nie mógł jej dosięgnąć. Kiedyś wymknął się z domu i znaleźliśmy go dopiero wiele godzin później. Szedł po torach kolejowych.

Rainwater powoli, z wyraźnym smutkiem, wypuścił powietrze z płuc.

- To moja pierwsza noc w pani domu. Niestety, nie zrobiłem dobrego wrażenia.

- Niech pan się nie stara mi zaimponować.

- Chciałbym dobrze wypaść w pani oczach.

- Wypadł pan w moich oczach wystarczająco dobrze, żeby mi wynajęła panu pokój. A poza tym...

- Nie wyrobiła pani sobie zdania na mój temat - dokończył za nią, jeszcze bardziej wzmagając jej rozdrażnienie.

Irytował ją i on, i cała ta rozmowa.

- A żeby pan wiedział. Staram się nie oceniać ani pana, ani innych moich lokatorów, bo nie chcę, żeby oni z kolei oceniali mnie, Solly'ego i naszą sytuację.

Przyglądał jej się przez chwilę.

- Powinna pani częściej się złościć - powiedział w końcu. - Moim zdaniem to pani dobrze robi.

Jego szczerość sprawiła, że zaniemówiła. Stała więc w milczeniu, urażona, i mierzyła go wzrokiem.

- Życzę dobrej nocy. - Ominął ją i poszedł na górę.

Rozdział piąty

Minął tydzień. Jeśli nie liczyć śniadań i kolacji, Ella prawie nie widywała Davida Rainwatera. Podczas posiłków z godną podziwu wyrozumiałością znosił paplaninę siostr Dunne i ich źle skrywane wścibstwo.

Stare panny zaczęły się stroić do kolacji - co wieczór schodziły w swoich najlepszych niedzielnych kreacjach, obwieszane biżuterią. Tłumaczyły tę nagłą zmianę, pytając retorycznie, jaki sens ma posiadanie pięknych rzeczy, skoro się ich nie nosi? Pewnego razu Ella poczuła nawet zapach wody kolońskiej i podejrzewała, że roztacza go

panna Pearl, która w towarzystwie nowego lokatora zawsze zachowywała się jak kokietka.

Któregoś dnia wrócił pan Hastings, tak późnym popołudniem, że ledwo zdążył umyć ręce przed kolacją. Podczas gdy Ella podawała na stół sałatkę, siostry dokonały prezentacji.

- Pan Rainwater? Miło pana poznać - powiedział komiwojażer. - Nie zaszkodzi mieć w domu jeszcze jednego mężczyznę. Czy gra pan w szachy?

- Niestety, niezbyt dobrze.

- Znakomicie! Może wreszcie uda mi się wygrać partyjkę. Ech, pani Barron, jakże mi brakowało pani kuchni! Tam, gdzie bywałem, nawet nie mogłem marzyć o czymś takim.

- Dziękuję. Czy wyjazd okazał się owocny?

- Przykro powiedzieć, ale nie ma się czym chwalić. Moi klienci nie kupują już tyle co kiedyś. Prawdę mówiąc, kupują bez porównania mniej, bo i tak nie mogą wyprzedać tego, co mają na stanie. Dziś mało kogo stać na artykuły pasmanteryjne. Ludzie mają szczęście, jeśli mogą sobie pozwolić na regularne posiłki. Prezydent Roosevelt wygłasza optymistyczne przemówienia, a tymczasem wygląda na to, że wcale nie jest lepiej, tylko coraz gorzej.

- Dlatego tym bardziej my wszyscy powinniśmy być wdzięczni za błogosławieństwo losu - oświadczyła panna Violet.

Tego wieczoru po kolacji mężczyźni grali w szachy w saloniku dla gości, a siostry słuchały radia w części prywatnej. Pracując w

kuchni, Ella słyszała dźwięki muzyki, a co jakiś czas z pokoju od frontu dolatywały męskie głosy.

Pan Hastings został przez dwa dni, a potem z determinacją zniósł po schodach walizki z próbkami i zapakował je do samochodu.

- Wrócę prawdopodobnie w przyszły wtorek - poinformował Ellę. - Zadzwoń, gdybym z jakiegoś powodu miał się spóźnić.

- Życzę panu miłej podróży.

Uchylił kapelusza i odjechał. Tego dnia wieczorem Rainwater natychmiast po kolacji przeprosił towarzystwo i udał się do swojego pokoju. Nie spędzał już więcej wieczorów na werandzie, w każdym razie Ella nic o tym nie wiedziała.

Ich spotkania przebiegały w atmosferze uprzejmości, były jednak krótkie i sztywne, jakby każde z nich uważało, żeby nie urazić drugiej strony. Nowy lokator zastosował się do życzenia Elli i już nie wstawał, kiedy wchodziła do pokoju, ani nie wrywał się z innymi przejawami nadmiernej kurtuazji. Miała uczucie, jakby się poróżnili. Ale przecież nie doszło między nimi do kłótni. W zasadzie nie. W każdym razie Ella unikała przebywania z nim sam na sam, a on nie próbował szukać jej towarzystwa.

I właśnie tak być powinno.

Zanim doszło do ich kolejnej rozmowy na osobności, mieszkał u niej już dwa tygodnie. Ella sprzątała na piętrze, a Margaret poprawiała zasłony w salonie od frontu i pilnowała Solly'ego, który zajmował się swoją ulubioną rozrywką, czyli bawił się szpulkami po niciach.

Ella taszczyła po schodach kosz z przyborami do sprzątanía, gdy naraz usłyszała dziwne dźwięki, których nie potrafiła rozpoznać. Idąc ich śladem, przemierzyła kuchnię, wyszła tylnymi drzwiami i obesła dom.

Rainwater dorwał się do motyki i rąbał nią na kawałki suchą glebę między rzędami krzaków pomidorów. Powiesiwszy marynarkę i kamizelkę na słupku siatki, pracował w samej koszuli, z podwiniętymi za łokcie rękawami. Na jego plecach krzyżowały się szelki, tworząc znak „X” w miejscu, gdzie przepocona koszula przykleiła mu się do pleców.

- Panie Rainwater!

Słyszając jej okrzyk, odwrócił się.

- Uszanowanie pani.

Jedną ręką oparł się na trzonku motyki, a drugą zsunął kapelusz na tył głowy i rękawem otarł pot z czoła.

- Co pan wyrabia? - zapytała.

Spojrzał wzdłuż trzonka motyki na świeżo skopaną ziemię i wyrwane z korzeniami, usychające na słońcu chwasty. Podniósł głowę i popatrzył na Ellę z ledwo skrywanym rozbawieniem - znajomym, a mimo to niepokojącym.

- Pielę ogród warzywny - wyjaśnił.

To spokojne stwierdzenie oczywistego faktu rozzłościło ją jeszcze bardziej. Chwasty, które wykopał, dowodziły niezbitcie, że należało się zająć walczącym o przetrwanie ogrodem, ale taki tupet z jego strony był nie do przyjęcia.

- Jutro sama zamierzałam je wypielić. - Spojrzała na pałac popołudniowe słońce. - Z samego rana. Zanim jeszcze nastanie najgorszy upał.

Parsknął stłumionym śmiechem.

- Rzeczywiście jest gorąco. Aż trudno oddychać.

- Do tego właśnie zmierzam, drogi panie. Pomijam już fakt, że nie powinien pan przejmować moich obowiązków, zwłaszcza jeśli mnie pan przedtem nie spytał o pozwolenie, ale tak forsowna praca jak pielienie ogrodu z pewnością nie wpływa korzystnie na zdrowie kogoś w pańskim stanie.

Rozbawienie Rainwatera prysło, jego twarz stężała, pod napiętą skórą uwydatniły się sterczące kości.

- Obiecuję, że nie padnę trupem na pani krzaki pomidorów.

Słyszając jego ton, poczuła się, jakby ją spoliczkował. Być może nawet się wzdrygnęła, bo natychmiast wypuścił motykę spod pachy i zrobił krok w jej kierunku.

- Przepraszam. - Zerwał kapelusz z głowy, przeczesał palcami włosy i dopiero kiedy były ulizane do tyłu, znów zakrył głowę. - Proszę o wybaczenie. To było nie na miejscu.

Nie potrafiła wykrztusić słowa, nie otrząsnęła się jeszcze z zaskoczenia.

- Pani uważa, że skoro postanowiłem wypielić ogród, to tym samym sugeruję, że pani się do tego nie nadaje? - spytał. - Nic podobnego, proszę pani. Nie przyszło mi na myśl, że może pani błędnie odczytać moje intencje. Prawdę mówiąc, w ogóle się nad tym

nie zastanawiałem. To był spontaniczny odruch, a co najważniejsze, nie zrobiłem tego ze względu na panią. Zrobiłem to dla siebie.

Zadarła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Ja chcę i muszę się czymś zająć. Odkąd się tu wprowadziłem, nie zrobiłem nic konstruktywnego, a nie znoszę bezczynności. Wtedy dni i noce mijają tak strasznie powoli. - Posłał jej smutny uśmiech. - Pewnie pani uważa, że lubię, jeśli czas płynie powoli, ale ja gardzę nieróbstwem. Chcę mieć zajęcie i być aktywny tak długo, jak tylko się da.

Przez kilka sekund wpatrywał się w nią z takim skupieniem, jakby chciał ją zmusić, żeby zrozumiała. A potem westchnął, zgarbił się lekko i schylił po motykę.

- Odniosę ją do komórki.

Zdjął ze słupka marynarkę i kamizelkę i przeszedł przez rozklekotaną bramę w drucianym ogrodzeniu, które czasami, acz rzadko, powstrzymywało króliki przed pustoszeniem ogródka.

Mijając Elle, powiedział:

- Nie chciałem, żeby to wypadło, jakbym się zezłościł.

Zatrzymał się i odwrócił do niej. Przed oczami miała jego szyję, odsłoniętą, bo poluzował krawat i odpiął górny guzik. Jego skóra była śliska od słonego potu. Pachniał nim, a także słońcem, upałem, świeżo skopaną ziemią.

Rzeczywiście, w tym skwarze trudno jest oddychać, pomyślała. W każdym razie powietrza, które zaczerpnęła, było jej za mało.

- Moi lokatorzy nie powinni mnie wyręczać w obowiązkach.

- Nawet jeżeli dzięki temu są szczęśliwi?

Spojrzała mu w oczy.

- Czy jest w tym coś złego, proszę pani? - zapytał cicho.

- Złe jest to, że nie życzę sobie burzenia ustalonego porządku dnia. - W jej głosie brzmiała desperacja, niemal strach.

Odetchnęła głęboko i ciągnęła:

- Gdybym pozwalała wszystkim lokatorom robić, co im się żywnie podoba, w domu wkrótce zapanowałby chaos. Nie mogę dopuścić, żeby...

Urwała z wrażenia, gdy położył rękę na jej ramieniu. Ale zanim w pełni dotarło to do niej, uświadomiła sobie, że przestała być obiektem jego zainteresowania. Spoglądał na coś za jej plecami. Upuścił na ziemię swoje ubrania i motykę, a jednocześnie łagodnie, lecz stanowczo odepchnął ją na bok i puścił się biegiem.

- Bracie Calvinie?

Ella odwróciła się i ujrzała pastora siedzącego okrakiem na mule. Dyndając nogami po bokach zwierzęcia, brat Calvin jechał tak pochylony, że czołem niemal dotykał sztywnej grzywy muła. Na oczach zdumionej Elli puścił sznurek służący za uzdę, przechylił się na bok i osunął na ziemię.

Rainwater dopadł do młodego pastora, przyklęknął i delikatnie odwrócił go na plecy. Ella jęknęła. Twarz leżącego była napuchnięta i zakrwawiona. Rainwater syknął przez zęby. Czując, że sytuacja jest krytyczna, Ella zawróciła na pięcie i pobiegła w kierunku kuchni.

Przez siatkowe drzwi zawołała Margaret, czym prędzej wróciła i opadła na kolana obok dwóch mężczyzn.

- Co mu się stało?

- Moim zdaniem został pobity - odparł Rainwater.

Brat Calvin krwawił z kilku ran na twarzy i czubku głowy. Jego ubranie było podarte. Miał tylko jeden but. Był przytomny, jęczał, ale jego głowa opadła, gdy Rainwater wsunął mu rękę pod ramiona i unióśł do pozycji siedzącej.

- Proszę mi pomóc wnieść go do środka - zwrócił się do Elli.

Postura brata Calvina nie ułatwiała zadania. Rainwater zarzucił sobie jedną jego rękę na ramię, a Ella zrobiła to samo z drugiej strony. Każde z nich wsunęło bark pod pachę pastora i wspólnym wysiłkiem chwiejnie dźwignęli go na nogi. Krok po kroku ni to zataszczyli, ni to zawlekli do schodków na tyłach domu.

Margaret otworzyła siatkowe drzwi i widząc ukochanego pastora w takim stanie, zaczęła wrzeszczeć.

- Dość tego! - Ella przywołała ją do porządku. - Musisz nam pomóc. Złap go za nogi.

Służąca nie mogła wykrztusić słowa. Poczłapała na dół, uchwyciła nogi pastora i tyłem weszła po schodkach. Wszyscy troje chwiali się i zataczali pod ciężarem rannego, ale wspólnymi siłami udało im się przejść przez drzwi.

- Połóżmy go na podłodze - polecił Rainwater.

Zrobili to tak delikatnie, jak to tylko możliwe, jednakże brat Calvin wciąż jęczał z bólu. Ella obawiała się, że najgorsze mogą się okazać obrażenia wewnętrzne.

- Przynieś ręczniki i miskę wody - poleciła służącej. - I weź z mojej łazienki merкуроchrom. Gdzie jest Solly?

- A tu, za panią. Nie zapomniałam go zabrać, kiedy mnie pani zawołała.

Solly siedział na podłodze, oparty plecami o drzwi spiżarni, z nogami wyciągniętymi pod kątem prostym w stosunku do tułowia. Gapił się na swoje buty i stukał jednym o drugi, nieświadomy tego, co się dzieje.

Ella odwróciła się do brata Calvina, który znowu jęknął, gdy Rainwater dotknął palcami wielkiego guza na jego skroni.

- Mam wezwać doktora Kincaida? - zapytała.

- I szeryfa.

- Nie! - Brat Calvin gwałtownie otworzył oczy. Czarna tęczęwka w prawym oku pływała w kałuży czerwieni. - Nie. Proszę, nie. Żadnego lekarza. Ani szeryfa.

Mówiąc, podkreślał swoje słowa stanowczym kiwaniem głową, co na pewno przysparzało mu wiele bólu, bo znów zamknął oczy i jęknął. Margaret przyniosła miskę z wodą. Ella jak najdelikatniej przemyła rany pastora i skropiła je środkiem odkażającym.

W końcu brat Calvin przestał jęczeć i zaczął dziękować Elli za jej dobroć. Nie bacząc na swój stan, dopytywał się, co z mułem.

- A co ma być? - spytała Ella.

- On nie należy do mnie. - Między jękami z bólu wyjaśnił, że boi się, żeby zwierzę nie uciekło, wobec tego Rainwater przywiązał muła do słupka ogrodzenia, wrócił i zapewnił pastora, że pożyczony muł nigdzie się nie wybiera.

Brat Calvin przekonał ich, że zdoła wstać, więc pomogli mu usiąść na krześle przy stole.

- Czy boli pana coś w środku? - spytała Ella.

- Żebra. Kilka jest pewnie złamanych.

- Na pewno nie ma pan krwotoku wewnętrznego?

Pokręcił głową.

- Nie, proszę pani. Nie jest aż tak źle.

Było jednak dostatecznie źle, żeby wystraszyć pannę Violet, która zajrzała po coś do kuchni. Na widok krwawiącego Murzyna siedzącego przy stole zamarła w bezruchu. Przycisnęła do kościstej piersi upstrzoną starczymi plamami dłoń, pisnęła: „O jejku!”, i wycofała się czym prędzej.

Najwyraźniej bez względu na to, co tu się działo, starsza pani nie chciała mieć z tym nic wspólnego. Elli było to bardzo na rękę.

Margaret podsunęła pastorowi szklanę herbaty. Uniósł ją oburącz i zaczął siorbać. Ella zwróciła uwagę na jego zakrwawione i obtarte kostki dłoni. Widocznie sam też zadał wiele bolesnych ciosów.

- Co się stało? Kto to panu zrobił? - zapytał Rainwater.

Jego biała koszula była poplamiona krwią rannego, ale najwyraźniej się tym nie przejmował.

- Strzelali do krów.
- Panie, miej nas w swojej opiece! - załkała Margaret.
- Wysłannicy rządowi? Ze służby do walki z suszą? - dopytywał się Rainwater.

Pastor polował głową.

- Czyje to było stado? - zaciekawiała się Ella.

- Pritchetta, tak się podobno nazywa.

Spojrzała na Rainwatera.

- George Pritchett - wyjaśniła. - Jego rodzina hoduje mleczne krowy przynajmniej od trzech pokoleń.

Na początku tego roku rząd federalny utworzył program mający na celu uchronienie farmerów - hodowców krów mlecznych i bydła na ubój - od całkowitej ruiny. Najgorsza od stu lat susza spowodowała, że stany na Środkowym Zachodzie zyskały przydomek „pustyni”. Tereny przeznaczone niegdyś pod uprawę albo do wypasu bydła zmieniły się w olbrzymie nieużytki, pustoszone przez wiatry i chmary owadów.

W reakcji na nieustannie pogłębiający się kryzys Kongres przeznaczył miliony dolarów na skupywanie krów mlecznych i bydła mięsnego od hodowców, których stada dosłownie zdychały z głodu. Agenci rządowi mieli prawo płacić do dwudziestu dolarów za sztukę, czyli znacznie poniżej wartości rynkowej w normalnych czasach, ale w obliczu katastrofy lepsze to niż nic.

Program wydawał się całkiem realny. Bydło na tyle zdrowe, że uznano je za nadające się do spożycia, wysyłano do Federal Surplus

Relief Corporation - rolniczej agencji rządowej powołanej na czas kryzysu - skąd trafiało do rzeźni i dalszego przerobu. Następnie konserwy mięsne rozdzielano pomiędzy obozowiska bezdomnych, jadłodajnie dla ubogich i ludzi żyjących poniżej minimum socjalnego. Hodowcy i ranczerzy mieli jakiś dochód, a głodni wreszcie mogli się najeść.

Program miał jednak pewien niepokojący aspekt. Te zwierzęta, których nie wybrano na ubój, zabijano na miejscu i zakopywano w dołach. Mogło to dotyczyć całego stada bądź jedynej krowy mlecznej drobnego rolnika. I chociaż program opracowano z myślą o pomocy rodzinom podwójnie dotkniętym suszą oraz kryzysem gospodarczym, to jednak żal było patrzeć, jak dorobek życia wielu ludzi niszczone w tak brutalny sposób.

- Wybrali najtłustsze sztuki ze stada... wiele ich tam nie było... zapakowali na ciężarówkę i wywieźli. Te, które zostały, zagonili do wykopanego dołu, wielkiego jak ten dom. Na skraju ustawiło się sześciu strzelców. Pan Pritchett wziął żonę i dzieci do domu i zamknął za sobą drzwi. Nie chciał patrzeć, jak mordowane krowy padają pokotem. Nieważne, że mu za nie zapłacili. Załamał się, upadł na duchu.

W trakcie tej relacji dudniący głos pastora nabrał siły, odbijał się echem od ścian kuchni, jakby kaznodzieja grzmiał z ambony, ostrzegając przed siarką i ogniem piekielnym.

- Nagle otworzyli ogień. Bydło wystraszyło się pierwszych strzałów. Ryczało. Padły krowy, cielęta, całe pogłowie.

Na samą myśl o tej jatce Elli zrobiło się niedobrze. Margaret przycisnęła dłoń do drżących ust. Rainwater poruszał chudą szczęką, jakby zgrzytał zębami.

- Wiem, że to jest konieczność - powiedziała Ella. - W założeniu ma nam pomóc. Ale to takie okrutne.

- Zwłaszcza dla kogoś, kto dniami i nocami trzodzi się, żeby wyhodować stado - dodał Rainwater. - Bracie Calvinie, kto cię pobił? I dlaczego?

Pastor otarł oczy podrapaną pięścią.

- Ci ze slumsów usłyszeli o tym, co się szykuje na farmie pana Pritchetta. Przyszli tam. Kolorowi i biali pospołu. Połączyło ich to, że wszyscy byli głodni. Wzięli ze sobą noże, siekiery i co tam kto miał. Przynieśli miski i garnki, bo myśleli, że uda im się rozebrać te krowy, zdjąć z tych chuderlawych szkieletów chociaż trochę mięsa, zanim się zepsuje na słońcu albo przykryje je ziemia. Jak ktoś się żywi mąką, wodą i zieleniną, to nie jest wybredny, jeśli mu się trafi kawałek mięsa.

Oczy znów zaszły mu łzami.

- Ale jak tylko ci agenci rządowi odjechali, zjawili się miejscowi, bo chcieli dopilnować, żeby nikt się nie pożywił tymi krowami. Ich przywódca miał karabin i fioletowe znamię na twarzy.

- Conrad.

Gdy Ella rzuciła to imię, Rainwater spojrział na nią ostro.

- Conrad Ellis - wyjaśniła. - Ma znamię pokrywające prawie całą twarz. Ogień, tak to się chyba nazywa.

- Ja na to mówię „znamię Kaina” - mruknęła Margaret.
- To zwyczajny zbir, zawsze taki był - dodała Ella.
- Taki oprych i podlec, że ze świecą szukać.
- Pan Ellis, ojciec Conrada, ma przetwórnię mięsa - ciągnęła Ella.
- Skupuje je od większości miejscowych ranczerów.
- Więc gdyby ci ludzie dostali mięso za darmo, zaszkodziłoby to jego interesom - zauważył Rainwater. - Dlatego wysłał tam syna, żeby biedacy nic nie dostali.

Ella zmarszczyła czoło.

- Conrad nie potrzebuje pretekstu. On zwyczajnie lubi bić ludzi. Stale szuka zwady.

- Zwłaszcza odkąd...

- Margaret!

Reprimenda ze strony Elli sprawiła, że służąca nie powiedziała nic więcej, tylko wstała i wściekła jak osa burknęła:

- Nastawię kawę.

Rainwater przenosił zdziwione spojrzenie z Elli na Margaret, aż w końcu skupił się na swojej gospodyni, która udała, że nie zauważa jego niewypowiedzianych pytań, i znów popatrzyła na brata Calvina.

- Dzisiaj ten biały chłoptaş właśnie rwał się do bitki - mówił pastor.

Opróżnił szklankę herbaty i ostrożnie odstawił ją na stół.

- Jak tylko rządowi strzelcy się wynieśli, ci biedacy ze slumsów wbiegli do dziury, a ja razem z nimi, no i zaczęliśmy porcjować krowy. Bo skoro i tak już nie żyły, mogły wykarmić ludzi. Dziś w

nocy. A nie dopiero kiedy rząd zacznie rozprowadzać konserwy. Tak sobie myślałem. Pan Pritchett chyba też tak uważał, bo razem z żoną wyszli na dwór i rozdawali noże wszystkim, którzy ich nie mieli.

Nagle zagrzmiał ryk silnika i te chłopaki nadjechały półciązarówką, trąbiąc i strzelając na wiwat. Wskoczyli z paki samochodu i wywijając kijami bejsbolowymi i strzelbami, krzyczeli, żeby ci biedacy się rozeszli. Nikt nie zwracał na nich uwagi, wszyscy dalej wycinali krowie mięso, więc tamci zaczęli okładać ich po głowach łojami i kolbami strzelb. Mężczyzn, kobiety, dzieci, jak popadnie.

- A co robili stróże prawa?

- Był tam szeryf i samochód pełen jego ludzi. Przyglądali się, ale nie reagowali, dopóki pan Pritchett nie wyciągnął śrutówki. Wszedł i krzyknął do chłopaków, żeby się wynosili z jego terenu i zostawili tych biedaków ze slumsów w spokoju, bo oni chcą tylko mięsa, które i tak by się zmarnowało. Wtedy szeryf kazał mu odłożyć tę głupią strzelbę, zanim kogoś zabije.

Pastor, kręcąc głową, wylewał morze łez.

- Widziałem to na własne oczy. Ten ze znamieniem wszedł na werandę i wyrwał syna z ramion pani Pritchett. Chłopczyk miał najwyżej dwa, trzy latka, a wredny typ zagroził, że rozbije małemu głowę, jeżeli pan Pritchett nie odłoży strzelby i nie pozwoli jemu i jego koleśiom dopilnować, żeby rządowy program przebiegał zgodnie z planem.

- Chryste Panie!

Pastor obrzucił Rainwatera smutnym wzrokiem.

- Nasz Pan wybacza panu bluźnierstwo. To był okropny widok. Koszmarny, także w Jego oczach. - Znów otarł łzy. - Po mojemu, nie o to chodziło panu Rooseveltowi, co pan o tym sądzi? Tak czy siak, pan Pritchett miał jak najlepsze intencje, ale gdy zobaczył, że żona wpadła w histerię, a życie jego syna jest zagrożone, odpuścił.

Przysiadł na schodkach werandy i patrzył, jak ci podli chłopcy wyganiali głodnych z powrotem do slumsów. Mógł tylko siedzieć i opłakiwać krwawą jatkę, jaką mu zgotowali na jego pastwisku. Był przy narodzinach większości tych krów, niektórym pewnie pomagał przychodzić na świat. Patrzył, jak najpierw masowo je zabijają, z potem marnują...

Pastor nie miał siły opowiadać dalej.

Gdy zamilkł, w zapadłej ciszy słyhać było tylko pyrkotanie maszynki do kawy na piecu i Solly'ego, który stukał butem o but. W końcu Ella zapytała:

- I co teraz?

- Zakopią je - skwitował Rainwater, a brat Calvin przytaknął ruchem głowy.

- Przy drodze niedaleko farmy stały spycharki. Tylko czekały, żeby podjechać i zasypać dół, który wykopali. - Ze smutkiem pokręcił głową. - Wiem, że ludzie chwytają się każdej pracy, jaka się nawinie. Ale nie sądzę, żebym mógł się najać do wystrzelania Bogu ducha winnych krów i ich cieląt. Wątpię, żebym potrafił zasypywać ich

szczałki w dole, kiedy tuż obok głodne dzieci płaczą, że chcą zjeść kolację.

Rainwater nachylił się ku niemu nad stołem.

- Próbował pan pomóc tym biedakom ze slumsów i znalazł się w wirze walki?

- Właśnie. Zaglądam do nich czasami i odprawiam nabożeństwo. Namawiałem ich, żeby byli gotowi, kiedy strzelcy zjawią się na farmie Pritchetta. Obiecałem im mięso. A przynajmniej kości na zupeć. Nie spodziewałem się, że jacyś ludzie będą grozili, że rozwalą główkę małemu dziecku kijem bejsbolowym. - Jego potężne ramiona drgały, gdy zaniósł się niepohamowanym płaczem. - Czuję się winny każdego ciosu, który tam padł.

Ella położyła dłoń na jego przedramieniu, żeby mu dodać otuchy.

- To nie pańska wina, bracie Calvinie. Próbował pan pomóc. - Spojrzała na Rainwatera. - Pan zna doktora Kincaida lepiej niż ja. Czy sądzi pan, że byłby skłonny pójść do slumsów i zająć się najciężej rannymi? Mnie nie wypada go o to prosić, ale pan jest jego krewnym.

Rainwater wstał, opuścił podwinięte rękawy koszuli.

- Już do niego idę.

- Po drodze do slumsów wstąpcie tutaj. Przygotujemy z Margaret trochę rzeczy.

Skinął głową i wyszedł przez tylne drzwi.

Rainwater wrócił z doktorem Kincaidem pół godziny później. Ella już na nich czekała.

- Przydałaby mi się pomoc! - zawołała z frontowej werandy.

Obaj mężczyźni wynieśli z domu pudła z żywnością, ubraniami oraz sprzętem kuchennym i włożyli je do samochodu Rainwatera.

- Spakowała pani to wszystko w tak krótkim czasie? - zdziwił się Rainwater, podnosząc worek po mące, pełen ubrań, z których wyrósł Solly.

- Zbierałam to od jakiegoś czasu i czekałam na stosowną chwilę, żeby komuś oddać.

Podczas gdy mężczyźni upychali resztę rzeczy do samochodu, Ella szybko poszła do kuchni, poprosiła Margaret, żeby przypilnowała Solly'ego, i obiecała, że wróci, zanim trzeba będzie podawać kolację. A potem chwyciła kapelusz i wybiegła frontowymi drzwiami.

- Zaczekajcie na mnie, ja też jadę!

- Nie ma takiej potrzeby, proszę pani - odparł lekarz.

Pocił się obficie.

- Wiem, że to nie jest konieczne, ale mogę się przydać.

- Może Margaret bardziej by się nadała...

- Doktorze, Margaret jest Murzynką. Nie narażę jej na zemstę bandy fanatycznych zbirów. Oni uwielbiają terroryzować ludzi. A już szczególnie wtedy, kiedy ich ofiara jest kolorowa.

Lekarz spojrział na Rainwatera, szukając wsparcia, ten jednak stanął po stronie Elli.

- Nie sposób dyskutować z takim argumentem, Murdy.

Lekarz wcisnął kapelusz na głowę.

- A zatem jedźmy. Żona i tak już się wściekła i przysięgła, że jeśli nie wrócę za godzinę, wezwie policję i każe mnie szukać.

Jednakże godzina to było stanowczo za mało, żeby opatrzyć wszystkich poszkodowanych w bijatyce na farmie Pritchetta.

Ella i Rainwater rozdzielali aspirynę i słowa otuchy wśród tych, którzy odnieśli drobniejsze obrażenia, a lekarz zajął się najcięższymi przypadkami. Nastawiał kości ponurym mężczyznom, którzy raczyli się bimbrem, żeby jakoś znieść ból. Bandażował krwawiące rany. Zszywał rozcięcia, dopóki wystarczyło mu nici chirurgicznych, a kiedy te się skończyły, smarował otwarte rany maścią antyseptyczną.

Przyjął poród martwego dziecka od kobiety, która uporczywie powtarzała, że to wprawdzie szkoda, że jej syn nie żyje, ale i tak nie miałyby go czym wykarmić. Powiedziała, że tej małej duszyczce lepiej będzie w niebie.

Kiedy już opatrzone wszystkich rannych, Ella i Rainwater krążyli pośród rozchwierutanych przybudówek, połatanych namiotów, kartonów z tektury i zardzewiałych samochodów, które służyły ludziom za schronienie. Rozdawali ubrania, sprzęty kuchenne, które Elli nie były już potrzebne, oraz przywiezioną żywność. W oczach obdarowanych, kiedy patrzyli na Elle, malowała się albo apatia, albo żałosna wdzięczność. Obie te reakcje niepokoiły ją w takim samym stopniu.

Rozdawszy wszystko, wróciła przez obozowisko do doktora Kincaida. Lekarz właśnie udzielał wskazówek kobiecie, która urodziła martwe dziecko. Cofnął się od jej posłania z wieka kartonu,

które przywlokła w cień orzesznika, i wyprostował, chwytając się za krzyż. Marynarkę i kapelusz zostawił w samochodzie. Koszulę miał brudną i moką od potu. Na rękawie widniała plama krwi.

- Zdaje się, że zrobiliśmy trochę dobrego - mruknął.

- Za mało.

- Tak. Dobrego nigdy za wiele. - Uśmiechnął się do Elli ponuro. - No, ale lepiej wracajmy, zanim moja małżonka wyśle za nami oddział pościgowy.

- Czy to będzie bolało? - zapytała.

- Nie, nie bardzo. Płód był mały, zaledwie siedmiomiesięczny. Jak na poród poszło względnie łatwo.

Nagle uświadomił sobie, że Ella wcale nie pytała o kobietę, która straciła dziecko przy porodzie. Patrzyła na Rainwatera. Właśnie witał się z mężczyzną w utyłanym kombinezonie, któremu dwoje umorusanych bosych dzieciaków czepiało się brudnych drelichowych nogawek spodni jeszcze brudniejszymi rączkami. Trzecie dziecko ojciec trzymał na rękach.

Wcześniej Ella podsłuchiwała, jak opowiadał Rainwaterowi, że przed tygodniem jego żona umarła na gruźlicę i nie wie, jak ma szukać pracy i jednocześnie pilnować dzieci.

Teraz była za daleko, więc nie słyszała, o czym rozmawiają, ale wyobrażała sobie, że Rainwater tłumaczył mu, żeby nie tracił nadziei. Puścił rękę mężczyzny, potargał włosy dzieciaka i odwrócił się, by dołączyć do Elli i doktora.

Spojrzała na lekarza - między nimi zawisło niewypowiedziane pytanie.

- Tak - powiedział.

Przeszły ją ciarki. Miała sucho w ustach, z trudem przełknęła ślinę.

- Może pan jakoś na to zaradzić?

- Owszem, jeśli mnie poprosi.

- A zrobi to?

Lekarz patrzył, jak jego krewniak toruje sobie drogę między ogniskami i grupkami ludzi.

- Tak, proszę pani - odparł głucho. - Poprosi mnie.

Rozdział szósty

W niedzielę po zajściach na farmie Pritchetta przejeżdżający półciężarówką zbir wybił butelką szybę w budynku Afrykańskiego Episkopalnego Kościoła Metodystycznego w trakcie wieczornego nabożeństwa. Butelka omal nie trafiła staruszki siedzącej na skraju ławki pod oknem, ale poza rozbiciem wielkiej tafli szkła nie wyrządziła innych szkód. Zbir dodał gazu i półciężarówką zniknęła, pozostawiając za sobą rasistowskie obelgi i chmurę pyłu.

Melodyjny głos brata Calvina zapanował nad wiernymi. Kobiety nie wpadły w panikę, mężczyźni nie rzucili się w pościg za półciężarówką. Kiedy już uspokojono wystraszoną dzieciarnię, brat Calvin znów podjął kazanie i zanim nabożeństwo dobiegło końca,

powiększył swoją trzódkę o kolejnych dziesięciu nowych wyznawców.

Pastor wciąż miał posiniaczoną twarz, ale na tym kończyły się jego obrażenia, jeśli nie liczyć złamanego żebra. Udział kaznodziei w zajściach na farmie Pritchetta panna Violet podsumowała krótko:

- Miał szczęście, że go nie zlinczowali.

Mimo że poglądy Elli na kwestie rasowe skrajnie różniły się od zapatrywań sióstr, to w pełni się z tym zgadzała. Czuła, że brat Calvin uszedł z życiem tylko dzięki szczęśliwemu zrządzeniu losu.

Z początku uważano, że napaść na kościół miała podłoże rasowe - było to ostrzeżenie dla kolorowych, żeby nie mieszały się do planów rządu w zasadzie zarezerwowanych dla białych. Ta powszechna opinia zmieniła się następnego nocy, kiedy w slumsach podpalono dwa namioty, a do rzeczki, z której mieszkańcy obozowiska czerpali wodę pitną, ktoś wrzucił worek końskiego łajna.

Wyglądało na to, że ofiarami fanatyzmu stała się także biała biedota oraz włóczędzy.

Ale po tych zajściach Conrad Ellis i jego banda najwyraźniej stracili zainteresowanie zorganizowanym terroryzmem. Wrócili do swoich dawnych wybryków - piractwa drogowego, publicznego pijaństwa i paskudnego zachowania przy każdej nadarzającej się okazji.

Z szosy prawie nie było widać masowego grobu na farmie Pritchetta, ług zapobiegł skażeniu powietrza smrodem rozkładu, ale historia ta wciąż świeżo tkwiła w pamięci wszystkich. Inni hodowcy

krów mlecznych i przeznaczonych na ubój sprzedawali swoje stada agentom FSRC, ale żadna z tych transakcji nie doprowadziła do wybuchu zamieszek, częściowo dlatego, że odbywały się na wsi, a nie w bezpośrednim sąsiedztwie Gilead i slumsów pełnych ludzi, którzy z trudem utrzymywali się przy życiu.

Żeby uniknąć zajęcia obciążonych hipoteką posiadłości, wielu miejscowych właścicieli ziemskich chciało skorzystać z programu rządowego, zanim wyczerpią się środki przeznaczone na skup bydła. Nie czas na sentymenty, kiedy trzeba wybierać między utratą stada a utratą wszystkiego.

Nikt nie miał innym za złe, że w tej tragicznej sytuacji próbują jakoś wyjść na swoje. Wielu mieszkańców miasteczka podziwiała pana Pritchetta, bo doniósł na szeryfa Andersona, że ten stał beczynnie, kiedy banda zbirów wszczęła bijatykę, która mogła się skończyć czyjąś śmiercią. Inni bez ogródek wyrażali pogardę dla pana Ellisa i jemu podobnych, którzy czerpali zyski z rządowego programu, podczas gdy hodowcy i farmerzy nie mieli za co odbudować swoich stad. Ci zaś, którzy nie znosili slumsów i nie ufali ich mieszkańcom, uważali, że włóczędzy nareszcie dostali za swoje.

Miasto huczało od plotek. W ruch poszły złe języki. Nerwy puszczały, napięcie rosło. Wszyscy wyraźnie czekali, kiedy stanie się coś złego. Strach był równie przytłaczający jak bezlitosny skwar.

Pewnego wieczoru pan Hastings, obserwując szachownicę w oczekiwaniu na ruch Rainwatera, zauważył mimochodem:

- Ależ parny dzień.

W odpowiedzi Rainwater z roztargnieniem skinął głową.

Ella przez cały dzień piekła, więc nawet po zachodzie słońca w kuchni było gorąco jak w piecu. Ani śladu wiatru, mimo że wszystkie okna w domu otwarto w nadziei na przeciąg. Spytała mężczyzn, czy nie mają nic przeciwko temu, żeby ona z Sollym dołączyła do nich w salonie, gdzie mały elektryczny wentylator przynajmniej mieszał duszne powietrze.

- Ależ oczywiście, że nie - odparł pan Hastings za nich obu.

Usiadła na krześle i posadziła Sollygo na podłodze obok siebie, żeby mógł się pobawić szpulkami. Sama zajęła się cerowaniem.

Pan Hastings upił mrożonej herbaty ze zroszonej szklanki i wracając do jednostronnej konwersacji, podjął:

- Taka duchota zapowiada burzę przed świtem. Zaryzykuję nawet twierdzenie, że może uda nam się zobaczyć deszcz.

Rainwater w zamyśleniu przesunął figurę na szachownicy.

- Gdybym pana nie znał, pomyślałbym, że próbuje mnie pan zdekoncentrować tym gadaniem o pogodzie - rzekł powoli.

- Trafiony, zatopiony - przyznał komiwojazer, śmiejąc się w kulkę. - Próbuję zachować swój mistrzowski tytuł i godność. Z każdą partią jest pan coraz lepszy.

- Ale pan i tak wciąż wygrywa.

- Obawiam się, że już niedługo.

Rainwater uśmiechnął się do Hastingsa, Ella zauważyła jednak, że zerknął także na Sollygo, pochłoniętego zabawą drewnianymi

szpulkami. Uświadomiła sobie, że od pół godziny Rainwater poświęca jej synowi tyle samo uwagi co szachownicy.

Solly bawił się cicho, ale nagle przyszło jej do głowy, że może rozprasza lokatorów, którzy nie mogą się w pełni skupić na grze. Czym prędzej ucięła nić, którą przyszywała guzik do koszuli syna. Schowała napastrzek, nici i nożyczki do koszyka na robótki. Iglę ostrożnie wpięła w sztywny biały kartonik i włożyła do wewnętrznej kieszeni kosza.

Zauważywszy to, Rainwater zapytał:

- Już pani skończyła?

- Na dziś tak.

Pan Hastings odwrócił się na krześle.

- Czyżby pani nas opuszczała? Pani towarzystwo sprawiało mi prawdziwą przyjemność.

Skwitowała to uprzejme kłamstwo bladym uśmiechem.

- Najwyższy czas, żebym położyła Solly'ego do łóżka.

Schyliła się i pozbierała szpulki nici, którymi bawił się syn. Zaprotestował, gdy wyrwała mu jedną z dłoni i wrzuciła do koszyka.

- Pora spać, Solly - powiedziała, modląc się, żeby poszedł z nią, nie urządzając scen.

Jej modły okazały się bezskuteczne. Solly zaczął zawodzić piskliwie, co świadczyło o tym, że jest zrozpaczony. Uniósł ręce do głowy i zaczął się okładać po uszach, a cichy lament przeszedł w donośny wrzask.

Ella postawiła koszyk na robótki na podłodze obok krzesła, podniosła syna i objęła, próbując przytrzymać jego wymachujące ręce i wierzgające nogi.

- Przepraszam, że panom przeszkodziliśmy. Dobranoc.

Z Sollym na rękach wybiegła z pokoju. Kiedy mijała schody, nad balustradą antresoli wychyliła się zjawa w zwiewnym szlafroku i siatce na włosy.

- Czy wszystko w porządku?! - zawołała.

- Tak, panno Pearl. Dobranoc.

Wpadła do sypialni, zatrzasnęła drzwi i oparła się o nie plecami, licząc na to, że gruby dąb wytłumi straszliwe dźwięki, jakie wydawał jej synek. Przyciskała go do piersi, uciszała, szeptała do niego kojąco, choć zdawała sobie sprawę, że to wszystko na nic. Chłopca nawiedzały demony, wobec których była bezsilna.

Jego napady szału wprowadzały zamęt w życie jej i osób postronnych, ale także dla niego stanowiły potworną udrękę, której groza przechodziła wyobrażenie. Nie potrafiła chronić go przed jego umysłem, nie potrafiła go ochronić przed niewidzialnym wrogiem i to było największym powodem jej cierpienia.

Za każdym razem, kiedy dochodziło do czegoś takiego, coraz bardziej się obawiała, że nie uchroni syna przed umieszczeniem w zakładzie dla umysłowo chorych. Co się stanie, jeśli Rainwater doniesie o tym doktorowi Kincaidowi? A jeśli lekarz weźmie sprawy w swoje ręce i zawiadomi władze, że ataki chłopca stwarzają zagrożenie dla otoczenia?

Mało tego, jeśli takie sytuacje będą się powtarzały, może stracić lokatorów. Byli to ludzie uprzejmi, ale nawet ich tolerancja dla takich wybuchów miała swoje granice. W tych ciężkich czasach o pieniądze było niełatwo, więc liczył się każdy grosz. Nie mogła sobie pozwolić na utratę tak dobrych stałych lokatorów jak stare panny Dunne czy pan Hastings, zwłaszcza że Rainwater zapewne nie pomieszka u niej długo.

Gdy w końcu przestała dyszeć, zaniósła Solly'ego do małego pokoju, w którym sypiał. Po zamknięciu drzwi zapanował tu jeszcze większy upał i duchota niż przedtem, ale nie mogła ich otworzyć, dopóki nie uspokoi syna. Jednak w żaden sposób nie potrafiła go powstrzymać przed wymachiwaniem rękami i wyciem, które w tym ciasnym pomieszczeniu odbijało się przeraźliwym echem.

Koniec końców zostawiła go tylko na tyle, by szybko wrócić do saloniku dla gości i nie zważając na pytające, zaniepokojone spojrzenia obu mężczyzn, zabrać koszyk na robótki. Po powrocie do sypialni syna wyrzuciła zawartość koszyka na łóżko.

Natychmiast przestał wrzeszczeć. Wybrał dwie szpulki nici i ostrożnie postawił je na podłodze obok łóżka, w zasięgu ręki. Potem, sztuka po sztuce, powkładał resztę walających się na łóżku rzeczy do koszyka. Kiedy skończył, odstawił go na podłogę, wszedł do łóżka, położył głowę na poduszce i zamknął oczy. Kilka sekund później już spał.

Ella oparła się plecami o ścianę, osunęła po niej i usiadła na podłodze. Była złana potem i wyczerpana bardziej, niż gdyby biegiem

pokonała dystans do Brownsville i z powrotem. Schyliła nisko głowę, wyciągnęła szpilki z włosów i ulżyła szyi, rozpuszczając ciężki kok.

Gdy Solly ucichł i znieruchomiał, poczuła ulgę zaprawioną gorzkim wstydem. Spojrzała na twarz śpiącego syna i jej serce wezbrało miłością, zarazem jednak poczuła ukłucie litości. Nie wiedziała tego, bo i skąd, ale zastanawiała się, czy przypadkiem nie jest tak, że tylko we śnie Solly znajduje spokój.

Bez wstawania przesunęła się po podłodze do łóżka, uważając, żeby nie trącić dwóch szpulek nici, które chłopiec tak pedantycznie ustawił. Przez kilka minut przyglądała się synowi z miłością zaprawioną smutkiem. Potem delikatnie dotknęła jego ręki, leżącej na narzucie. Czubkami palców przesunęła po siatce cienkich niebieskich żyłek pod bladą skórą syna. Prawie go nie dotykając, musnęła palcami jego rzęsy i krawędź ucha.

Nie wzdrygnął się, nie cofnął przed jej dotykiem. Nawet się nie poruszył, jedynie jego chuda pierś wznosiła się i opadała niemal niedostrzegalnie. Dla Elli były to najcenniejsze chwile w życiu - kiedy mogła się rozkoszować dotykiem syna bez obawy, że zostanie odtrącona. Często gdy inni domownicy spali, przesiadywała w tym ciasnym pokoiku, a raczej celi z kratami w oknie, które miały uniemożliwić ucieczkę. Wiele nocy spędziła w ciemności, pieszcząc Solly'ego i wyobrażając sobie dzień, w którym spojrzy na nią i uśmiechnie się, poznając ją i odwzajemniając miłość.

Była to płonna nadzieja. Prawie wszyscy to mówili. Mimo to czepiała się jej kurczowo. Obawiała się, że gdyby nadzieja kiedyś ją opuściła, wpadłaby w otchłań rozpacz, z której nie ma ucieczki.

Deszcz spadł zaraz po pierwszym trzasku pioruna. Nie siąpił, nie wzmagął się stopniowo, tylko znienacka lunął jak z cebra - prawdziwe oberwanie chmury.

Ella w mgnieniu oka zerwała się na nogi. Chwyciła szlafrok i wybiegła z pokoju, zmagając się z rękawami. Główny korytarz był pograżony w ciemności, ale w świetle częstych błysków wyładowań atmosferycznych szybko ruszyła do saloniku dla gości. Zaledwie weszła do pokoju, na chwilę oślepiła ją błyskawica. Ostrożnie, po omacku, dobrnęła do wysokich okien w zachodniej ścianie, które zostawiła otwarte. Deszcz zmoczył już parapety. Bosymi stopami wyczuła, że podłoga jest mokra i śliska. Szybko zamknęła narożne okno i ruszyła do następnego.

Przesuwała się wzdłuż ściany, zabezpieczając dom przed ulewą. Zygzaki błyskawic przecinały czarne niebo. Wściekła wichura targała koronami drzew i gnała ulicą czyjeś pranie, zerwane ze sznura spodnie i koszule wywijały fikołki jak cyrkowcy.

Zamknawszy ostatnie okno, wyszła z bliźniaczych saloników i ruszyła do drzwi frontowych. Wychodziły na południe i były osłonięte przez wysunięty balkon na pierwszym piętrze, a mimo to zacinający deszcz zalał werandę i przedostał się przez siatkę. Wiało tak silnie, że z trudem domknęła drewniane drzwi. Zasunęła rygiel,

żeby się nie otworzyły, przez chwilę stała oparta o nie i odpoczywała, a potem się odwróciła.

Stał na dolnym stopniu, z prawą ręką spoczywającą na słupku poręczy schodów, jak gdyby na jej widok zastygł w bezruchu.

Niemal ginął w ciemności w przerwach między oślepiającymi sinymi błyskawicami, które nienaturalnie podkreślały biel jego koszuli. Miał zapięty tylko jeden guzik, na środku piersi. Nie tracił czasu na wsuwanie koszuli do spodni. Szelki opadały mu pętlami na uda. Był bosy.

Ella zdawała sobie sprawę, że wygląda równie niechlujnie jak on, albo i jeszcze gorzej. Niesforne loki wiły się wokół jej twarzy, na kark opadała splątana kaskada. Szlafrok całkiem przemókł na deszczu, mokre poły lepiły się do kostek. Czując, że stopy ma zgrabiałe z zimna i lepkie, przypomniała sobie, że jest bosa.

Uświadomiła to sobie w ciągu kilku sekund, podczas których miała wrażenie, że przestała oddychać. Gdzieś niebezpiecznie blisko strzelił piorun. Grzmot wstrząsnął całym domem. Z kredensów dobiegł brzęk szkła i porcelany. Oświetlenie na suficie zagrzecotało. Tylne drzwi zamknęły się z trzaskiem, jak echo pioruna.

Ale nawet wtedy żadne z nich się nie poruszyło. Przez cały czas patrzyli sobie prosto w oczy. Ella miała wrażenie, że serce wyskoczy jej z piersi.

- No i w końcu wybuchła burza - powiedziała ochryłym głosem.

Wciąż nie odrywając od niej oczu, lekko pokręcił głową.

- Nie. Nie wybuchła.

Trwożliwie zaczerpnęła powietrza, serce ucisnęło jej płuca i zmusiło stopy, żeby się ruszyły. Kiedy mijała go, wracając do swojego pokoju, dodał cicho:

- Jeszcze nie.

Podawszy śniadanie, Ella i Margaret natychmiast sprzątnęły kuchnię i wyszły na dwór, żeby ogarnąć pobożowisko po burzy. Ella z zaskoczeniem zobaczyła, że brat Calvin zbiera połamane gałęzie drzew i rzuca je na stertę do rowu biegnącego na granicy jej posiadłości.

Spojrzała oskarżycielsko na służącą, lecz ta tylko wzruszyła ramionami.

- Ja po niego nie posyłałam.

- To prawda, proszę pani. Przyszedłem z własnej inicjatywy, miałem nadzieję, że będę mógł pomóc.

Wcześniej ustąpiła i pozwoliła mu pomalować żaluzje. Zapłaciła mu także za inne roboty, na które sama nie miała ani czasu, ani siły.

- Nie stać mnie na jeszcze jednego pracownika - powiedziała teraz, patrząc, jak piłą odcina ułamaną gałąź orzesznika.

- Nie wezmę zapłaty. Mam u pani dług.

- Pan nic mi...

- Proszę pani, my jeszcze długo nie będziemy kwita.

Kiedy uszkodzony konar oderwał się od pnia, pastor obejrzał się na nią. Zobaczyła, że czerwona plama wciąż jeszcze nie całkiem

zeszła mu z białka oka. Uświadomiła sobie, że dla brata Calvina jest to kwestia honoru, i lekkim skinieniem głowy wyraziła zgodę.

- Bardzo dziękuję za pomoc, pastorze.

- Ta burza tak się srożyła tylko na niby. Ziemia jest prawie sucha.

Rano Ella usłyszała w radiu, że opady były tak nieznaczne, iż cały ten niewielki deszcz spłynął, zanim zdążył wsiąknąć w spieczoną ziemię. Z pewnością nie oznaczał końca suszy.

Pastor wskazał na rów.

- Później spalę pani ten chrust. Ale jest jeszcze co dorzucić do sterty.

- Proszę przyjść do kuchni na lunch. Margaret pana nakarmi.

- Pani słynną fasolką?

Uśmiechnęła się.

- Nie dzisiaj.

- Cokolwiek to będzie, bardzo pani dziękuję.

Przez resztę przedpołudnia Ella była zajęta. Dopilnowała, żeby wytrzeć i wysuszyć wszystkie parapety zalane w nocy przez deszcz. Zasłony w salonie były mokre. Otrzeпаła je z wody i skierowała na nie wentylator, żeby szybciej wyschły.

Musiała się zająć tyloma rzeczami, że serwowanie posiłku w południe scedowała na Margaret, a później wysłała ją do sklepu z długą listą sprawunków. Wczesnym popołudniem postawiła na piecu mięso wieprzowe, żeby się dusiło, i kończyła doprawiać pudding bananowy, gdy naraz uświadomiła sobie, że jej syn gdzieś zniknął.

- Solly! - Wypadła z kuchni i pobiegła głównym korytarzem do drzwi frontowych, którymi już kiedyś się wypuścił.

- Tutaj.

Obróciła się raptownie, zawróciła i zatrzymała się przy łukowatym wejściu do prywatnego saloniku. Na podłodze siedział Rainwater, przed rozrzuconymi klockami domina. Obok siebie miał Solly'ego, który bacznie przyglądał się, jak mężczyzna podnosi klocek i ustawia na sztorc, równiutko w jednej linii z poprzednim.

- Co?...

- Ciii! Nic mu nie jest. Proszę patrzeć.

W innej sytuacji oburzyłaby się, że ktoś ją ucisza, ale tak ją zaintrygowało widoczne skupienie Solly'ego, że weszła do pokoju i przycupnęła na skraju najbliższego krzesła.

Rainwater wciąż dodawał kolejne klocki domina do krętej linii, którą utworzył na drewnianej podłodze. Oczy chłopca śledziły każdy ostrożny ruch jego rąk.

- Wczoraj wieczorem zauważyłem, jak się bawi szpulkami. Układa je i przestawia z idealną precyzją. - Zwracał się do Elli, ale nie patrzył na nią. Skupienie, z jakim układał klocki domina, dorównywało koncentracji Solly'ego. - Wpadłem więc na pewien pomysł.

- On robi to samo z innymi przedmiotami, proszę pana - rzekła, żeby wyprowadzić go z mylnego przekonania. - Z wykałaczkami. Guzikami. Nakrętkami od butelek. Ze wszystkim, co ma takie same kształty.

Spodziewała się, że ostudzi entuzjazm Rainwatera, tymczasem jego optymizm jeszcze bardziej wzrósł.

- Naprawdę? - Z uśmiechem dostawiał kolejne klocki domina.

Solly przyglądał się temu jak zaczarowany. Najwyraźniej nie zorientował się, że kolanem dotyka kolana mężczyzny.

Kiedy wszystkie klocki domina zostały ustawione, Rainwater cofnął ręce i zastygł w bezruchu. Przez blisko minutę Solly patrzył na domino, a potem wyciągnął rękę i palcem wskazującym pchnął ostatni klocek w rzędzie. Przewrócił go, wywołując lawinę, aż wszystkie klocki upadły.

Ella wstała.

- Dziękuję, że pan się nim zajął.

Rainwater uniósł dłoń.

- Proszę zaczekać.

Powoli wyciągnął ręce i zaczął odwracać klocki domina tak, żeby oczka były na spodzie. Potem pomieszał je, jakby miał rozpocząć grę. Gdy wszystkie klocki były rozrzucone, znów usiadł prosto.

- Twoja kolej, Solly.

Chłopiec długo siedział wpatrzony w domino, zanim sięgnął po klocek i postawił go na sztorc.

Ella wiedziała, że syn zareagował nie na dźwięk swojego imienia, tylko na tajemniczy wewnętrzny przymus ustawienia klocków. Właśnie ta cecha - zamiłowanie do jednolitości i porządku - oraz jego gwałtowne wybuchy, jeśli panował nieład, były dla niej pierwszą

wskazówką, że Solly różni się od innych dzieci. Normalne dzieciaki rozrzucały zabawki gdzie popadnie.

- Nie zawsze był taki jak teraz.

Rainwater spojrział na nią.

- Był absolutnie normalnym dzieckiem - ciągnęła. - Ssał pierś i zasypiał jak w zegarku. Płakał tylko wtedy, kiedy się zmoczył, był głodny albo śpiący. Poza tym był bardzo pogodny. Na głos i inne dźwięki reagował naturalnie. Poznawał mnie, swojego ojca, Margaret i lokatorów, którzy tu wtedy mieszkali. Bawiliśmy się w „Koci, koci łapci” i „Akuku!”. Potrafił się śmiać.

Mając dziewięć miesięcy, zaczął raczkować, a kiedy miał trzynaście, już chodził. Był jak każde inne dziecko. A może nawet wyjątkowy, bo ledwo skończył dwa latka, nauczyłam go siadać na nocniku, co dla dzieci w tym wieku nie jest łatwe, zwłaszcza dla chłopców. Przynajmniej tak mi mówiono.

Spuściła wzrok i uświadomiła sobie, że oburącz ścisła szlafrok. Z trudem rozluźniła pięści, puściła pognieciony materiał i wygładziła go.

- Ale w trzecim roku życia, kiedy większość dzieci manifestuje swoją niezależność i ujawnia cechy osobowości, Solly jakby zaczął się... cofać. Przestał reagować, kiedy próbowaliśmy się z nim bawić. Jeśli już się na czymś skupił, nie sposób było go od tego oderwać, a na nasze próby odpowiadał agresją.

Stracił zainteresowanie otoczeniem i świadomość tego, co dzieje się wokół niego. Napady szału zdarzały się coraz częściej. Nie

przestawał się kiwać i wymachiwać rękami. Przez pewien czas potrafiłam go okiełznać, ale potem z każdym dniem mój słodki, mądry chłopczyk coraz bardziej oddalał się ode mnie. - Przeniosła wzrok z podółka na Sollyego, który nadal ustawiał klocki domina. - A w końcu całkiem zniknął. - Spojrzała na Rainwatera i wzruszyła ramionami. - Już nigdy go nie odzyskałam.

Słuchał jej bez ruchu. Teraz popatrzył na chłopca.

- Murdy uważa, że należy go umieścić w zakładzie - powiedział.

Natychmiast pożałowała, że zrobiła wyjątek - rezygnując ze zwykłej rezerwy, otworzyła się przed nim - i przyjęła obronną postawę.

- Rozmawialiście o moim dziecku?

- Zapytałem go, dlaczego Solly jest taki, jaki jest.

- Po co?

- Po co się dopytywałem? Z ciekawości.

- Drogi panie, pańskie wścibstwo jest...

- Nie wścibstwo, tylko troska.

- Niby z jakiego powodu miałby się pan troszczyć o dziecko, o którego istnieniu jeszcze kilka tygodni temu nawet pan nie wiedział?

- Z takiego, że kiedy go zobaczyłem po raz pierwszy, ściągnął na siebie garnek z gorącym krochmalem.

Czy wolałaby, żeby nie przejmował się dzieckiem, które się poparzyło? Nie. Mimo to czuła się urażona jego zainteresowaniem. Kiedyś myślała, że jest inny niż ci obcy gapie. Ale nie, był taki sam. Z tą różnicą, że dobre wychowanie nie pozwalało mu zadawać

grubiańskich pytań ani gapić się z jawną fascynacją bądź odrazą. Był zbyt uprzejmy, żeby wytykać jej syna palcami, naśmiewać się z niego i kpić, mówić mu okrutne rzeczy. Ale rozmawianie o Sollym z lekarzem było równie naganne.

- Jeśli chciał się pan czegoś dowiedzieć o moim synu, dlaczego nie zwrócił się pan do mnie?

- Ponieważ czułem, że zareagowałaby pani dokładnie tak jak w tej chwili.

Jego rozsądny ton podkreślał tylko, jak bardzo łamał się jej głos. Mimo woli zaciekawiała się, co jeszcze lekarz zdradził mu na jej temat. To, że o niej rozprawiali, doprowadzało ją do szewskiej pasji. Czowała, jak dekolt, szyję, a w końcu twarz zalewa fala gorąca.

- My nie plotkowaliśmy, proszę pani - powiedział, jakby czytał w jej myślach. - Zadałem Murdy'emu kilka pytań, a on mi wszystko wyjaśnił.

- Czy chciał, żeby pomógł pan mnie przekonać do zamknięcia Solly'ego w zakładzie, skoro mimo licznych prób jemu to się nie udało?

- Nie.

- Nigdy nie oddam syna do zakładu zamkniętego.

Kiwnął głową. Nie wiedziała, czy na znak, że zgadza się z jej stanowiskiem, czy że ją rozumie.

- Taka decyzja wymaga wielkiej odwagi. - Ta opinia była równie dwuznaczna jak jego skinienie głową.

Wstała.

- Wkrótce podajemy kolację. Muszę wracać do pracy.

Uklękła obok Solly'ego. Nawet gdyby miał dostać jednego z tych swoich napadów szału, chciała go wziąć na ręce i wynieść z pokoju, byle dalej od Rainwatera. Ku jej zakłopotaniu nowy lokator dotknął jej ramienia.

- Proszę, niech pani na to popatrzy. I proszę mi powiedzieć, co pani widzi.

Solly skończył ustawiać ostatnie klocki domina i przyglądał się ich krętej linii. Ella patrzyła, jak delikatnie trącił klocek na samym końcu. Kilka sekund później wszystkie przewróciły się dokładnie tak jak poprzednio.

Nie zrozumiała, co Rainwater chciał jej dać do zrozumienia, więc spojrzała na niego pytająco.

- Proszę zwrócić uwagę na oczka - powiedział.

W kilka sekund pojęła, co miał na myśli, a wtedy na jej ręce wystąpiła gęsia skórka. Serce jej zamarło. Mimowolnie jęknęła z zaskoczenia.

Wcześniej klocki domina leżały rozrzucone na podłodze oczkami w dół. Solly zebrał je po kolei i ustawił według wartości, od podwójnego mydła do podwójnej szóstki.

Oddychając szybko, odwróciła się do Rainwatera.

- Jak go pan tego nauczył?

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Wcale go nie uczyłem.

Rozdział siódmy

- Nazywają ich uczonymi głupkami.

Rozmowa toczyła się następnego dnia po tym, jak odkryli zdumiewające zdolności Solly'ego. Poprzedniego wieczoru po kolacji Ella i Rainwater kilkakrotnie poddali chłopca próbie. Za każdym razem ustawiał klocki od najmniejszej wartości do największej, mimo że leżały odwrócone oczkami w dół.

Rano, zaraz po śniadaniu, Ella wysłała Margaret do gabinetu lekarza z listem, w którym pokrótce opisała wydarzenia z ubiegłego wieczoru i pytała, czy może przyprowadzić chłopca na konsultację.

Specjalnie nie skontaktowała się z lekarzem telefonicznie, bo nie ufała kobiecie łączącej połączenia w centrali, znanej z podsłuchiwania rozmów. Dopóki nie uzyska wyjaśnienia rzadkiego talentu syna, nie chciała, żeby stało się to tematem rozmów miasteczkowych plotkarek.

Ludzie przeważnie boją się tych, którzy są inni. Niektórzy mają wyjątkowo ograniczone podejście do ociężałych umysłowo, uważając, że należy takich izolować dla ich własnego dobra oraz bezpieczeństwa ogółu.

Pamiętała z dzieciństwa mongołowatego mężczyznę, niejakiemu Dooleya. Był zupełnie niegroźny, wręcz uroczy i przyjazny. Tyle że kompletnie niedojrzały, więc okazywał sympatię w sposób tak wylewny, że niektórzy czuli się zakłopotani.

Któregoś dnia wszedł na podwórko domu pewnej wdowy i zajrzał przez okno do sypialni, kiedy kobieta była akurat rozebrana.

Zdaniem Elli nie miał złych zamiarów, wdowa podniosła jednak rwetes, narobiła rabanu i w rezultacie Dooleya zamknięto w zakładzie dla umysłowo chorych we wschodnim Teksasie, gdzie umarł.

Ella przez cały czas żyła w strachu, że Solly podzieli jego los i zostanie przymusowo umieszczony w zakładzie. Jeden postępek, taki jak niewinne podglądanie wdowy przez biednego Dooleya, wystarczy, żeby odebrano jej syna i zamknięto. Dlatego pilnowała go starannie, wiedząc, że jeden jego czyn może wywołać falę podejrzeń i strachu.

Doktor Kincaid odpowiedział przez Margaret, że przyjmie ich o trzeciej po południu, czyli już po godzinach urzędowania. Rainwater poprosił Ellę, żeby mógł im towarzyszyć, na co wyraziła zgodę. W końcu to przecież on odkrył zdolności Sollyego.

Pojechali do miasta jego samochodem. Pani Kincaid wpuściła ich do ciasnego gabinetu i powiedziała, że mąż wkrótce do nich dołączy. Zaproponowała coś do picia, ale podziękowali. Ella przyjęła tylko długi cukierek dla Sollyego. Zaledwie po minucie czy dwóch wszedł lekarz, niosąc w pudełku domino.

Kiedy Rainwater przystąpił do odwracania klocków oczkami w dół i mieszania ich, Ella poczuła, że skoczył jej puls. Jednakże Solly zachowywał się tak samo jak poprzedniego dnia. Doktor Kincaid ze zdumieniem pokiwał głową, oparł się na skrzypiącym krześle i wydał tę zaskakującą i obraźliwą opinię.

- Uczonymi głupkami? - powtórzyła Ella.

- Wiem, że to nieprzyjemne określenie. - Lekarz prawidłowo odczytał jej negatywną reakcję. - Ale dopóki środowisko medyczne nie wymyśli nic lepszego, właśnie tak nazywa się ta szczególna anomalia.

- Anomalia? - powiedziała, jakby po raz pierwszy słyszała to słowo. - A konkretnie, co to takiego?

- Konkretnie to nikt nie wie. - Doktor Kincaid wskazał medyczne tomisko na biurku, otwarte na zapisanej drobnym maczkiem stronie. - Czy zna pani określenie „IQ”? Iloraz inteligencji? To stosunkowo nowy termin odnoszący się do pomiaru sprawności umysłowej człowieka.

Ella i Rainwater potwierdzili, że słyszeli o tym.

- Obecnie człowieka z IQ poniżej dwudziestu uważamy za opóźnionego w rozwoju w stopniu uniemożliwiającym jakąkolwiek naukę. Ale od wieków kogoś takiego nazywano idiotą. - Włożył okulary do czytania i zerknął na tekst. - Pod koniec dziewiętnastego wieku pewien niemiecki lekarz badał ludzi opóźnionych umysłowo od urodzenia albo na skutek wypadku, którzy jednocześnie wykazywali niesamowite, wręcz cudowne umiejętności. Przeważnie byli wybitnie uzdolnieni w dziedzinie matematyki, muzyki i wszystkiego, co jest związane z niebywałą pamięcią. Połączył określenie stosowane wobec osób o niezwykle niskiej inteligencji z francuskim słowem opisującym ludzi niezwykle wykształconych i ukuł termin *idiot savant*, czyli uczoney głupek.

- I właśnie kimś takim jest Solly? - Mimo że Ella uważała to określenie za niedopuszczalne, pragnęła dowiedzieć się więcej.

Doktor Kincaid zdjął okulary.

- Nie mogę tego potwierdzić z całą pewnością, proszę pani. Jestem tylko małomiasteczkowym lekarzem. Słyszałem o uczonych głupkach, ale dopóki nie napisała mi pani, co Solly zrobił wczoraj z klockami domina, niewiele wiedziałem o tej jednostce chorobowej. Poczytałem na ten temat, przygotowując się do waszej wizyty.

Szczerze mówiąc, nadal w dużej mierze jestem ciemny jak tabaka w rogu - ciągnął ze smutkiem. - Moje poszukiwania nie przyniosły zbyt wielkich rezultatów. Informacje na ten temat są skąpe i często sprzeczne ze sobą. Na całym świecie zaledwie garstka lekarzy zajmowała się takimi pacjentami, ale nawet oni nie wiedzą, jaka jest przyczyna tak skrajnej odmienności ich podopiecznych.

Po prawdzie nikt nie wyjaśnił w sposób niebudzący wątpliwości, skąd bierze się ten wybryk natury. Czy wynika z czegoś, co zachodzi w macicy podczas formowania się mózgu płodu, czy zaczyna się dopiero po urodzeniu? Czy jest to rezultat urazu głowy, wstrząsu emocjonalnego, a może wpływu środowiska? - Wzruszył ramionami.

Ella odezwała się po chwili wahania:

- Nie ma dnia, żebym nie zadawała sobie pytania, czy Solly jest taki dlatego, że coś zrobiłam albo czegoś nie zrobiłam, zanim jeszcze się urodził albo po porodzie.

Wyznanie to przyszło jej z najwyższym trudem. Doktor Kincaid uśmiechnął się do niej łagodnie.

- Mogę panią zapewnić, że to nie pani wina. Jeśli doszło do tego w macicy, to tak chciała natura i nie można było temu zapobiec. Byłem przy narodzinach pani syna i wiem, że poród przebiegł jak najbardziej naturalnie. A gdyby we wczesnym dzieciństwie Solly doznał jakiegoś urazu bądź zachorował na tyle poważnie, że doszło do uszkodzenia mózgu, wiedziałyby pani o tym.

Teorie na temat przyczyn jego choroby różnią się tak krańcowo, że są całkowicie niewiarygodne. Przynajmniej w moim przekonaniu. Gdybym miał jednak zaryzykować domysł, powiedziałbym, że choroba powstaje w okresie płodowym, ale niekoniecznie objawia się już we wczesnym dzieciństwie.

- Solly rozwijał się prawidłowo, jak wszystkie inne dzieci.

Doktor Kincaid położył rękę na otwartej książce.

- W literaturze fachowej opisano, że objawy zaczynają się pojawiać mniej więcej w wieku, w którym po raz pierwszy zauważyła je pani u Solly'ego.

Rainwater po raz pierwszy zabrał głos.

- Przedziwna sprawa. Żeby najteższe umysły medyczne nie potrafiły dokładnie określić przyczyny.

- Jeśli nie potrafią wyjaśnić odchylenia od normy, bardzo często przypisują je silom nadprzyrodzonym. Niektórzy snują teorie, jakoby ta przypadłość miała charakter duchowy, bo uczone głupki dysponują bezpośrednim połączeniem z umysłem Boga. Spekulują, że ludzie tacy jak Solly myślą na całkiem innej płaszczyźnie niż ty czy ja, i dlatego często nie zdają sobie sprawy z tego, gdzie są, z obecności

innych ludzi i nie reagują na bodźce. - Lekarz znów uśmiechnął się do Elli. - Może będzie dla pani pociechą wiara w to, że Solly jest wyjątkowy, bo kontaktuje się bezpośrednio z Bogiem i aniołami.

- Ja nie potrzebuję pociechy, doktorze. Potrzebuję informacji na temat potencjalnych możliwości Sollyego i tego, jakie życie go czeka. Chcę wiedzieć, co muszę zrobić, żeby zapewnić mu wszelkie szanse na wykorzystanie tego potencjału.

Spojrzała na syna, zamkniętego we własnym świecie, do którego nie miała dostępu - kiwał się w przód i w tył, skubał guzik koszuli i ssał cukierek.

Rainwater wyraził na głos pytanie, które chodziło i jej po głowie:

- Murdy, czy ci ludzie wracają kiedykolwiek do zdrowia? Czy mając pomoc, są w stanie żyć normalnie?

Doktor Kincaid ponownie sprawdził coś w książce, Ella podejrzewała jednak, że nie szuka tam odpowiedzi na pytanie, tylko próbuje zyskać na czasie.

- Udokumentowanych przypadków jest tyle, co kot napłakał. Bez przerwy się dyskutuje, według jakich kryteriów stawiać diagnozę, i ciągle się je zmienia. Te przypadki łączy jedynie to, że mają ze sobą bardzo mało wspólnego. Każdy człowiek jest inny. Objawy się różnią, ich nasilenie także. Niektórzy wyrabiają w sobie zdolności językowe. Potrafią się porozumiewać w ograniczonym zakresie. Rzadko jednak stosują swoją wybitną wiedzę w praktyce.

Rainwater poprosił go o więcej szczegółów. Ten zastanawiał się przez chwilę.

- Na przykład ktoś, kto przejawia zdumiewającą pamięć, potrafi cytować słowo w słowo dowolną sztukę Szekspira zaledwie po jednym przeczytaniu. Robi to, ponieważ potrafi, a nie z jakiegoś konkretnego powodu. Nie zapamiętuje sztuki dlatego, że chce ją znać na pamięć. Nie czyta jej z ciekawości, jak skończy się opisana historia. Treść w ogóle go nie interesuje. Słowa znaczą dla niego nie więcej niż pozycje w książce telefonicznej. Jeśliby taką przeczytał, znalazłby ją na wrywki. Nie robi jednak takich rzeczy dla rozrywki czy poszerzenia horyzontów.

- Ale potrafi przeczytać Szekspira - powiedziała Ella.

Niewątpliwie lekarz wyczuł nadzieję w jej głosie, bo był wyraźnie nieszczęśliwy, że musi ją rozwiązać.

- Część takich jak Solly czyta, proszę pani, to prawda. Inni nie czytają, nie mówią, nie porozumiewają się ze światem w żaden sposób, ale o dziwo potrafią zagrać na fortepianie bardzo trudny utwór, który słyszeli tylko jeden jedyny raz. Niektórzy są tak zamknięci w sobie jak Solly i podobnie jak on źle reagują na dotyk. A jednak w mgnieniu oka rozwiązują problemy matematyczne tak skomplikowane, że zdolnemu matematykowi zajęłoby to wiele dni.

Lekarz rozłożył ręce.

- Cieszę się niezmiernie, że odkryliście niezwykle uzdolnienie Sollyego. Ale nie potrafię tego wyjaśnić i nie chciałbym spekulować, czy mu się to do czegoś przyda. Nie ośmielę się wzbudzać w pani fałszywej nadziei, że z biegiem czasu syn posiadać zdolność

wysławiania się. Ja po prostu nie wiem, proszę pani. I obawiam się, że nikt tego nie wie.

Opis choroby przedstawiony przez doktora Kincaida powinien ostudzić podniecenie Elli z powodu niewiarygodnych zdolności syna, ale nie dawała za wygraną. Uznała to za przełom, za krok milowy w kierunku dotarcia do dziecka. Dostrzegła wyrwę w murze, za którym zabarykadowały się jego umysł i osobowość.

Gdy już znalazła tę szczelinę, za wszelką cenę postanowiła ją poszerzyć, licząc, że uda jej się rozepchnąć ją na tyle, by się przez nią przecisnąć. Z całego serca pragnęła nawiązać nić porozumienia z Sollym, choćby najwątlejszą.

Codziennie podkradała nieco czasu, który powinna poświęcać obowiązkom, żeby pobyć z synem. Skopiowała oczka klocków domina, przeniosła je na papier i podała ołówek Solly'emu, licząc na to, że sam też narysuje własny zestaw, dzięki czemu nauczy się, że grupa kropek oznacza konkretną liczbę, a te można dodawać bądź odejmować, żeby uzyskać inne liczby...

On jednak ani razu nie sięgnął po ołówek, w ogóle nie przejawiał ochoty do rysowania kropek na kartce. Kiedy nakryła jego dłoń swoją i próbowała poprowadzić ołówek, dostał napadu szału. Uderzył ją głową w twarz tak, że siniak na jej podbródku nie schodził przez kilka dni. Chwilowo zrezygnowała więc z namawiania go do rysowania oczek i wróciła do klocków. Ta zabawa uspokajała go, a ją napawała nadzieją na kolejny przełom.

Pewnego wieczoru, gdy składała ręczniki i ścierki, Solly siedział w kuchni i układał domino na podłodze. Nagle wszedł Rainwater, żeby odstawić filiżankę po kawie.

- Widzę, że Solly nie stracił zainteresowania - zauważył.

- Owszem. Ale nie robi żadnych postępów. - Wyjaśniła, jak się rozczarowała, gdy syn nie zrozumiał, że mógłby też narysować oczka domina na kartce. - Miałam nadzieję, że zrozumie, że kropki oznaczają liczby, a one z kolei też coś znaczą.

- Możliwe, że on to rozumie. Inaczej po co ustawiałby klocki zawsze według ich wartości?

Nie znalazła na to odpowiedzi.

- Czy ma pani coś przeciwko temu, żebym z nim popracował? - spytał.

- Nad czym?

Wzruszył ramionami.

- Sam jeszcze nie wiem. Muszę się zastanowić.

Tak ogólnikowa odpowiedź wzbudziła jej niepokój. Już miała odmówić, lecz przypomniała sobie, jaką życzliwość okazał jej synowi. Wyglądało na to, że interesuje się nim szczerze i bezinteresownie. No i był bezgranicznie cierpliwy, a praca z Sollym wymagała nadludzkiej cierpliwości, której czasami nawet jej brakowało.

Pomyślała też o ich spotkaniu w ogrodzie, kiedy to z braku lepszego zajęcia pielili chwasty. Rainwater zwyczajnie potrzebował być użyteczny. Zgodziła się, ale pod jednym warunkiem.

- Jeżeli Solly się zdenerwuje...

- Natychmiast przerwę to, co będziemy akurat robić. Daję słowo.

Trzy dni później weszła do domu, z fartuchem pełnym pomidorów i kabaczków, które zerwała w ogrodzie. Margaret ściągała skórkę z pomidorów.

- Nie damy rady zjeść aż tyle pomidorów, zanim się zepsują. - Ella ostrożnie wysypała je z fartucha na kuchenny stół. - A w słojach mam już pod dostatkiem. Dodaj je do rzeczy, które wieczorem zawieziemy do slumsów. I te trzy jajka. Nie potrzebuję ich, rano będziemy mieli świeże.

- Tak jest, psze pani.

Ella obejrzała roladki z kurczaka nadziane przyprawionym chlebem z mąki kukurydzianej i przełożyła je do płytkiej patelni, żeby były gotowe do smażenia.

- Posoliłaś je?

- A jedną popieprzyłam. Starsze panie nie lubią pieprzu, ale pan Rainwater woli z pieprzem.

Ella odgarnęła kosmyki włosów, które wymknęły się z koka.

- Czy Solly wciąż z nim jest?

- W saloniku na tyłach, odrabiają lekcje.

Ella otworzyła lodówkę.

- Jedna z nas musi jutro pojechać do sklepu. Przypomnij mi, żebym dodała do listy zakupów funt masła.

- To ładnie ze strony pana Rainwatera, że tak się zajmuje naszym Sollym. Pani myśli, że dlaczego to robi?

- Potrzebujemy też majonezu. I trochę mortadeli. Jeśli to ty pojedziesz, poproś pana Randalla, żeby z łaski swojej pokroił ją tym razem na cieńsze plasterki.

- Jest inny, bez dwóch zdań.

Ella wiedziała, że Margaret nie ma na myśli sklepikarza. Gdy zamknęła lodówkę, odwróciła się twarzą do służącej.

- Inny?

- Inny niż pan Barron.

Ella podeszła do zlewu i umyła ręce.

- Pan Rainwater ma ciemne włosy. I jest szczupły. Mój mąż był niższy, grubszy i jasnowłosy. - Wytarła ręce i ruszyła do drzwi. - Zajrzę do Solly'ego, a potem przygotuję te kabaczki do pieczenia.

- Nie o to mi się rozchodzi, jak wygląda.

Ella udała, że nie dosłyszała tego, co wymamrotała służąca, i przeszła do salonu. Solly i Rainwater siedzieli obok siebie na krzesłach przy stoliku do kart, gdzie siostry Dunne często grywały w remika.

Gdy weszła, Rainwater spojrzał na nią z uśmiechem.

- Sądzę, że pani się myli.

- W jakiej sprawie?

- Moim zdaniem Solly pojmuje, na czym polegają liczby. Niech pani patrzy.

Podeszła bliżej. Na stole leżała rozrzucona talia kart, koszulkami w górę. Dwójki w każdym kolorze były starannie zebrane na kupkę, tak samo jak trójki i czwórki. Na oczach matki chłopiec wybrał z

rozrzuconych kart wszystkie piątki - najpierw treflową, potem pikową, kierową i na koniec karo. Wyrównał brzegi i położył stosik obok kupki czwórek. Tak samo postąpił z szóstkami i siódmkami, wybierając je na ślepo z odwróconej talii, zawsze w tej samej kolejności. Ella nie była przekonana.

- On pamięta, gdzie leży każda karta na stole. Istny cud, ale to jeszcze nie jest nauka. Po prostu łączy wzór trefla na karcie z pikiem na kolejnej i tak dalej. To, co robi, tak naprawdę nie ma nic wspólnego z liczbami i tym, jak się mają do siebie.

- Nie jestem tego taki pewien. W przeciwieństwie do kostek domina, karty mają wydrukowane liczby.

- Czy to robi jakąś różnicę?

- Tak uważam. Proszę patrzeć.

Solly dalej wybierał karty, aż ułożył dziesiątki obok dziewiątek. Wtedy usiadł prosto i zaczął się kiwać.

Ella spojrzała na Rainwatera, a potem na zakryte karty wciąż rozrzucone na stole.

- Nie wybrał figur ani asów.

- Bo nie ma na nich liczb.

Usiadła na wolnym krześle obok Solly'ego, po jego drugiej ręce niż Rainwater. Zebrała kupki ułożone przez syna oraz karty leżące wciąż na stole i rozrzuciła je, najpierw obrazkami w górę, a potem odwróciła je jedną po drugiej, aż widać było tylko pięćdziesiąt dwie koszulki.

Solly obserwował to uważnie. Gdy tylko odwróciła wszystkie karty, natychmiast odepchnął jej ręce na bok. Wybrał wszystkie dwójki i nie przerywał, dopóki kupka dziesiątek nie znalazła się ułożona równiutko obok dziewiątek. Figury i asy zostawił. Rainwater zerknął z ukosa na Elle, unosząc brwi.

- On wie, że numeracja odpowiada liczbie symboli na każdej karcie, i zna kolejność liczb. Wie, że czwórka jest większa od trójki.

- Być może - bąknęła, wciąż pełna wątpliwości.

- Na pewno.

- Skąd pan wie?

- Stąd, że zanim pani przyszła, usunąłem z talii czwórki. Solly przerwał po trójkach i nie kontynuował, dopóki nie dołączyłem czwórek do zakrytych kart na stole. Tak samo postąpiłem z ósemkami. Przerwał po siódmkach, ale tym razem sięgnął do mojej marynarki, wyciągnął mi z kieszeni ósemki, ułożył je w swojej kolejności... trefl, pik, kier, karo... i układał dalej.

Fakt, że Solly z własnej woli kogoś dotknął, Ella uznała za jeszcze większy cud niż to, że znał się na wartości liczb.

- Siegnął panu do kieszeni?

Rainwater się uśmiechnął.

- Bez żadnej zachęty z mojej strony.

Znów spojrzała na syna. W zadumie pogłaskała go po policzku.

- Brawo, Solly - pochwaliła.

Odrzucił jej rękę, ale miała nadzieję, że w jakimś niedostępnym zakamarku umysłu zarejestrował, jak bardzo jest z niego dumna i jak go kocha.

- Dziękuję, że poświęca mi pan tyle czasu - powiedziała, patrząc na mężczyznę po drugiej stronie stolika.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- Skoro nauczył się rozpoznawać liczby i potrafi określić, jak się mają do siebie, to może uda mu się dokonać tego samego z literami. Może opanuje prostą arytmetykę, może nauczy się czytać.

- Też tak sędzę.

- W każdym razie jest taka możliwość. Nie wolno tracić nadziei, prawda?

Jego uśmiech nieznacznie przygasł.

- Nie zawsze. Ale przeważnie tak.

Następnego dnia rano Ella zbierała w jadalni talerze po śniadaniu, gdy przez kuchenne drzwi wpadła jak burza Margaret. Miała przekrzywiony kapelusz, zroszoną potem twarz i nie mogła złapać tchu.

- Wielkie nieba, a tobie co znowu?! - zawołała Ella.

Panna Violet była oburzona.

- No coś podobnego! - prychnęła.

Wraz z siostrą zastygła w bezruchu i obie z przerażeniem patrzyły na czarnoskórą kobietę. Rainwater zerwał się na nogi.

- Co się stało?

- Usłyszałam o tym w sklepie - wysapała Margaret. - Zanosi się na kłopoty u Thompsonów.

- U Olliego i Loli? - upewniła się Ella.

- Ano. U pani przyjaciół.

- Muszę tam jechać.

Elli serce podeszło do gardła. Szarpnęła tasienki fartucha, zerwała go i podała służącej, przeciskając się obok niej przez drzwi łączące jadalnię z kuchnią. Włożyła kapelusz, przyklękła i podniosła Solly'ego z krzesła, na którym siedział, bębniąc łyżką w skraj stołu.

- Margaret, dokończ sprzątanie po śniadaniu. Schowaj jedzenie do lodówki. Jeśli nie wrócę przed lunchem...

- Pani jedzie, zobaczy, co u przyjaciół - przerwała jej służąca. - Już ja się tu wszystkim zajmę, czy się to starszym paniom podoba, czy nie.

- Zawiozę panią - oznajmił Rainwater, który przeszedł za nimi do kuchni.

- Nie. Wezmę swój samochód.

- Pani nie używała samochodu, odkąd...

- Dam sobie radę sama, Margaret! - warknęła Ella.

- Ale mój samochód stoi przed domem - rzekł Rainwater.

Ella spoglądała to na służącą, to na swojego lokatora, który tak rozsądnie zaproponował skorzystanie z jego samochodu - nowszego, bardziej niezawodnego i który w dodatku był pod ręką.

- Dziękuję panu - powiedziała.

Poszła za nim głównym korytarzem, niosąc Solly'ego, który bębnił teraz łyżką o swój obojczyk.

Rozdział ósmy

- To pani przyjaciele? - zapytał Rainwater.

Ella posadziła Solly'ego między nimi na przedniej kanapie samochodu. Już wcześniej udzieliła Rainwaterowi wskazówek, któredy najlepiej wyjechać z miasta. Prowadził szybko, dużo szybciej, niż ośmieliłaby się jechać swoim starym modelem forda.

- Przez całą szkołę chodziliśmy do tej samej klasy, chociaż oni skończyli na dziesiątej. Tata Olliego umarł, więc chłopak musiał po nim przejąć prowadzenie farmy mlecznej. Był najmłodszym dzieckiem i jedynym synem. Wszystkie siostry dawno wyszły za mąż i wyjechały.

Nikt nie miał wątpliwości, że on i Lola pewnego dnia się pobiorą. Przepadali za sobą od małego. Kiedy Ollie zrezygnował ze szkoły, Lola uparła się, żeby zalegalizować ich związek, dzięki czemu mogłaby mu pomagać na farmie. Dorobili się już czwórki dzieci. To porządni ludzie. Na następnym skrzyżowaniu proszę skrócić w prawo.

Droga, w którą zjechał Rainwater, nie była wybrukowana. W rowach po obu stronach rosły wysokie chwasty. Za nimi ogrodzenia z drutu kolczastego oddzielały rzędy próbującej przetrwać na wysuszonej glebie kukurydzy od pól bawełny, którą robotnicy zbierali do długich worków zwisających im na plecach.

Mimo że dochodziła dopiero jedenasta, Ella oceniała, że jest już grubo ponad trzydzieści stopni. Jechali z całkiem opuszczonymi szybami. Gorący wiatr niósł pełno piachu. Zrzucił kapelusz z głowy Elli i rozwiewał jej włosy, ale ona nie zwracała na to uwagi.

Myślami była z przyjaciółmi, których dotknęło nieszczęście. Po narodzinach każdego kolejnego dziecka Lola przybierała na wadze, a szczerba między jej przednimi zębami jakby się powiększała, ale była jedną z najszcześniejszych osób, z jakimi Ella się zetknęła. Kochała męża, kochała dzieci, kochała życie. Ella liczyła na to, że jej wrodzona pogoda ducha pomoże całej rodzinie pokonać problemy.

Ollie był urodzonym rolnikiem, solą ziemi. Miał wielkie uszy i wielkie serce. Z najwyższym trudem przechodził z klasy do klasy, ponieważ stale wagarował, żeby pomóc ojcu na farmie - doił krowy przed wyjściem do szkoły i po lekcjach i zajmował się wszystkim, czego wymagało prowadzenie gospodarstwa.

Chętnie zrezygnował z nauki. Dla niego wiedza praktyczna liczyła się o wiele bardziej niż wyniesiona z podręczników, a zdobyte za młodu doświadczenie zaprocentowało w przyszłości. Był dumny z tego, jak znakomicie prosperuje farma pod jego kierownictwem.

Tak było jeszcze kilka lat temu, dopóki sytuacja nie zmusiła go do zaciągnięcia pożyczki na utrzymanie stada i rodziny. Musieli jakoś przetrwać suszę i doczekać czasów, kiedy pastwiska znowu się zazielenią. Skromne ilości mleka, jakie uzyskiwał z niedożywionych krów, z konieczności sprzedawał tanio jak barszcz, przez co

zapożyczał się dalej. To błędne koło sprawiło, że on i Lola tonęli teraz w długach i groziła im utrata farmy.

Rządowy program wykupu ich stada za bezcen bardzo by im pomógł, ale emocjonalnie zapłaciliby za to straszliwą cenę.

- Obawiam się, że przybywamy za późno - odezwał się Rainwater.

W tej samej chwili Ella zauważyła chmurę - pyłu wzbijającego się z nawierzchni drogi.

- Co to jest?

- Przypuszczam, że konwój.

Dystans między nimi a wirującym kłębem kurzu zmniejszał się gwałtownie. Dopiero gdy prawie się z nim zrównali, mogli rozpoznać poszczególne pojazdy. Z przodu jechała ciężarówka do przewozu bydła z upchanymi w środku krowami. Za nią ciągnęły trzy czarne samochody osobowe z napisami po bokach i ponurymi typami w środku. Na stopniu pierwszego z nich, trzymając się otwartego okna, stał mężczyzna z karabinem na ramieniu.

- Czy to są...

- Strzelcy - dokończył za Ellę Rainwater.

Poprzez warkot mijanych samochodów usłyszała inny dźwięk, który w pierwszej chwili wzięła za strzelanie gaźnika. Kiedy jednak Rainwater zaklął pod nosem, zauważyła, jak mocno zacisnął dłonie na kierownicy i jak stężała mu twarz.

- Co to był za huk?

- Wystrzał z broni palnej.

Obejrzała się i patrzyła, jak rządowe pojazdy znikają za wzniesieniem drogi. Nie stamtąd padły strzały. A zatem kto strzelał? Strach podszedł jej do gardła. Żeby go przewyciężyć, rzuciła:

- Tu jest inaczej, niż było na farmie Pritchetta.

Rainwater odwrócił się i spojrzał na nią znacząco.

- Tam doszło do rozruchów z powodu mieszkańców slumsów - powiedziała, wyrażając na głos swoje najgorsze przeczucia. - Ale nikt z nich nie dotarłby aż tak daleko. Nie mają środków lokomocji, żeby się tu dostać. Wobec tego kto strzela? I dlaczego?

Wciąż jeszcze nawiedzały ją wizje obrażeń zadanych kobietom i dzieciom, które widziała na własne oczy. Pamiętała opowieść brata Calvina o tym, jak pani Pritchett wydarto z rąk maleństwo, a szeryf Anderson i jego ludzie nie reagowali. Nagle poważnie zaczęła się bać o swoich przyjaciół.

- Niech pan się pośpieszy - ponagliła Rainwatera, pochylając się, jakby dzięki temu samochód mógł jechać szybciej. - Najbliższy zjazd w lewo.

Kiedy dojechali do skrzyżowania na farmę Thompsonów, ze zjazdu na drogę z poślizgiem kół wyjechała półciągarówka, ostro skrzyżowała w prawo i ruszyła wprost na nich. Jej koła zarzuciły na sybkim żwirze i zanim odzyskała przyczepność, siedzący na pace mężczyźni omal nie spadli na ziemię. Półciągarówka pędziła ich pasem ruchu i dopiero w ostatniej chwili kierowca zatrąbił i skrzyżował gwałtownie, przejechał przez żółtą linię.

Coupé Rainwatera zatrzęsło się od podmuchu, gdy półciężarówka śmignęła obok nich. Ella rozpoznała kierowcę - Conrada Ellisa. Obok niego w szoferce siedziało stłoczonych trzech mężczyzn. Na pace było ich jeszcze kilkunastu - przytrzymywali się nawzajem czego tylko się dało, żeby zachować równowagę. Najwyraźniej żaden z nich się nie przejmował, że wypadnie na drogę. Śmiali się, wiwatowali i strzelali w powietrze z pistoletów i sztucerów na jelenie.

Rainwater wziął zakręt w lewo niemal na dwóch kołach, tak że Solly poleciał na Elle, a ona na drzwi. Odległość od głównej drogi do domu na farmie wynosiła jakieś czterysta metrów. Rainwater nie zdejmował nogi z gazu, dopóki nie dojechali do pastwiska, na którym wykopano wielki dół. Zahamował gwałtownie. Samochód wpadł w poślizg i zatrzymał się kilka metrów dalej.

Rainwater wysiadł, obszedł maskę samochodu, zdjął kapelusz i uderzając nim o udo, dokładnie zlustrował wzrokiem masowy grób. Solly dobrze się bawił, stukając czubkiem jednego buta o drugi, więc Ella również wysiadła.

Opisując wydarzenia na farmie Pritchetta, brat Calvin barwnie odmalował całą scenę. Ale jego obrazowa relacja i tak nie przygotowała Elli na widok, jaki zastała. Do dołu zagoniono kilkadziesiąt cherlawych krów i cieląt i zabito je strzałami we łby; do niektórych strzelano kilka razy. Krowy padały jedna na drugą, w plątanie nóg. Na sam widok robiło się niedobrze.

- Coś potwornego!

Uświadomiła sobie, że Rainwater w zasadzie mówi sam do siebie, a zresztą cóż mogłaby dodać? Osłaniając oczy przed palącym słońcem, spojrzała na kępę wierzb, pod którą stały dwie koparko-spycharki na bazie ciągników. Obsługujący je ludzie czekali w cieniu, aż będą mogli dokończyć zadanie, czyli przystąpić do pogrzebu. Jeden z nich palił papierosa. Drugi nasunął kapelusz nisko na twarz i chyba drzemał.

Ella powtarzała sobie, że zarówno oni, jak i strzelcy próbowali tylko zarobić na życie w czasach potwornego krachu gospodarczego. To nie oni wymyślili tę politykę i zapewne rozumieli z tego jeszcze mniej niż ona. Byli najzwyczajniejszymi mężczyznami wykonującymi ciężką pracę w ciężkich czasach. Mimo to czuła się tak, jakby byli jej wrogami.

Odwróciła się, sprawdziła, co porabia Solly, który wciąż skupiał się na stukaniu butem o but, po czym ruszyła wzniesieniem w stronę domu. Słońce paliło ją w głowę, przypominając, że zostawiła kapelusz na siedzeniu samochodu. Ale nie wróciła po niego.

Od frontu dom ogradzał biały parkan. Dom również był biały, tyle że teraz upstrzony tu i tam czarnymi cętkami. Ella z przerażeniem uświadomiła sobie, że są to świeże dziury po kulach. Dotarłszy do płotu, zobaczyła, że furtkę wyrwano z zawiasów i rzucono na kopiec czerwonych mrówek, które uwijały się wściekle, w amoku. Ostrożnie przeszła nad resztkami mrowiska.

Lola siedziała na huśtawce na werandzie i z rękami przy twarzy wypłakiwała się w fartuch. Po bokach miała dwójkę poważnych

dzieci. Chłopiec, najstarszy z rodzeństwa, miał suche oczy, ale był stanowczo za młody na tak pełen goryczy wyraz gładkiej twarzy. Dziewczynka trzymała jedną rękę na kolanie matki. Na jej policzkach widniały ślady łez. Przestała płakać i patrzyła, jak Ella zmierza przez plac i wchodzi na werandę.

- Ollie.

Siedział na górnym schodku, muskularny, ale zgarbiony; nogi w roboczych butach opierał na niższym stopniu. Z jego ust sterczał papieros, na którego czubku wisiał dwucentymetrowy słupek popiołu. W prawej ręce trzymał kolta, ale palce miał tak bezwładne, że broń w każdej chwili mogła mu wypaść z dłoni. Patrzył w dal, na pozór nie zdając sobie sprawy z obecności Elli, ale kiedy wypowiedziała jego imię, spojrzał na nią zaszczutym wzrokiem.

- Ella. - Wziął się w garść, wyjął papierosa z ust i sięgnął pod stopień, żeby go zdusić. - Co ty tu robisz?

- Przyjechałam, bo... pomyślałam, że pewnie się zdenerwowałeś. Chciałam was wesprzeć, jeśli to możliwe.

Przesunął wzrok na samochód zaparkowany na dróżce, dosyć daleko od domu. Zauważył Rainwatera, który nadal ze smutkiem gapił się na wyrwę w pastwisku.

- A to kto?

Rainwater nie mógł ich słyszeć z tej odległości, ale właśnie wtedy, gdy Ollie o niego spytał, odwrócił się od makabrycznego widoku i ruszył w stronę domu.

- Daleki krewny doktora Kincaida. Na jakiś czas zatrzymał się w mieście. U mnie.

Obserwowali, jak Rainwater idzie ścieżką i przechodzi przez uszkodzoną bramę. Gdy wszedł na plac, Ella uświadomiła sobie, jaki był chudy w porównaniu z Olliem.

- Pan Thompson? - powiedział, podchodząc. - David Rainwater.

Ollie zapatrzył się na wyciągniętą do niego rękę, jakby nie wiedział, co ma z nią zrobić. Nagle przełożył rewolwer do lewej ręki i uścisnął dłoń gościa.

- Ollie Thompson.

- Przykro mi, że spotykamy się w takich okolicznościach.

- Mnie też.

Ollie dźwignął się z trudem. Nawet stojąc, wyglądał, jakby dźwigał na barkach potworny ciężar.

- Widzieliśmy ciężarówkę do przewozu bydła. Zapłacili panu za nie godziwą cenę? - spytał Rainwater.

- Obowiązującą stawkę. Szesnaście plus trzy dolary premii od każdej sztuki. Także od cieląt. Cieszę się, że je dostałem. Sam złożyłem podanie o pomoc. Psiakrew, ależ to było paskudne!

Ella zostawiła mężczyzn pogrążonych w poważnej rozmowie i podeszła do huśtawki. Lola osuszyła oczy, spojrzała na Ellę i posłała jej blady uśmiech, prezentując szparę między zębami. Poklepała syna po plecach.

- Zmykaj - powiedziała. - Ustąp miejsca pani Barron.

Chłopiec zszedł z huśtawki i zbiegł z werandy. Z rękami wbitymi głęboko w kieszenie kombinezonu, zniknął za rogiem domu.

- Jest zdenerwowany - wyjaśniła Lola, gdy Ella usiadła obok niej na huśtawce. - Mam nadzieję, że mu przejdzie. - Spojrzała na męża i dodała szeptem: - I jego ojcu też.

Ella uśmiechnęła się do dziewczynki, która zrewanżowała się nieśmiałym uśmiechem, a potem oparła główkę na pulchnym ramieniu Loli.

- Gdzie reszta twoich dzieci?

- Rano zadzwoniłam do mamy, poprosiłam, żeby zabrała je do siebie i zatrzymała, dopóki nie pogrzebią krów. Tej dwójce i tak jest z tym wystarczająco ciężko. Nie chciałam, żeby młodszym na całe życie został w pamięci widok czegoś, czego nie rozumieją.

- Co tu się stało?

Oczy kobiety znów zaszczyły łzami.

- O świcie przyjechali ci dwaj ciągnikami i wykopali dół. Potem zjawili się ci z rządu i posortowali stado. Zdrowsze sztuki zapakowali do ciężarówki. A resztę... - Ruchem głowy wskazała dół.

- Czterdzieści - sprecyzował Ollie. W jego oczach też pojawiły się łzy. - Wziąłem od nich pieniądze. Nie miałem wyboru. - Jego głos się załamał. - Gdybym nie spłacił raty kredytu, zabraliby mi dom. Zbudował go mój ojciec. Musiałem go ratować.

Nie był w stanie mówić dalej, więc Lola przejęła pałeczkę.

- Jak tylko ci z rządu zapędzili bydło do dołu, zaczęli strzelać. Do tych biednych krów i cieląt.

Zaniosła się niepohamowanym płaczem. Ella objęła przyjaciółkę.

- A co z tymi podżegaczami w półciężarówce? - spytał Rainwater.

- Na drodze minęliśmy się z Conradem - wyjaśniła Ella, żeby doprecyzować jego pytanie.

Ollie odchrząknął i splunął flegmą na ziemię tuż za werandą.

- Kawał skurwysyna z tego białego śmiecia.

- Ollie - zganiła go Lola, ruchem głowy wskazując córkę.

- A co, może nie? On i ten jego tatuś mogą się tarzać w forsie, ale to śmiecie. Cała ta gałąź Ellisów jest zepsuta do szpiku kości, sztuka w sztukę.

- Co oni tu robili? - dopytywał się Rainwater.

- Po mojemu ci tchórze z rządu wzięli ich ze sobą na wszelki wypadek. - Ollie znów splunął.

- Na wypadek czego? - naciskał Rainwater.

- Próbowałem się układać z ich szefem - wyjaśnił Ollie ze złością. - Powiedziałem mu, że może odwołać swoich strzelców, że sam się pozbędę tych krów. Obiecałem, że najlepsze odstawię do slumsów. Niech ci biedacy je wezmą, żeby ich dzieciaki chociaż raz się najadły do syta.

Ale nic z tego. Powiedział, że ma rozkaz zabić i pogrzebać krowy przeznaczone na odstrzał, i że zamierza go wypełnić. Nie mogłem mu przeszkodzić. Więc powiedziałem: dobra, rób pan swoje, jak przystało na rządową kurwę. - Otarł łzy z oczu. - Tak sobie myślę, że ja też się skurwiłem, biorąc ten cholerny czek.

- Ollie Thompsonie, nie waż mi się więcej tak gadać! - zawołała Lola. - Zrobiłeś to, co musiałeś.

Ze skrucną spojrzał na żonę.

- Nie mów, że to było w porządku. Wcale się z tym dobrze nie czuję. - Zamilkł na chwilę. - Ten człowiek chyba mi nie uwierzył na słowo, bo kiedy zabijali krowy, Conrad i jego zgraja trzymali nas na muszce, jakbyśmy mogli spróbować im przeszkodzić. Kiedy już było po wszystkim, rządowi odjechali. Ale zanim Conrad i jego zbiry się zmyli, ostrzelali dom.

Rainwater omiół wzrokiem dziury po kulach w drewnie.

- Dlaczego?

- Pewnie z czystej złości. - Ollie wytarł nos w rękaw. - Albo żebym się wystraszył i niczego nie próbował. No i nic nie zrobiłem. - Zerknął na róg domu, za którym zniknął jego syn. - Mój chłopak jak nic się za mnie wstydzi.

- A co mogłeś na to poradzić, Ollie? - Przez Lolę przemawiała jej niezłomna lojalność. - Wdać się w walkę z Conradem, żeby nas wszystkich wystrzelali?

- Pani ma rację - przytaknął Rainwater. - Z tego, co słyszałem o tym całym Ellisie, lepiej go nie prowokować.

Ella opowiedziała im, co się stało, kiedy pan Pritchett próbował mu się przeciwstawić.

- Naoczny świadek mówił nam, jak Conrad wyrwał pani Pritchett dziecko, które trzymała na rękach.

- Niechby tylko tknął Lolę albo któreś z moich dzieci, tobym go zabił - rzekł Ollie.

Lola widocznie zauważyła, że Ella patrzy na rewolwer w rękę męża, bo nerwowo postanowiła obrócić jego słowa w żart:

- Tak naprawdę on by do nikogo nie strzelił.

- Akurat! Klnę się na Boga, że bym go zabił - oświadczył Ollie.

Lola zwróciła się do Rainwatera:

- Jedno z postrzelonych cieląt nie zginęło od razu. Conrad i jego kompani słyszeli, jak ryczy. Stanęli na skraju dołu i zaśmiewając się, ciskali w nie kamieniami.

- A nie mówiłem? - mruknął Ollie. - Śmiecie.

- Ollie poszedł do domu po rewolwer, żeby skrócić męczarnie biednego stworzenia. Ale tamci nie dopuścili go do dołu. Cielę w końcu pewnie padło. Bo przestało ryczeć. Conrad i jego kumple wsiedli do półciężarówki i odjechali.

- I po zabawie - skwitował Rainwater.

Ella zwróciła uwagę, że gdy Rainwater był szczególnie wściekły, mówił, prawie nie poruszając ustami. Zauważył, że mu się przygląda, więc szybko odwróciła wzrok i spojrzała na Olliego, który podjął:

- Te krowy i tak by wkrótce zdechły. Nie miałem ich jak wykarmić. Czekają je śmierć głodowa. - Przełknął ślinę. - Ale powiem wam jedno... strasznie było patrzeć, jak tak do nich strzelali po kolei.

Zadarł głowę, wskazując podbródkiem kępę drzew, gdzie dwaj mężczyźni wsiadali na siodełka spycharek.

- Teraz starczy już tylko spryskać to ługiem i zasypać dół ziemią.

Patrzyli, jak silniki koparko-spycharek budzą się do życia. Pośród warkotu i czkawki z rur wydechowych ciągniki, sapiąc, ruszyły w stronę masowego grobu.

Ella położyła rękę na przedramieniu Loli.

- Czy mogę wam jakoś pomóc?

Lola zadarła rąbek fartucha, osuszyła oczy i ku ogólnemu zaskoczeniu parsknęła stłumionym śmiechem. Opuściła fartuch.

- Padnijcie na kolana i dziękujcie Stwórcy, że Ollie nie wpakował Conradowi Ellisowi kulki między oczy - powiedziała.

Ella podziwiała jej odporność i niespożyte poczucie humoru. Gdyby sama doświadczyła tego, przez co jej przyjaciółka przeszła tego ranka, chybaby nie zdołała się roześmiać.

- No i cieszę się, że Ollie nie musiał zastrzelić tego cielaka - dodała Lola. - Ubój zwierząt na mięso to jedno, ale zabijanie ich, bo stają się ciężarem, to już inna para kaloszy. Kiedyś musiał dobić starego konia, a potem przez trzy noce z rzędu wypłakiwał sobie oczy.

Mówiła z uczuciem wynikającym z wieloletniej miłości do Olliego Thompsona. Wzrok, jakim na siebie patrzyli, tak wymownie świadczył o ich wzajemnym przywiązaniu, że Ella czuła się jak intruz naruszający prywatność tych dwojga. Poczowała także ukłucie zazdrości.

Gdy wstała, huśtawka zakołysała się lekko.

- Zostawiłam wszystko na głowie Margaret, więc powinnam wracać do domu - powiedziała.

- Dziękuję, że się fatygowałaś - rzekła Lola.

- W niczym wam nie pomogłam.

- Już sam twój przyjazd wiele dla nas znaczy. - Lola spojrzała na Rainwatera. - Właściwie to się panu nie przedstawiłam. Jestem Lola. Dziękuję, że przywiózł pan Ellę.

- Nie ma za co. Oby nadeszły dla państwa lepsze czasy. Lola przyciągnęła córkę i pocałowała ją w czubek głowy.

- Gdyby były lepsze, całkiem by mi się przewróciło w głowie, proszę pana.

Uśmiechnął się. Najwyraźniej polubił ją i spodobał mu się jej optymizm. Nagle usłyszeli dobiegające z dołu ryczenie cielaka.

- Panie, zmiłuj się nad nami! - jęknęła Lola.

Dziewczynka wybuchnęła płaczem. Pojawił się chłopiec, który wcześniej zniknął. Tym razem oczy miał wilgotne. Obrzucił dorosłych na werandzie przerażonym wzrokiem. Ollie na chwilę zamknął oczy, po czym zszedł ze schodków.

Rainwater wyciągnął rękę i złapał go za ramię.

- Nie. Ja się tym zajmę.

Nie czekał na protesty albo zgodę Olliego, nie wziął rewolweru, tylko pomaszerował na drugą stronę placu i wyszedł przez wyrwę w ogrodzeniu. Jego długie nogi szybko pokonywały przestrzeń.

Cielak ryczał już jak oszalały; ten koszmarny dźwięk był nie do zniesienia. Ella szybko uściskała Lolę, poklepała Olliego po plecach, minęła go pośpiesznie i rzuciła przez ramię:

- Dajcie znać, gdybyście czegoś potrzebowali.

Potem zbiegła ze schodków i wypadła za bramę. Kiedy dobiegła do dołu, Rainwater właśnie przechodził przez krawędź. Mimo że zbocze nie było zbyt strome, ślizgał się na sypkiej ziemi, bo nie miał roboczych butów jak Ollie, tylko wyjściowe. Po drodze na dno dołu kilkakrotnie omal się nie przewrócił. Tymczasem spycharki dojechały już na miejsce.

Ella bezradnie patrzyła, jak Rainwater niezdarnie przesuwa się do cielaka, którego zad uwiązał pod zabita krową, zapewne jego matką. Rana na grzbiecie zwierzęcia krwawiła, obsiadły ją już muchy, ale, jak widać, nie była śmiertelna.

- Hej! - krzyknął mężczyzna ze spycharki. - Panie, coś pan? Wyłaż pan stamtąd!

Nie reagując na jego krzyki, Rainwater nadal szukał najlepszej drogi między trupami krów do rannego cielaka.

- Skończony dureń! - wrzasnął drugi mężczyzna.

- Panie, ostrzegam! - krzyknął ten pierwszy.

Rainwater albo ich nie słyszał, albo celowo nie zwracał uwagi na groźby. Cielak wciąż ryczał. Rainwater podniósł kamień wielkości melona i z widocznym wysiłkiem przytargał go do cielaka. Uniósł głaz wysoko nad głowę i opuszczył go na łeb zwierzęcia, miażdżąc mu

czaszkę i powodując natychmiastową śmierć. Żałosne ryczenie ucichło.

Ella zakryła dłonią usta i przycisnęła rękę do brzucha. Rainwater zgiął się wpół i oparł ręce na kolanach. Trwał w tej pozycji przez dłuższą chwilę, aż w końcu jeden z mężczyzn obsługujących spycharkę znów obrzucił go przekleństwami i zagroził, że obleje go ługiem. Dopiero wtedy Rainwater wyprostował się i z trudem zaczął się wspinać po sypkim zboczu.

Ella, wstrząśnięta tym, co zobaczyła, zawróciła do samochodu. Nagle stanęła jak wryta i wciągając do płuc upalne powietrze, z zaskoczeniem patrzyła na syna. Solly stał obok samochodu i jak zahipnotyzowany patrzył na martwe krowy i wychodzącego z dołu mężczyznę.

Rozdział dziewiąty

Powrót do miasta upłynął im niemal w całkowitym milczeniu. Ella nie wiedziała, gdzie błądził myślami Rainwater, ale ona myślała o Sollym. Martwiła się, co tam zobaczył, ile z tego zrozumiał i jaki wpływ mógł na niego wywrzeć tak makabryczny widok. Gdy posadziła go na tylnym siedzeniu, od razu zaczął stukać czubkami butów. Sprawiał wrażenie obojętnego, ale nie sposób było określić, co tak naprawdę się za tym kryło.

Na niej to wszystko pozostawiło niezatarte wrażenie: dół pełen chudej jak szkielet zwierzęcej padliny, Lola i Ollie pogrążeni w

rozpaczy, rozpaczliwe ryczenie cielaka i nagła cisza, kiedy Rainwater go zabił. Obawiała się, że minie bardzo wiele czasu, zanim te niepokojące wydarzenia zatra się w jej pamięci.

Nawiedzały ją tego dnia po południu, kiedy z mozołem zabrała się do prac domowych. Piekielny upał pozbawiał sił, nawet najbardziej rutynowe zajęcia wydawały się nie do pokonania. Siostry Dunne wzięły ją na stronę i naskarżyły na Margaret, że zadziera nosa.

Ella obiecała, że porozmawia na ten temat ze służącą, a kiedy to zrobiła, Margaret aż podskoczyła i wylała tłuszcz z wielkiej żeliwnej patelni, na której smażyła krokiety z łososiem. Tłuszcz spadł na rozpalony palnik, przez co na piecu wybuchł niewielki ogień i kuchnię wypełnił pachnący rybą dym.

Wczesnym popołudniem siły i cierpliwość Elli się wyczerpały. Marzyła tylko o tym, żeby dotrzeć do kolacji, posprzątać, a potem zabrać Sollygo i wrócić do siebie, gdzie miała nadzieję na trochę spokoju i ciszy.

Myślała o tym, nakrywając do kolacji, podczas gdy Margaret szatkowała kapustę na surówkę i wyrabiała ciasto kukurydziane na chleb. Po powrocie do kuchni Ella zobaczyła, że przy stole siedzi Rainwater oraz Solly, który układa rzędy wykałaczek na ceracie w kwiatowy wzorek.

Rainwater uśmiechnął się do niej.

- Naprawdę robi postępy. Układa grupki po dziesięć sztuk, chociaż tylko raz widział, jak ja to zrobiłem. I sięgając do puszki po wykałaczki, za każdym razem wyjmuje równo dziesięć.

Ella wyjęła z lodówki dzbanek herbaty i postawiła go na tacy.

- To żaden postęp, proszę pana, tylko bezwartościowa sztuczka.

Margaret przestała mieszać ciasto, obejrzała się przez ramię i zganiła Ellę wzrokiem, ale ona udała, że tego nie widzi.

Na chwilę zapadła napięta cisza, po czym Rainwater zapytał spokojnie:

- Dlaczego pani tak mówi?

Odwrócona do niego plecami Ella postawiła na tacy cukiernicę i talerzyk ze świeżo pokrojonymi plasterkami cytryny.

- Słyszał pan, co mówił doktor Kincaid. Talent Sollyego nie ma, jak to się określa z braku lepszego słowa, praktycznego zastosowania. No, chyba że komuś potrzebne są wykałaczkę ułożone po dziesięć sztuk w rzędzie albo klocki domina ustawione od najmniejszej wartości do największej.

- Nie wierzę, że pani to powiedziała.

Odwróciła się do niego na pięcie.

- Dlaczego?

- Dlatego, że to może być przełom. Początek. Pierwszy krok w kierunku...

- Czego, drogi panie? - Wskazała syna, który układał wykałaczkę w równych odstępach, jednocześnie stukając piętami o nogi krzesła. - Co dzięki temu osiągnie? Będzie uprawiał gry towarzyskie? Zabawiał bywalców jarmarków w Dallas albo Houston?

I głosem naganiacza w wesołym miasteczku dodała:

- Chodźcie, obejrzyjcie Solomona Barrona! Wyje jak potępieniec, wywija rękami i wpada w szal za każdym razem, kiedy matka próbuje go dotknąć, ale jest mistrzem sztuczek karcianych.

- Psze pani? - Margaret odwróciła się od blatu kuchennego. Na podłogę kapało gęste żółte ciasto z drewnianej kopyści, którą trzymała w ręku, ale służąca była tak zaniepokojona emocjonalnym wybuchem Elli, że nawet tego nie zauważyła. - Co panią napadło?

- Nic! Nic mi nie jest! - odparła Ella załamującym się głosem. - Próbuję wyjaśnić panu Rainwaterowi, który z sobie tylko znanych powodów traktuje mojego syna jak ukochane dziecko, że jego nauki są śmieszne i daremne.

Zbliżyła się do stołu o krok.

- Nie chcę, żeby mój syn został wybrykiem natury, dziwadłem dostarczającym ludziom rozrywki. Nie chcę, żeby występował dla czyjejs uciechy na jarmarkach. Chcę, żeby pisał, czytał i odzywał się do mnie, a nie... nie... - Z wściekłością zgarnęła ręką wszystko ze stołu, zrzucając starannie ułożone rzędy wykałaczek Sollyego oraz te w pudełku na linoleum.

Solly natychmiast wrzasnął przeraźliwie i zaczął się okładać pięściami po skroniach.

Ella, zaskoczona swoim zachowaniem, ucichła i znieruchomiała, z otwartymi ustami gapiąc się na rozsypane po podłodze wykałaczki. Nie mogła uwierzyć w to, co zrobiła. W życiu nie posądzałaaby się o to, że tak szybko, tak kompletnie może stracić panowanie nad sobą.

Rainwater wstał i spokojnie poszedł po miotłę, żeby pozmiatać wykałaczkę. Margaret odłożyła ociekającą kopyść do miski z ciastem i zwróciła się cicho do Elli:

- Pani się zajmie chłopcem, a ja tu posprzątam.

Ella, zawstydzona swoim wybuchem, kiwnęła głową i ściągnęła Sollyego z krzesła. Szamotał się, wierzgał nogami i wrzeszczał, lecz w końcu zdołała go zataszczyć do pokoju. Zamknęła drzwi, żeby poza nią nikt nie musiał znosić jego napadu szału.

Tym razem atak był wyjątkowo gwałtowny, trwał blisko pół godziny. Nijak nie potrafiła poskromić syna. W miarę możliwości unikała jego pięści i kopniaków, a mimo to wiedziała, że nazajutrz będzie cała posiniaczona. W końcu zmęczył się tak, że zasnął.

Usiadła na jego łóżku i zalała się potokiem łez. Frustracja i smutek, narastające w niej od rana, znalazły ujście w postaci potężnych, wstrząsających jej ciałem szlochów. Płakała nad swoimi przyjaciółmi, Olliem i Lolą, którzy odsunęli w czasie zajęcia ich posiadłości, ale kosztem straszliwego urazu psychicznego.

Płakała nad ich dziećmi, które przeżyły tak koszmarnie chwile i zapewne nie rozumiały dlaczego. Płakała nad siostrami Dunne, którym przyszło mieszkać w cudzym domu i których aktywność sprowadzała się do skarżenia na służącą. I nad Margaret, która musiała znosić ich uprzedzenia rasowe.

W tej rzadkiej chwili uzalania się nad sobą płakała także nad Sollym i ich wspólną ciężką dolą. Żyła w strachu przed tym, co przyniesie im przyszłość. Dzień w dzień usiłowała zapanować nad

lękami, nie dopuścić, żeby nią zawładnęły. Dziś jednak nie miała siły ich odpierać, więc ją dopadły.

W jaki sposób zdoła poskramiać ataki szału Sollyego, kiedy ją przerośnie i będzie od niej silniejszy? A co go czeka, gdyby jej zabrakło? Śmiertelne choroby atakują nawet dorosłych w kwiecie wieku. Jak choćby Rainwatera. Co się stanie, jeśli i ona zachoruje na raka i umrze? Dokąd wyślą jej syna, gdzie go zamkną po kres jego dni?

Poza tym ludzie giną w wypadkach. Wpadają pod samochód albo trafia ich piorun czy nadziewają się na widły. Giną w głupi, dumny sposób. Bezsensowna śmierć przydarza im się w trakcie zwykłych prac domowych, które wykonywali tysiące razy. Co się stanie z Solly'm jeśli i ona nieoczekiwanie umrze?

A jeśli zrani kogoś podczas jednego z tych napadów szału? Odbiorą go jej, zamkną w zakładzie dla umysłowo chorych, a ludzie się ucieszą, że tak jest lepiej dla wszystkich. Dla wszystkich z wyjątkiem Solly'ego.

W końcu się wypląkała i - wstydząc się łez - przemywała twarz zimną wodą, dopóki nie zesza opuchlizna pod oczami. Uczesała się i zmieniła fartuch na czysty. Jeszcze raz rzuciła okiem na syna i wyszła z pokoju.

W domu panowała cisza. Było już po kolacji, jadalnia była posprzątana. Margaret kończyła w kuchni zmywać naczynia.

- Zostawiłam dla pani talerzyk.

Stał na środku stołu, przykryty ściereczką.

- Dziękuję, Margaret - odpowiedziała, ale nie podeszła do stołu.

Służąca popatrzyła na nią z troską.

- Ma pani chętkę na coś innego? Zostanę i naszykuję, co pani zechce.

Ella pokręciła głową.

- Idź już, nie jestem głodna. - A widząc, że Margaret się waha, dodała: - Już się wyplakałam. Solly zasnął. Nic nam nie będzie. Do zobaczenia rano.

Służąca zdjęła fartuch, włożyła kapelusz, a potem podeszła do Elli i przytuliła ją.

- Na dziś to już koniec kłopotów. Jutro na pewno będzie lepiej.

Okazało się, że nie miała racji.

Rainwater nie zszedł na śniadanie. Ella uznała, że nie chce mu się opuszczać pokoju, ponieważ czuje się urażony jej ostrymi słowami z ubiegłego popołudnia. niesprawiedliwie wyładowała na nim swoją frustrację, aczkolwiek nie był bez winy. Nie cofnęłaby ani słowa z tego, co mówiła, że nie chce, by Solly stał się dziwolągiem i obiektem chorobliwej fascynacji, jak ten angielski Człowiek Słoń.

W głębi serca wiedziała jednak, że Rainwaterowi nie chodziło o coś takiego. Bynajmniej. Jego chęć zgłębienia zdolności Solly'ego była szlachetna i czysta. Nie miała powodu podejrzewać, że chciał wykorzystać jej syna, a już z pewnością nie dla własnych korzyści.

Zamierzała przeprosić go za swoje niegrzeczne zachowanie, lecz przez cały ranek nie pojawił się na dole. Nie przejmowała się tym, ale

kiedy nie zszedł na lunch, zaniepokoiła się. Margaret potwierdziła, że od wczoraj go nie widziała. Tak samo siostry Dunne.

- Mam nadzieję, że nic złego mu się nie stało - bąknęła panna Violet drżącym głosem.

- Prawdopodobnie chroni się przed upałem - zbagatelizowała Ella.

Sama jednak nie wierzyła w swoje wyjaśnienie, wobec czego postanowiła do niego zajrzeć. Zostawiła Solly'ego pod opieką Margaret i poszła na górę. Idąc długim korytarzem, specjalnie tupiała głośno, żeby nie pomyślał, że go szpieguje.

Zatrzymała się przed drzwiami i nadstawiła uszu, ale z drugiej strony nie dochodziły żadne dźwięki.

- Proszę pana?

Zapukała lekko i czekając na odpowiedź, przycisnęła pięść do ust. Nie doczekała się. Jeszcze raz zastukała cicho.

- Proszę pana, nic panu nie jest?

Nie odpowiadał. Zaszło jej w ustach, serce łomotało ze strachu. Sześć do dwunastu tygodni, powiedział doktor Kincaid. Przy pewnej dozie szczęścia może ciut dłużej. Twierdził, że Rainwatera czekają lepsze i gorsze dni, ale przerzuty raka spowodują, że jego stan nieuchronnie będzie się pogarszał. Wystąpią napady bólu, a w końcu poszczególne organy kolejno zaczną odmawiać posłuszeństwa. Lekarz obiecał jednak, że zanim do tego dojdzie, zabierze go do szpitala.

- Nie pozwolę, żeby umarł w pani domu. Ostrzegę panią na długo przed tym, zanim do tego dojdzie. Może miłosierny Bóg zabierze go szybko, chociaż rzadko przebiega to tak prędko.

Teraz jednak przyszło jej na myśl, że może doktor Kincaid mylił się w ocenie rozwoju choroby, Boga i Jego miłosierdzia.

Serce podeszło jej do gardła, lecz otworzyła drzwi pokoju.

Leżał na łóżku, nieprzykryty, ubrany w koszulę, spodnie i skarpetki. Wymięta kołdra pod nim świadczyła, że spoczywał na niej od dłuższego czasu. Przed ramieniem jednej ręki zasłaniał oczy, drugą ścisnął koszulę na wysokości brzucha. Z ulgą zobaczyła, że oddycha, aczkolwiek słabo i szybko, świszcząc przy tym przez otwarte usta. W pokoju unosił się kwaśny odór potu.

- Proszę pana?...

Słabo machnął ręką, którą zasłaniał oczy.

- Niech pani stąd wyjdzie, proszę.

Ona jednak podeszła do łóżka.

- Czy mam wezwać doktora Kincaida?

- Ja... - Nie dokończył, widocznie złapał go kolejny atak nieopisanego bólu. Jęknął przez zaciśnięte zęby.

Ella zawróciła na pięcie, wypadła z pokoju i pędząc schodami w dół, wołała Margaret. Zanim zbiegła na parter, służąca stała już u stóp schodów; z przerażenia oczy miała wielkie jak spodki.

- Czy pan Rainwater niedomaga?

- Jest chory. Dzwon do doktora Kincaida. Każ mu przyjechać natychmiast.

Mijając Margaret, Ella popchnęła ją w stronę telefonu. Weszła do saloniku dla gości i odłączyła wentylator od kontaktu. Wracając na schody, zauważyła, że siostry Dunne stoją obok siebie pod łukowatym wejściem do prywatnego saloniku i trzymają się za ręce, zatroskane i wystraszone.

- Czy możemy jakoś pomóc? - spytała panna Pearl.

- Nie, ale dziękuję.

Ella usłyszała, jak Margaret zamawia połączenie u telefonistki, i szybko wróciła na górę, niosąc wentylator. Rainwater leżał w tej samej pozycji, w jakiej go zostawiła, ale wyglądało na to, że ataki bólu ustąpiły. Gdy weszła, opuścił rękę znad oczu.

- Niech pani się mną nie przejmuje, proszę. Takie gorsze chwile będą się powtarzać. Wytrzymam.

- A tymczasem może dzięki temu poczuje się pan trochę lepiej. - Ustawiła wentylator na stole pod oknem i podłączyła do kontaktu. - Od dawna pan tak cierpi?

- Od ubiegłego wieczoru.

- Od wczoraj wieczorem! Dlaczego nic mi pan nie powiedział? Wezwałabym doktora Kincaida.

- Sądziłem, że mi przejdzie. To na pewno minie.

Nie podzielała jego optymizmu. Usta zbieleły mu z bólu, jedną spoconą ręką wciąż ścisnął koszulę na brzuchu. Oczy miał głęboko zapadnięte.

- Doktor Kincaid będzie tu niedługo. Podać panu coś do picia? Herbaty?

Nieznacznie pokręcił głową.

- Może trochę wody.

Zawahała się, ale zostawiła go i pośpiesznie zeszła na parter. Starsze panny gdzieś znikły, prawdopodobnie wróciły do prywatnego saloniku. Gdy wpadła przez drzwi do kuchni, Margaret spojrzała na nią wyczekująco.

- Pani myśli, że to grypa żołądkowa?

- Tak, tak sędzę. Czy doktor Kincaid przyjedzie?

- Mówił, że będzie migiem.

- Dobrze. Wyjmij z lodówki dzbanek z wodą. I weź szklankę.

Gdzie jest ta porcelanowa miska, w której myjemy warzywa?

- Tam gdzie zawsze.

Ella znalazła miskę na tej samej półce, na której zwykle stała w spiżarni. Postawiła ją na tacy wraz z dzbankiem schłodzonej wody i szklanką.

- Zostań z Sollym. - Chłopiec siedział na podłodze pod stołem i bawił się szpulkami po niciach. Ella oparła się plecami o drzwi i otworzyła je. - Jak tylko przyjedzie doktor, przyślij go na górę.

W pokoju Rainwatera odsunęła na bok książkę, jego zegarek i lampkę do czytania, żeby na nocnym stoliku zrobić miejsce na tacę. Nalała wodę z dzbanka do szklanki, a potem podłożyła rękę pod głowę chorego i uniosła ją. Pił łapczywie, a kiedy miał już dość, dał jej znak. Opuściła jego głowę na poduszkę, która - jak zauważyła - była mokra od potu.

- Zaraz wracam.

Znów wyszła, zabierając ze sobą miskę. Napełniła ją do połowy zimną wodą z kranu w łazience i wzięła z szafki czysty ręcznik. Uważając, żeby nie rozlać wody, postawiła miskę na nocnym stoliku, zmoczyła w niej ręcznik, wykręciła i przetrła nim twarz chorego. Przez chwilę patrzył na nią, a potem zamknął oczy.

- Dziękuję.

- Nie ma za co.

- Pielęgnowała pani męża?

- Słucham?

- Zakładałem, że pani mąż umarł, bo był chory. Czy pani się nim zajmowała? W ten sposób nabrała pani tych pielęgniarских umiejętności?

- Śmierć zaskoczyła go nagle.

- Aha. - Po chwili dorzucił: - Wobec tego jest pani urodzoną pielęgniarzką.

Znów zanurzyła ręcznik w wodzie, wykręciła go i przyłożyła mu do twarzy i szyi.

- Moim zdaniem to część instynktu macierzyńskiego.

Nie otwierając oczu, uśmiechnął się lekko.

- Czyli że to kobiecy talent, właściwy wyłącznie pani płci.

Po raz kolejny zmoczyła ręcznik, wyżeła, złożyła w prostokąt, położyła mu na czole i przycisnęła, żeby się nie zsunął. Potem cofnęła się, usiadła na krześle pod oknem i złożyła ręce na podolku. Nie powiedział nic więcej i mogłaby sądzić, że zasnął, gdyby od czasu do

czasu nie zaciskał kurczowo palców i szczęk, co zdradzało, jak potwornie go boli.

Przez otwarte okno usłyszała, że podjeżdża samochód doktora Kincaida, a potem trzask drzwi i szybkie kroki lekarza na ścieżce i werandzie. Po chwili stanął w otwartych drzwiach, zaniepokojony i zasapany.

- Davidzie!

Zerknąwszy na Ellę, podszedł do łóżka, postawił na podłodze czarną torbę lekarską i z widoczną troską pochylił się nad pacjentem.

Rainwater otworzył oczy.

- Witaj, Murdy. Coś taki wystraszony? Ja wciąż żyję.

Ella wstała.

- Zostawię panów. Gdybyście czegoś potrzebowali...

- Oczywiście. Dziękuję pani - rzucił lekarz z roztargnieniem.

Wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Rozdział dziesiąty

Zanim doktor Kincaid zszedł na parter, minęło blisko pół godziny. Siostry Dunne wybrały się z wizytą do przyjaciółki. Margaret gotowała kolację, jednocześnie pilnując Solly'ego. Lekarz zastał Ellę w prywatnym saloniku, gdzie odkurzała parkiet.

- Jak on się czuje? - spytała.

Wyjął z kieszeni spodni chusteczkę i przetrął twarz oraz łysinę. Ella zastanawiała się, czy nawyk ten miał na celu tylko osuszanie

potu, czy może był wybiegiem mającym odsunąć w czasie przekazywanie złych wieści.

- Podałem mu lekarstwo. Kryzys minął.

- Strasznie cierpiał.

- Jak nigdy dotąd.

Jego ton sugerował, że dzisiejszy ból był zaledwie zwiastunem tego, co wkrótce nastąpi.

- Zostawiłem mu leki, które może zażywać sam. Powiedział, że nie będzie z nich korzystał, chyba że ból stanie się nie do zniesienia. W tej kwestii jest okropnie uparty. Do czasu - dorzucił ponuro. - Zmieni zdanie.

Ella uciekła wzrokiem.

- Czy naprawdę nic nie da się zrobić? - spytała po chwili. - A operacja? Nie można go jakoś wyleczyć?

- Gdyby się dało, miałby to dawno za sobą. Już ja bym tego dopilnował.

- Oczywiście. Nie sugeruję bynajmniej, że pan czegoś zaniedbał.

- Wiem o tym i wcale tak tego nie odebrałem. Proszę mi wierzyć, jestem tym równie przygnębiony jak pani. Sprawdziłem wszystkie znane mi możliwości. Pisałem do lekarzy mających znacznie większą wiedzę i doświadczenie niż ja. Do specjalistów z miast tak odległych jak Boston i Nowy Jork. Wszyscy postawili tę samą smutną diagnozę. Nowotwór zaczął się od kości i rozwijał się, niewykryty, dopóki nie nastąpiły przerzuty na organy wewnętrzne.

Ella strząsnęła kosmyk włosów z czoła.

- Czy ma pan dla mnie jakieś instrukcje?

- On nie jest pani pacjentem.

- Ale mieszka pod moim dachem. Nie przejdę do porządku nad tym, że zwija się z bólu.

- Przy pierwszych oznakach, że cierpi, proszę dzwonić. O każdej porze dnia i nocy. Niech pani mnie wzywa bez względu na protesty Davida.

- Tak zrobię.

- On zawsze będzie twierdził, że nie ma potrzeby.

- Będę głucha jak pień na jego obiekcje.

- Świetnie.

Odprowadziła go do wyjścia i otworzyła siatkowe drzwi. W progu zawahał się i spojrzał na nią ze skruchą.

- Nie potrzeba pani dodatkowych stresów. Nie powinienem był przyprowadzać Davida do pani. Teraz tego żałuję.

Dwoje rozbrykanych, hałaśliwych synów doktora powodowało, że w jego domu panował nieopisany rwetes. Pacjenci wydzwaniali do niego nawet w środku nocy. W klinice codziennie czekała kolejka ludzi z otwartymi ranami i połamanymi kończynami, kobiet w ciąży, dzieci skarżących się na zwyczajny ból gardła bądź chorych na coś, co zagraża życiu. Ella podejrzewała, że lekarz przyprowadził do niej Rainwatera nie po to, żeby się pozbyć obciążenia, ale żeby mu znaleźć spokojny kąt do zamieszkania.

Licząc na to, że złagodzi jego poczucie winy, powiedziała mu, że Rainwater to idealny lokator.

- Jest taktowny i powszechnie lubiany. Wykazuje wyjątkową cierpliwość wobec Solly'ego. A także jest wielce pomocny. - Już chciała rozwinąć ten temat, ale się rozmyśliła. - Przechodzi sam siebie, żeby dla nikogo nie być ciężarem.

- Mam nadzieję, że nie stanie się ciężarem dla pani. - Lekarz włożył kapelusz, ruszył po schodkach, lecz zatrzymał się i odwrócił. - A swoją drogą, nie znam nikogo innego, komu mógłbym zaufać, że zajmie się nim tak znakomicie jak pani.

Zapukała do drzwi.

- Mogę wejść?

- Proszę.

Siedział na krześle pod oknem i patrzył, jak lekarz odjeżdża.

- I co Murdy pani powiedział?

- Zasugerował, że powinnam zmienić panu pościel.

Obejrzał się i zobaczył, że przyniosła świeże złożone powłoczki.

- Wątpię, żeby akurat to było tematem waszej rozmowy.

- Zauważyłam, że przydałaby się czysta bielizna pościelowa.

- Czy ta aż tak śmierdzi? Murdy pomógł mi się umyć i zmienić koszulę, ale powinienem wiedzieć, że łóżko chorego nie spełnia pani surowych wymagań.

Już miała skwitować uśmiechem tę niewinną kpinę, gdy naraz zauważyła ohydną strzykawkę. Leżała na blacie biurka, obok woreczka z czarnej skóry. Ella domyśliła się, że zawiera ampułki z lekarstwem.

Spojrzał w ślad za jej wzrokiem.

- Murdy próbuje ze mnie zrobić narkomana.

- Nie chce, żeby pan cierpiał bez potrzeby.

Z niesmakiem spojrział na strzykawkę, odwrócił głowę i wyjrzał przez okno. Odebrała to jako znak, żeby zmienić temat, podeszła więc do łóżka i zaczęła ściągać wilgotną, wygniecioną pościel.

- Chętnie bym pani pomógł, ale po środku przeciwbólowym od Murdy'ego kręci mi się w głowie.

- Uwinę się raz-dwa i będzie pan mógł wrócić do łóżka.

- Proszę się nie śpieszyć. Przeleżałem całą noc i cały dzień. Nie palę się do powrotu do łóżka. Wolę napawać się widokiem z okna - rzekł, a po chwili dorzucił: - Przyglądałem się topoli po drugiej stronie ulicy. Gdy byłem dzieckiem, wdrapywałem się na równie wysoką jak ta. Pewnego dnia, kiedy byłem w jednej trzeciej do szczytu, natknąłem się na szopa, który toczył pianę z pyska. Musiałem zeskoczyć na ziemię, żeby mnie nie pogryzł. I złamałem rękę.

- Lepsze to niż wścieklizna.

Roześmiał się cicho.

- Nie myślałem wtedy tak szybko. Ten szop tak na mnie syczał, że się wystraszyłem na śmierć. Rodzice pochwalili mnie za rozsądek, który kazał mi zeskoczyć, a tak naprawdę to ja ze strachu po prostu spadłem z drzewa. I tak cud, że nie skręciłem karku.

Uśmiechnęła się do niego.

- Czy później wszedł pan jeszcze kiedyś na to drzewo?

- Od razu, jak tylko ręka się zagoiła. Musiałem to zrobić, żeby odzyskać utraconą dumę.

Odwróciła się do łóżka, położyła na nim świeże prześcieradło, a potem naciągnęła je z jednej strony i wsunęła brzeg pod materac.

- Proszę pana?

- Uhm?

- Muszę pana przeprosić. Za wczoraj. - Czują na karku jego spojrzenie, gdy rozkładała zwiniętą poszwę i rzucała ją na łóżko. - Za ten incydent z wykałaczkami. I za to, co panu nagadałam. Nie mówiłam tego poważnie. Takie fochy nie są w moim stylu. Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

- Była pani zdenerwowana tym, co spotkało pani przyjaciół.

Skończyła upychać brzegi prześcieradła pod materac w nogach łóżka, wyprostowała się i odwróciła do Rainwatera.

- Tak. Ale nie tylko o to chodziło. - Na chwilę zwiesiła głowę, a potem spojrzała mu prosto w oczy. - Byłam zazdrosna.

- Zazdrosna?

- O postępy, jakie pan osiągnął z Sollym. Bo wbrew temu, co mówiłam wczoraj, to jest postęp. - Czując, że palą ją policzki, i mając świadomość, że to widać, znowu odwróciła się od niego i podniosła poduszkę. Przytrzymała ją brodą przy piersi, oblekła w świeżą poszewkę i ułożyła dokładnie na środku wezgłowia łóżka. - Nie wiem, jak daleko to zajdzie, ale pan osiągnął z nim dużo więcej niż ja. Mnie w żaden sposób nie udało się do niego dotrzeć.

Wygładziła narzutę na łóżku i razem z prześcieradłem zagięła ją tak, żeby powstała idealna zakładka. Po raz ostatni poprawiła kapek, odwróciła się i zdumiona stanęła twarzą w twarz z Rainwaterem. Wciąż nie miał na nogach butów, więc nie usłyszała, jak wstał z krzesła i podszedł do niej od tyłu. Był bardzo blisko.

- Nie ma pani powodów do zazdrości. Jeśli, jak pani uważa, osiągnąłem z Sollym jakieś postępy, to tylko dlatego, że nie mając żadnych zajęć, mogę mu poświęcić dużo czasu. A pani nie może. Jest pani zbyt zajęta robieniem tego wszystkiego, co niezbędne, żeby móc go utrzymać. - Zawiesił głos i zaraz dorzucił: - Bardzo się pani dla niego poświęca.

Takie stwierdzenie zakrawało na bezczelność. Mogła go za nie obsztorcować, ale bała się, że skłoni go tym do wyjaśniania, w jakich dziedzinach życia, jego zdaniem, się poświęca. Uznała, że bezpieczniej będzie nie wdawać się w taką rozmowę, zwłaszcza z nim, zwłaszcza w tym pokoju i w takiej chwili.

Musiała przełknąć ślinę, inaczej nie zdołałaby się odezwać.

- To bardzo szlachetne z pańskiej strony, że pan tak uważa.

- Nie jestem szlachetny, tylko potwierdzam fakt.

- Przyjmuje pan moje przeprosiny? - spytała, odwracając głowę.

- Tak, chociaż są najzupełniej zbyteczne.

- Dziękuję.

Ominęła go i schyliła się, żeby zebrać z podłogi brudną pościel, lecz zaszokował ją jeszcze bardziej, ujmując jej rękę. Niespodziewany kontakt fizyczny tak ją zaskoczył, że aż spojrzała na ich dłonie, by się

przekonać, czy to prawda. Przyglądała im się długo, zwracając uwagę na różnice w wielkości, w gładkości skóry, a także na siłę nacisku jego palców. W końcu podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Nie mogę znieść myśli, że widziała mnie pani dziś w takim stanie - powiedział.

- Cierpiał pan z bólu.

- A pani była bardzo spokojna.

- Tylko na pozór.

- Obmyła mi pani twarz.

- Przynajmniej tyle mogłam dla pana zrobić.

- Pomogło.

- Cieszę się.

- Dziękuję.

- Nie ma za co.

Jeszcze przez kilka sekund trwali złączeni wzrokiem i dłońmi, po czym cofnęła rękę i pośpiesznie zebrała pościel

- Każę Margaret przynieść panu jedzenie do pokoju - rzuciła od progu.

- Zejdę na kolację.

- Powinien pan odpocząć.

- Zejdę.

I zszedł. Sprawiał wrażenie, jakby atak bólu nie pozostawił po sobie trwałych skutków. Ella nie wiedziała, czy wziął zastrzyk ze środkiem uśmierzającym (podejrzewała, że to morfina), w każdym razie z pewnością wyglądał o wiele lepiej.

Następnego dnia podjął pracę nad Sollym, najpierw jednak zapytał ją o zgodę.

- Nie chcę się znów narazić na pani fochy.

Nie poczuła się urażona, bo powiedział to z kpiarskim uśmiechem.

- Obiecuję nie ciskać więcej wykałaczkami. Może pan pracować z Sollym, kiedy tylko pan zechce.

Codziennie poświęcał chłopcu sporo czasu.

Poza tym zaczął często wychodzić z domu. Jeśli w ogóle raczył ją o tym zawiadamiać, to tylko po to, żeby powiedzieć, o której z grubsza wróci. Nie fatygował się z wyjaśnianiem, dokąd się wybiera. Skoro nie opuszczał posiłków, to znaczy, że nie jadał na mieście. Ale może jeździł do Waco do kina, tyle że nigdy nie opowiadał, na jakim był filmie.

Czasami wychodził tylko na krótko, po południu. Czasami zaś znikał po kolacji i nie wracał godzinami. Oczywiście Elli nie powinno interesować, gdzie się podziewał, ale była ciekawa... chociaż nikomu by się do tego nie przyznała.

- Na pani rozum, co się dzieje? - spytała ją pewnego dnia Margaret.

Były w saloniku od frontu, przesuwały meble, żeby wyszorować za nimi listwy podłogowe. Wychodząc, Rainwater zajrzał do nich, żeby poinformować, że wróci na kolację. Margaret patrzyła przez okno, jak odjeżdża, a następnie zadała Elli to pytanie.

- Co się dzieje? - Ella udawała, że wcale nie jest tym zainteresowana.

- Z panem Rainwaterem. Gdzie on się tak ostatnio wypuszcza?

- Nie wiem, Margaret. Nie spowiada mi się, zresztą to nie moja sprawa. Twoja też nie - dodała znacząco.

Służąca położyła mokrą szmatę na listwie.

- Tak sobie myślę, że może on ma gdzieś na boku jakąś panią od serca.

- Możliwe.

Margaret pociągnęła nosem i pokręciła głową.

- Pani wie, jak to jest z chłopami.

Ella zostawiła to bez komentarza.

Kilka dni później wpadła na poczcie na Lolę Thompson. Lola trzymała najmłodsze dziecko na biodrze, a drugie za rękę i żonglowała stertą listów, które właśnie wyjęła ze skrzynki.

Na powitanie przyjaciółki jak zawsze odpowiedziała szerokim uśmiechem.

- Dostałam list od kuzynki. Znowu jest w ciąży. Przysięgam. Jakby mieli za mało gęb do wykarmienia. - Powachlowała listami okrągłą zaczerwienioną twarz.

- Dużo o tobie myślałam - powiedziała Ella. - Co u ciebie?

- Wszystko w porządku.

- A Ollie?

- Naprawia parkany. Łata dziury w dachu. Haruje i nie może się doczekać, kiedy będzie mógł odnowić pogłowie. Nic nie zarabiamy, ale wydajemy też niewiele. Radzimy sobie, jak możemy. Co innego nam pozostaje?

- Podziwiam twoją odporność.

Lola zachichotała.

- Miewałam chwile słabości. Inaczej nie byłabym człowiekiem. Ale staram się nie okazywać tego w obecności Olliego i dzieci.

- Gdybyś chciała kiedyś porozmawiać, zadzwoń albo wpadnij.

Lola prychnęła.

- Tego tylko brakowało, żeby taka wielka baba jak ja wypłakiwała ci się na ramieniu. Masz na głowie upośledzonego syna, jesteś sama i prowadzisz pensjonat bez niczyjej pomocy. To ty zasługujesz na podziw, nie ja.

Ella nie poczuła się dotknięta określeniem, jakiego Lola użyła wobec Solly'ego, bo wiedziała, że przyjaciółka nie miała nic złego na myśli.

- Zawsze jesteś u mnie mile widziana. O każdej porze.

Lola puściła dłoń dziecka i dotknęła ręki Elli.

- Miło to słyszeć. Czasami nie ma to jak pogadać z inną kobietą. My się przynajmniej rozumiemy, prawda?

Ella kiwnęła głową. Lola milczała przez chwilę i dodała:

- Ale z mężczyznami chyba jest tak samo. Cieszę się, że Ollie poznał Rainwatera, w samą porę. Trafił mu się właśnie wtedy, kiedy

Ollie potrzebował przyjaciela. Moim zdaniem ich rozmowy bardzo Olliemu pomogły.

Serce Elli zamarło na chwilę.

- To pan Rainwater spotyka się z Olliem na pogaduszki?

- Przed i po zebraniach. Albo zostaje dłużej, jak inni już wyjdą, albo przyjeżdża wcześniej.

Ella spojrzała na nią z niedowierzaniem.

- Lolu, o czym ty mówisz? Jakie znów zebrania?

- No wiesz. - Lola poruszyła krzaczastymi brwiami i rozejrzała się, sprawdzając, czy nikt ich nie słucha. Nachyliła się do przyjaciółki i szepnęła znacząco: - Zebrania!

Blask reflektorów rozdarł ciemność, zanim jeszcze samochód skręcił w ulicę. W sąsiednich domach było ciemno. Większość ludzi już dawno spała. W miasteczku panowała cisza, jeśli nie liczyć hurgotu pociągu towarowego, który przejechał, nie zatrzymując się ani nie zwalniając.

Rainwater wyszedł z domu, kiedy Ella sprzątała w kuchni po kolacji. Stare panny przez jakiś czas grały w karty, a potem poszły do siebie. Pan Hastings, skonany po ostatniej podróży, zaraz po kolacji udał się na górę. Ella położyła Solly'ego do łóżka, wyprawiła Margaret z kubłem fasoli pinto i dwiema formami chleba kukurydzianego, które służąca miała dostarczyć do slumsów, i wyszła na werandę, żeby tam poczekać na powrót lokatora.

Rainwater zaparkował samochód za wozem pana Hastingsa, wyłączył reflektory i zgasił silnik. Przeszedł ścieżką, wszedł po schodach i już sięgał do klamki siatkowych drzwi, gdy się odezwała:

- Dobry wieczór.

Stanął jak wryty, odwrócił się do niej i zerwał z głowy kapelusz.

- Pani Barron. Nie zauważyłem pani. - Podeszedł do bujanego fotela, na którym siedziała. - Mam nadzieję, że nie czekała pani na mój powrót, żeby zamknąć drzwi.

- Czekałam na pana, ale nie dlatego, że chciałam pozamykać dom. Szczerze mówiąc, żałuję, że nie zamknęłam pana.

Milczał przez chwilę.

- Czy mogę usiąść? - zapytał w końcu.

Szybko kiwnęła głową. Zajął krzesło tuż obok niej, a nawet przysunął je jeszcze do jej bujaka. W odpowiedzi odsunęła kolana w bok, dalej od niego.

- Zanim pan coś powie, powinien pan wiedzieć, że widziałam się dzisiaj z Lolą. Wspomniała o tajnych zebraniach odbywających się w ich domu, bo zakładała, że już o nich wiem.

- Nie zawsze spotykamy się w domu Thompsonów.

Jego opanowanie doprowadzało ją do białej gorączki.

- Nie chodzi o to, gdzie się odbywają te zebrania, tylko jaki mają charakter. Jaki jest ich cel?

Mówiła coraz bardziej podniesionym głosem. Zerknął na plac i dalej, na dom po drugiej stronie ulicy, a potem obejrzał się przez ramię na żywopłot z oleandrów, oddzielający posesję Elli od

sąsiadów. Ta ostrożność tylko wzmogła jej najgorsze przeczucia, ale zniżyła głos do szeptu.

- Proszę zrozumieć. To, dokąd się pan udaje, obchodzi mnie wyłącznie z tego powodu, że mieszka pan pod moim dachem i jada przy moim stole. Czuję się więc uprawniona do tego, żeby wiedzieć, czy nie wdał się pan w jakąś niebezpieczną albo przestępczą działalność.

- Zapewniam panią, że to, co robimy, nie jest przestępstwem.

- Ale jest niebezpieczne?

- Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie.

- Nadal nie odpowiedział pan na moje pytanie. Jaki jest cel tych zebrań?

Położył kapelusz na kolanie i nachylił się do niej.

- Ten rządowy program wykupu bydła na terenach dotkniętych suszą miał pomóc ludziom znajdującym się w tragicznej sytuacji, a nie przysparzać im dodatkowych zmartwień. W tych ciężkich czasach nie powinno się ostrzeliwać czyjegoś domu, niszczyć jego własności ani grozić jego dzieciom. A właśnie to spotkało Pritchettów i Thompsonów. Chcemy położyć temu kres.

- My? To znaczy kto?

- Ja, Ollie, brat Calvin. To on zebrał ludzi ze slumsów, czarnych i białych, tych, których pobito tak, że byli o włos od śmierci. Pamięta pani tego mężczyznę z trojgiem dzieci, któremu niedawno umarła żona?

Przytaknęła, wciąż mając w pamięci scenę, jak Rainwater z nim rozmawiał.

- Nazywa się Emmett Sprule. Mieszka w slumsach od dawna, więc zna tam wielu ludzi. Pritchett też się zgłosił. Ściągnął wszystkich zaprzyjaźnionych sąsiadów, a nawet diakonów ze swojego kościoła.

- Ściągnął ich? Do czego?

- Utworzyliśmy całą sieć, coś na kształt sztafety. Kiedy zbliża się czas wykupu i odstrzału stada jakiegoś ranczera, on wysyła wiadomość. My rozpowszechniamy ją za pośrednictwem sieci, którą wymyśliliśmy. Każdy z nas rzuca to, czym się akurat zajmuje, i zbieramy się razem na miejscu odstrzału. Nie możemy zmienić zasad działania programu. - W uśmiechu błysnął w ciemności białymi zębami. - Ale możemy je trochę nagiąć i kiedy nikt nie patrzy, załatwić nieco świeżego mięsa albo kości na zupę dla tych biedaków. No a poza tym z pewnością możemy powstrzymać nieczne uczynki Conrada Ellisa i jego kompanów.

- Conrad jest szalony. On i jego banda mają broń i są lekkomyślni.

- My również mamy broń, ale nie jesteśmy lekkomyślni, tylko zorganizowani. I jest nas o wiele więcej niż ich. Jeśli się postawimy tym zbirom, myślę, że dadzą za wygraną. Ci, którzy stracili źródła utrzymania i domy, ci, których bito, znowu poczują się mężczyznami.

Ich organizacji przyświecała szlachetna idea, Ella obawiała się jednak, że mieszkańcy slumsów z kijami i kościelni diakoni uzbrojeni

w chrześcijańską przyzwoitość nie stanowią zagrożenia dla Conrada i jego dobrze uzbrojonych, pijanych i brutalnych kompanów.

- Od ochrony ludzi i mienia są stróże prawa - powiedziała. - Dlaczego nie wyślecie delegacji do szeryfa z prośbą o pomoc?

- Anderson boi się Ellisów. Nie przeciwstawi się ojcu Conrada, skoro ten sfinansował jego kampanię wyborczą.

Miał rację, ale ciekawa była, w jaki sposób Rainwater, obcy w tym mieście, zdobył takie informacje. Kiedy go o to zapytała, odparł:

- Ollie powiedział mi, że szeryf Anderson nie ma ikry i bierze w łapę, a wszyscy inni to potwierdzili. Brat Calvin opowiadał, że szeryf i jego ludzie stali beczynnie i patrzyli, jak Conrad i jego zgraja biją tych ludzi u Pritchettów, pamięta pani?

- Pamiętam doskonale. Co tylko potwierdza, że mam słusność. - Zagryzła dolną wargę. - Proszę, niech pan się w to nie miesza.

- Już się wmieszałem.

- To nie jest pańskie miasto. Dopiero co poznał pan tych ludzi. Dziwię się, że w ogóle mieli czelność zaprosić pana do swojego grona. - Nagle urwała. Kiedy się znów odezwała, mówiła powoli, z naciskiem. - Kto zorganizował tych ludzi? Kto opracował system porozumiewania się, tę sztafetę?

Patrzył na nią bez zmrużenia oka.

- To był pan.

Nic nie powiedział.

- Dlaczego? - spytała zdławionym głosem.

- Ktoś musiał to zrobić.

- Ale nie pan!

- Dlaczego nie ja?

- To nie pańska walka. Nie jest pan ranczerem ani nie hoduje krów na mleko. Nie mieszka pan w slumsach. To nie pana pobiły te zbiry. Nie jest pan w to zamieszany.

- Wmieszałem się na własne życzenie.

- I całkiem niepotrzebnie. Sytuacja jest niebezpieczna. Szeryf Anderson może pana aresztować.

Rozbawiła go.

- Za co? Za to, że się spotykam z przyjaciółmi?

- Pod byle pretekstem. Za plucie na chodnik. Jeżeli Ellisowie każą mu pana wsadzić za kratki, zrobi to. Albo, co gorsza, mogą go do tego nie mieszać i sami się z panem rozprawić.

- Rozprawić się ze mną - powtórzył, nadal rozbawiony. - A niby co mogą mi zrobić?

- Cokolwiek im strzeli do głowy! Niech pan nie lekceważy Conrada. Może panu zrobić krzywdę, i zrobi.

- Ja się go nie boję.

- A ja tak. I pan też powinien się bać. Niech pan nie wchodzi mu w drogę i trzyma się z dala od jego interesów.

- Przykro mi, ale nie mogę. Jest już za późno, żebym się wycofał. Nawet gdybym tego chciał, a nie chcę.

- Nie rozumiem pana. Naprawdę. Dlaczego ryzykuje pan życie...

- Ugryzła się w język i nie dokończyła myśli.

Rainwater uśmiechnął się blado i lekko wzruszył ramionami.

- No właśnie.

Rozdział jedenasty

Tego wieczoru nie mówili więcej na ten temat. Ella uświadomiła sobie, że wszelka dyskusja z człowiekiem stojącym nad grobem, który i tak chce skrócić swoje życie, jest bezcelowa, więc wróciła do domu i poszła od razu do siebie, ufając, że Rainwater nie zapomni zaryglować drzwi.

Następnego dnia przy śniadaniu przywitali się uprzejmym skinieniem głowy, ale nie zamienili ze sobą ani słowa. W południe wyszedł na podwórko za domem, gdzie wieszła ręczniki na sznurze. Solly siedział na ziemi i bębnił drewnianą łyżką o dno odwróconego metalowego wiadra. Margaret była w komórce, przepuszczała pranie przez wyżymaczkę.

Zbliżając się, Rainwater dotknął rąbka kapelusza.

- Dzień dobry pani.

- Dzień dobry.

- Nie dokończyliśmy naszej wczorajszej rozmowy.

- Nie mam prawa pouczać pana, jak powinno wyglądać pańskie życie. - Przypięła klamerką róg ręcznika do sznura i odwróciła się do niego, osłaniając ręką oczy przed słońcem. - Ale nie pozwolę, żeby sprowadził pan kłopoty na mój dom.

- To ostatnia rzecz, jaka by mi przyszła do głowy.

- Zapewne nie ma pan takich zamiarów, co nie znaczy, że do tego nie dojdzie. Ludzie wiedzą, że pan tu mieszka. Pański związek z tą sprawą wystawia na niebezpieczeństwo Solly'ego, mnie i wszystkich mieszkańców pensjonatu.

- Wyprowadzę się zawczasu, jeśli by przeze mnie miało panią spotkać coś złego.

Powiedział to z takim przekonaniem, że Ella nerwowo zerknęła w stronę komórki, pewna, że Margaret wychodzi z siebie, byleby ich podsłuchać, chociaż udawała, że obraca korbą wyżymaczki. Służąca i tak już pewnie wiedziała, co się dzieje, zwłaszcza że jednym z prowodyrów był brat Calvin. Ale Ella nie chciała, żeby powtarzano to, co mają sobie z Rainwaterem do powiedzenia.

Wróciła spojrzeniem do niego.

- Trzymam pana za słowo.

- Wyprowadzę się, jeśli mi pani każe.

- Czy ma pan pistolet?

- Nie.

- Bo ja nie toleruję broni palnej w moim domu. Solly...

- Ja nie mam broni.

- I nie życzę sobie, żeby te zebrania odbywały się na terenie mojej posesji.

- Nigdy nie ośmieliłbym się tego zaproponować.

Przyglądała mu się przez chwilę, a potem schyliła się do kosza na ziemi, wyjęła kolejny mokry ręcznik i wytrząsała go energicznie, aż się rozprostował.

- Mieszanie się do tego uważam za głupotę z pańskiej strony, skoro nie ma pan w tym żadnego interesu.

Wyjął i podał jej klamerkę z torby wiszącej na sznurze.

- Ależ ja mam w tym interes, proszę pani, i to poważny.

Spojrzała na niego pytająco, biorąc klamerkę.

- Chciałbym pożytecznie wykorzystać czas, jaki mi pozostał.

Cofnął się, obszedł kosz z praniem oraz Solly'ego i ruszył w stronę domu.

- Proszę pana?

Zawołała go bez namysłu i zawstydziła się tej spontaniczności. Zdawała sobie sprawę, że Margaret może ich usłyszeć. Miała również świadomość, że przyciska mokry ręcznik do piersi. Ale było już za późno. Odwrócił się i patrzył na nią wyczekująco.

- Proszę na siebie uważać.

Uśmiechnął się i znów uchylił kapelusza.

- Dziękuję. Będę ostrożny.

Trzymając Solly'ego za rękę, Ella weszła do kościoła i znalazła dla nich miejsce na ławce z tyłu. Co niedziela starała się spóźnić o kilka minut i wejść podczas śpiewania pieśni albo modlitwy, kiedy wierni mieli zwieszane głowy, żeby uniknąć parafian, którzy gapili się na jej syna z ciekawością, czasami ze strachem, a najczęściej ze współczuciem ocierającym się o litość. Ella głęboko gardziła takim zachowaniem i nie chciała narażać na nie syna.

Dzisiaj Solly wyglądał jak aniołek. Ubrała go w białą lnianą koszulę i takie same krótkie spodenki, które kupiła na kiermaszu rzeczy używanych zeszłego lata, z nadzieją, że w ciągu roku urosnie tak, że będą na niego w sam raz. Spodenki były spięte z koszulą wielkimi okrągłymi guzikami. Podkolanówki miał nieskazitelnie czyste, a buty wypastowała mu poprzedniego wieczoru. Rano udało jej się kilkakrotnie przeczesać grzebieniem jego jasne włosy, zanim zaczął piszczeć i okładać się rękami po skroniach.

Co niedziela wychodziła ze skóry, żeby go porządnie ubrać, choć wiedziała, że stara się na próżno. Nikt nie zwracał uwagi, że Solly jest wystrojony, każdy widział tylko, że jest inny, że „coś z nim nie tak”. Dlatego tym bardziej powinien wyglądać wspaniale.

Kiedy usiedli w ławce, kościelny podał jej śpiewnik otwarty na hymnie wykonywanym właśnie przez dwudziestoosobowy chór, który mimo dwóch basów i jednego barytona w składzie zawsze brzmiał rachitycznie.

Wzięła ze sobą torebkę ze szpulkami po niciach, żeby Solly miał się czym zająć podczas nabożeństwa. Odmówiono modlitwy, odśpiewano kolejne hymny, taca zaczęła krążyć między wiernymi. W końcu pastor rozpoczął kazanie.

Tego dnia przesłanie nie było szczególnie porywające. Ella zaczęła błądzić myślami i wzrokiem. Rozglądając się wśród wiernych, zauważyła Rainwatera. Siedział na skraju ławki przy bocznej nawie, w pół drogi między nią a ołtarzem. Patrzył na pastora, więc widziała go z profilu. Niesforny kosmyk włosów, który zwykle

opierał się brylantynie, przynajmniej dziś był na swoim miejscu. Ella znów była pod wrażeniem jego wydatnych kości policzkowych i ostro zarysowanej brody.

Biło z niego spokojne skupienie, potwierdzające, że zawsze był pochłonięty tym, na co patrzył albo czego słuchał. Tylko jego oczy nigdy nie były obojętne. Nawet jeśli się nie poruszały, w ich głębinach wiele się działo. Zupełnie jak w wiosennym górskim potoku, którego względnie spokojna powierzchnia skrywa pędzące pod nią prądy.

Ellę zaskoczyła jego obecność. Zdaje się, że po raz pierwszy uczestniczył w nabożeństwie. Siedział z doktorem Kincaidem i jego żoną, która wkrótce skarciła wzrokiem jednego z rozbrykanych synów, ostrzegając, żeby siedział spokojnie i nie zaczepiał brata.

Ellisowie zajmowali swoją stałą ławkę, drugą po prawej stronie środkowej nawy. Nikt inny nie ośmieliłby się tam usiąść. Jeśli czynił tak ktoś przejezdny, proponowano mu zmianę miejsca.

Conrad sprawiał wrażenie skorego do bitki nawet wtedy, gdy siedział nieruchomo i oglądało się go od tyłu. Może to z powodu wielkiej głowy osadzonej na byczym karku, że prawie nie było widać szyi. Kręcone, gęste niczym wełna włosy wyglądały jak obcisła czapka i nadawały mu jeszcze bardziej wojowniczy wygląd.

Obok niego siedział stary Ellis. Był drobniejszy i zdecydowanie mniej muskularny od syna, ale jego zadarty podbródek i wysunięta do przodu głowa zdradzały, że jest agresywny, ambitny i wojowniczy.

Pani Ellis, która tego dnia wystroiła się w różowy woal, była najlepiej ubraną kobietą w miasteczku, ale nikt jej nie považał ani nie lubił. Powszechnie uważano, że stroi fochy i skąpi czasu i pieniędzy na działalność charytatywną i organizacje obywatelskie. W swoim domu wydawała przyjęcia, ale wyłącznie dla zadzierających nosa przyjaciółek z Waco - miejscowych kobiet nigdy nie zapraszała.

Ella odniosła wrażenie, że wszyscy w kościele odetchnęli z ulgą, gdy pastor zakończył wreszcie kazanie i zamknął nabożeństwo modlitwą. Na koniec poprosił Boga, żeby sprowadził na właściwą drogę tych, którzy zbłądzili. Takie zakończenie wydawało się nieco dziwne, ale stało się zrozumiałe, gdy stary Ellis gromko zawołał ze swojego miejsca:

- Amen.

- Myślę, że końcową modlitwę napisał pan Ellis.

Rozpoznając głos, Ella się odwróciła. Za nią stał Rainwater, ale wzrok miał utkwiony w rodzinie, która właśnie rozmawiała z pastorem. Oboje patrzyli, jak pan Ellis entuzjastycznie klepie pastora po plecach i długo potrząsa jego prawą ręką. Pani Ellis wachlowała twarz koronkową chusteczką w kolorze sukni. Znudzony Conrad odszedł na bok i zapalił papierosa.

- Całkiem niewykluczone - przyznała Ella. - Pan Ellis jest bardzo wpływowym członkiem parafii.

- Czy tylko mnie się tak wydawało, czy pani również dostrzegła w tej modlitwie zawołane ostrzeżenie? Komu, pani zdaniem, wolno decydować, kto zbłądził z właściwej drogi, a kto nie?

Wiedziała, że jego pytanie jest retoryczne, więc nie siła się na odpowiedź. Spojrzał na Sollyego, który stał potulny jak baranek u boku matki, wpatrzony w witrażowe okna.

- Nie słyszałem, żeby ten młody człowiek choćby pisnął. Czego nie da się powiedzieć o urwisach Murdy'ego.

Ella się roześmiała.

- Bo ich jest dwóch. Ale rzeczywiście, Solly zachowywał się dziś bez zarzutu. - Zdawała sobie sprawę, że wszyscy się na nich gapią, zwłaszcza gdy Rainwater ujął ją pod rękę i sprowadził po schodkach kościoła. Kiedy zeszli na chodnik, uwolniła rękę, ale złagodziła ten gest słowami: - Dotychczas pana tu nie widziałam.

- To mój pierwszy raz.

- I jak wrażenia?

- Nudne kazanie.

- Dzisiaj nawet te zabijaki chrapały? - Uśmiechnęli się do siebie, po czym Ella zwiesiła głowę, ciesząc się, że kapelusz ukrywa wyraz jej twarzy. - Na niedzielny obiad Margaret przygotowała pieczeń wieprzową i upiekła dwa ciasta. Zobaczymy się przy stole.

Odwróciła się i ciągnąc za sobą Solly'ego, ruszyła chodnikiem.

- Odprowadzę was do samochodu - zaproponował Rainwater.

- Dzisiaj przyszliśmy pieszo.

- Wobec tego odwiozę was do domu.

- Dziękuję panu, ale mamy... mamy coś do załatwienia.

- Zawiozę was, dokąd trzeba.

- Prawdę mówiąc, wybieramy się tu obok.

Spojrzał we wskazanym kierunku i zobaczył przylegający do kościoła cmentarz.

- Nacięłam w ogrodzie trochę kwiatów na... Dla moich rodziców.
- Znając jego rokowania lekarskie, wołała unikać tematu pogrzebów i słowo „grób” nie przeszłoby jej przez usta.

- A gdzie są? Te kwiaty? - sprecyzował, widząc, że zmieszła się, nie bardzo wiedząc, czy miał na myśli miejsce pochówku jej rodziców, czy to, gdzie zostawiła kwiaty.

- Zanim weszliśmy do kościoła, zostawiłam je w cieniu, żeby nie zwiędły.

Ruchem głowy pokazał, żeby poszła przodem.

- Nie musi pan iść z nami - powiedziała.

- Ma pani coś przeciwko temu?

- Ależ skąd. Tylko że jest straszny skwar.

- Skwar mamy codziennie. Mnie upał nie przeszkadza.

Nie widziała możliwości wyperswadowania mu tego w taki sposób, żeby nie zwrócić uwagi ludzi, którzy kręcili się jeszcze przed kościołem. Bez dalszych dyskusji zaprowadziła go więc za róg budynku, w głęboki cień, gdzie zostawiła wiązanekę. W kamionce pełnej wody czekały tam kolorowe cynie, dwie kremowe gardenie i kilka późnych żółtych róż, które jak dotąd opierały się letniej pogodzie.

Rainwater podniósł dzban.

- Pięknie pachną.

- Też tak pomyślałam.

Ruszyli razem na cmentarz i przeszli przez bramę w żelaznym płocie. Rainwater nie wyglądał na kogoś, kto źle się czuje w miejscu tak dobitnie przypominającym o śmierci. Z widoczną ciekawością odczytywał nazwiska i daty na nagrobkach, które mijali w drodze do kwatery, gdzie leżeli rodzice Elli.

Puściła rękę Solly'ego, wzięła dzban z kwiatami od Rainwatera, przyklękła i postawiła naczynie na środku nagrobka z wyrytymi imionami, datami urodzin i śmierci oraz prostą inskrypcją: NA WIEKI POŁĄCZENI W NIEBIE.

Po bokach tego grobu były dwa mniejsze, tylko z wpuszczonymi w ziemię mosiężnymi tabliczkami zawierającymi dane osób, które tam leżały. Ella wyjęła dwie róże z dzbana i położyła po jednej na każdym z tych grobów.

- Pani bracia bliźniacy?

Skinęła głową, zastanawiając się, czy zauważył, że wykluczono ją z rodzinnej kwatery. Nie zostawiono w niej miejsca na jej pochówek. Wyrwała kilka chwastów, poprawiła kwiaty w dzbanie, otrzepała ręce i wstała.

- Przychodzi tu pani w każdą niedzielę? - zapytał.

- Mniej więcej co miesiąc.

- Czy pani mąż także leży na tym cmentarzu?

Zaskoczyło ją to niespodziewane pytanie.

- Nie - odparła, wzięła Solly'ego za rękę i szybko ruszyła z powrotem do wyjścia. - Nie pochodził z Gilead. Urodził się i wychował w małej miejscinie na północy stanu. Lubił wielkie otwarte

przestrzenie prerii. Często mi opowiadał, że właśnie tam chciałby być pochowany.

- Rozumiem.

Szli dalej, ale przy bramie Ella przystanęła. On również się zatrzymał. Do tej pory nawet ostatni maruderzy już się rozeszli. Drzwi świątyni były zamknięte. Na parkingu przed kościołem stał już tylko samochód Rainwatera. Odbite od przedniej szyby promienie słońca rzucały oślepiające błyski.

Popękany i wypaczony chodnikiem, oddalając się od nich, szła kobieta, w której Ella rozpoznała swoją dawną nauczycielkę; jedną ręką w rękawiczce trzymała torebkę, w drugiej niosła wielką czarną Biblię. Odkąd Ella ją znała, „panna” Winnie, jak na nią mówiono w szkole, była bezdzietną wdową i co niedziela, bez względu na pogodę, przychodziła do kościoła w tym samym kapeluszu. Może była szczególnie dumna z otaczającego denko pióra. O swoich licznych kotach mówiła tak, jakby to były jej dzieci.

W Elli coś pękło. Żałowała, że nie spotkała dawnej nauczycielki wcześniej, zaprosiłaby ją na niedzielny obiad. A tak panna Winnie niewątpliwie będzie jadła sama i resztę dnia spędzi samotnie, mając do towarzystwa tylko koty.

- Mój mąż nie umarł, proszę pana.

Stał obok niej w milczeniu, obojętny i nieruchomy jak te dęby ocieniające groby. W końcu odwróciła się do niego.

- Nie wiem, dlaczego doktor Kincaid powiedział panu, że jestem wdową. Przypuszczam, że nie chciał mnie stawiać w krepującej sytuacji.

Zerknęła na Solly'ego. Wyglądało na to, że fascynuje go równe rozmieszczenie sztachet w płocie. Przypatrując się im, kiwał się w przód i w tył. Promienie słońca przebiły się przez koronę najbliższego drzewa, oświetlając niektóre kosmyki włosów chłopca tak, że zdawały się niemal przezroczyste. Ella lekko musnęła je czubkiem palca, a on gwałtownie cofnął głowę przed jej dotykiem.

- Prawda jest taka, że mąż porzucił nas sześć lat temu. Kiedy pewnego dnia wyszłam do miasta, spakował się i opuścił dom. Nie mam pojęcia, dokąd się udał. Prawdopodobnie wrócił w rodzinne strony. Albo wyjechał do innego stanu. Nie wiem. Nie zostawił mi listu, nic. Nigdy więcej nie dał znaku życia.

Z powrotem spojrzała na mężczyznę u swojego boku.

- Był pan bardzo miły dla Solly'ego i dla mnie. Sumienie nie pozwala mi pana dłużej okłamywać.

Zanim zdążył się odezwać, szybko wypchnęła Solly'ego za bramę, zamierzając wrócić do domu pieszo.

Ale Rainwater był szybszy, otworzył drzwi samochodu i ruchem ręki zaprosił ją do środka. Zawahała się, nie widziała jednak powodu, by nie skorzystać z propozycji. Wyprawa na cmentarz zabrała jej trochę czasu, a lokatorzy spodziewali się, że punktualnie o drugiej poda obiad.

Usadziła Solly'ego na środku kanapy, wsiadła za nim. Rainwater zamknął za nimi drzwi i obszedł samochód. Usiadł za kierownicą, zapalił silnik, zostawił go na jałowym biegu i przez dłuższą chwilę wyglądał przez okno. W końcu odwrócił głowę. Ella nastawiła się na pytania, których tak się obawiała.

- Jakie ciasta? - zapytał.

- Słucham?

- Mówiła pani, że Margaret upiekła na obiad dwa ciasta. Jakie?

Od sześciu lat znosiła plotki, domysły, insynuacje, bezczelne wścibstwo i współczucie ze strony wszystkich, którzy ją znali. Nowo przybyłym do miasta opisywano ją jako porzuconą przez męża matkę upośledzonego syna. Znosiła upokorzenia i litość z tak wielkim hartem ducha, na jaki tylko mogła się zdobyć.

Rainwater nie naraził jej na takie przykrości.

Wzruszenie ścisnęło jej gardło, lecz wykrztusiła:

- To niespodzianka.

Rozdział dwunasty

- To nie była grypa żołądkowa, prawda?

W kuchni Ella i Margaret marynowały ogórki, obierały melony i łuskały okrę. Praca odbywała się w upale, a w żaden sposób nie dało się jej skrócić. Warzywa i ich skórki należało starannie umyć, pokroić i sparzyć. Trzeba było wygotować kamionki i wieka. Zmieszane z

octem przyprawy pyrkotały na wolnym ogniu, żeby nabrały idealnego smaku.

Cała kuchnia parowała.

Podobnie jak Ella, która poprawiała kosmyki włosów wymykające się z koka. Zerknęła na Margaret. Służąca wlewała chochlą pachnącą koprem gorącą marynatę z octem i przyprawami do słoików wypełnionych ciasno upakowanymi ogórkami. Ella zamierzała udawać głupią albo pleść trzy po trzy w odpowiedzi na pytanie Margaret, ale kiedy lojalna służąca spojrzała na nią, uświadomiła sobie, że fałsz na nic się nie zda.

Margaret wiedziała, a przynajmniej wyczuwała, że Rainwater jest chory, i nie dała się wyprowadzić w pole wyjaśnieniem, które usłyszała w dniu wizyty doktora Kincaida.

- Nie, Margaret. To nie była grypa żołądkowa.

- On mało co je. Z dnia na dzień coraz mniej. Myślałam, że to przez ten upał. - Służąca zakręciła słoik. Wycierając ręce w fartuch, odwróciła się do Elli. - Poważna ta choroba?

- Bardzo poważna.

Ella nie musiała rozwijać tematu, wystarczył ton jej głosu. W oczach Margaret pojawiły się łzy.

- Biedaczyna. Długo mu zostało?

- Nikt tego nie wie.

- Rok?

Ella pokręciła głową.

- Aż tyle to nie.

Margaret zadarła fartuch i otarła ręką łzę z oka.

- Tylko proszę, nie mów o tym nikomu, a zwłaszcza jemu. On sobie nie życzy, żeby ktokolwiek o tym wiedział. Nie chce robić wokół siebie zamieszania. Traktuj go dokładnie tak samo jak dotychczas. Obiecuj.

- Obiecuję - bąknęła Margaret, osuszając oczy. - Ale nie będzie mi łatwo, bo dużo o nim myślę. To prawdziwy dżentelmen, najprzyzwoitszy człowiek, jakiego znam.

- Jeśli masz do niego taki stosunek, to zrobisz mu największą przyjemność, traktując go normalnie. Nie daj po sobie poznać, że o tym wiesz.

- Dobrze, psze pani.

Ella zaczęła kroić ogórki na pikle.

- A pani wiedziała? Zanim musieliśmy wezwać do niego doktora?

- Wiedziałam, zanim się jeszcze wprowadził.

- Poczciwa z pani kobieta.

Ella zastygła z nożem wzniesionym nad deską do krojenia, odwróciła głowę i wyjrzała przez okno nad suszarką do naczyń. Szyba była zaparowana. Patrzyła, jak para zbiera się w opalizującą kropelkę wody, która spłynęła po szkle jak kropla deszczu albo łza.

Po rozmowie z Margaret zaczęła zwracać baczną uwagę na to, czy Rainwater ma apetyt, czy nie. Po każdym posiłku sprawdzała, ile jedzenia zostało na jego talerzu. Pewnego wieczoru, zbierając ze stołu, zapytała, czy klops mu nie smakował.

- Był pyszny, proszę pani. Ale przeceniłem swoje możliwości. Za dużo sobie nałożyłem.

Od tej pory jednak starał się zjadać wszystko do ostatniego kęsa. Podniosło to Ellę na duchu, aż kiedyś znowu zauważyła, jak mało sobie nakładał. Jego porcja kurczaka z kluskami była mniejsza niż to, co naszykowała dla Solly'ego.

Nie powiedziała mu o tym w obecności sióstr Dunne ani pana Hastingsa, rozczarowanego tym, że Rainwater wymówił się od gry w szachy, tłumacząc, że woli poczytać, po czym przeprosił towarzystwo i udał się na górę.

Przed pójściem spać Ella uznała, że powinna do niego zajrzeć. Gdy lokatorzy wracali do siebie, rzadko wchodziła na piętro, bo uważała, że mają prawo do prywatności. Ale wiedząc, że Rainwater cierpiał po cichu przez całą noc i pół dnia, zanim odkryła, w jakim jest stanie, czuła, że ma prawo złamać zasady. Obiecała sobie, że jeśli nie zobaczy światła spod jego drzwi, nie będzie go niepokoić i nikt się nie dowie, że tam była. Jeśli jednak światło będzie się palić, wtedy sprawdzi, czy nic mu nie jest.

Gdy weszła na piętro, od razu zauważyła, że tylko spod jego drzwi prześwieca światło. Jak najciszej, żeby nie zakłócać spokoju lokatorom ani nie zdradzić swojej obecności, przeszła ciemnym korytarzem do jego pokoju i zapukała cicho.

- Tak?

- To ja, proszę pana - szepnęła. - Czy dobrze się pan czuje?

- Tak.

Czekała, czy powie coś więcej. Lecz nie odezwał się już, więc zapytała, czy może wejść.

- Tak.

Otworzyła drzwi. Siedział na skraju łóżka, ale widać było, że jeszcze kilka sekund temu na nim leżał. Na poduszce został odcisk jego głowy i miał potargane włosy. Był ubrany, tyle że zdjął marynarkę i krawat i opuścił szelki. Rozpiął także mankiety. Jego buty stały obok łóżka, był w skarpetkach.

Jego cera wydawała się blada, woskowa, ale może to z powodu ostrego blasku lampki do czytania stojącej na nocnym stoliku. Światło padało tak, że twarz była w głębokim cieniu, więc nie widziała jego oczu.

Weszła do pokoju, zostawiając otwarte drzwi.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

- Ależ skąd.

- Chciałam się poradzić, czy pańskim zdaniem powinnam napisać do jednej z tych szkół specjalnych, które polecał doktor Kincaid.

Przyglądał jej się przez dłuższą chwilę, po czym wstał.

- Nie uwierzyła mi pani.

- Nie rozumiem.

- Nie uwierzyła mi pani, kiedy powiedziałem, że nic mi nie jest.

To dlatego pani tu weszła.

Uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

- Przyznaję, to prawda.

- Jest pani niepoprawną kłamczuchą.

- Wiem.

- Nie ma w tym nic złego, jest pani tak szczerą, że nie potrafi pani ukryć kłamstwa.

Uśmiechnęli się do siebie.

- A pan? - spytała.

- Czy potrafię kłamać?

- Czy dobrze się pan czuje.

- Tak.

Ruchem głowy wskazała książkę, którą trzymał, zaznaczając palcem wskazującym miejsce, gdzie przestał czytać.

- Pan naprawdę położył się wcześniej, żeby poczytać.

- *Pożegnanie z bronią*. Zna ją pani?

- Chętnie bym przeczytała. Ale nie mam czasu na lekturę dla przyjemności.

- Jest znakomita.

- A jak się kończy? Smutno?

- Smutno, ale podobno pięknie. Opowiem pani.

Poczuła się niezręcznie, więc cofnęła się i położyła dłoń na kłame.

- Przepraszam za najście. Zauważyłam, że niewiele pan zjadł na kolację. Chciałam się upewnić, że pan nie... że dobrze pan odpoczywa.

- Doceniam pani troskę, lecz naprawdę czuję się świetnie.

- Wobec tego dobranoc.

- Dobranoc pani.

Zamknęła za sobą drzwi, ale przez pewien czas stała skulona w ciemnym korytarzu, z ręką na klamce, nie mogąc się zdecydować, czy dobrze zrobiła, udając, że nie zauważyła leżących na stoliku nocnym, obok złotych spinek i zegarka, strzykawki i fiolki z lekiem przeciwbólowym.

Następnego dnia rano wciąż gnębiła ją niepewność. Powinna czy nie powinna zawiadomić doktora Kincaida, którego obiecała wezwać, gdy tylko zauważy najmniejsze objawy dyskomfortu jego krewnego. Już miała zadzwonić do lekarza, gdy Rainwater dołączył do sióstr Dunne przy stole.

- Co dziś mamy na śniadanko, drogie panie?

- Naleśniki - poinformowała go panna Violet.

- Moje ulubione.

- Moje też.

Panna Pearl nie zamierzała być gorsza od siostry.

- I jeszcze najpyszniejszy melon kasaba, jaki jadłyśmy w tym roku.

- A więc to dlatego.

- Co „dlatego”, proszę pana?

- Dlatego dziś rano panie tak wyjątkowo promienieją - odparł, żartobliwie puszczając oko. - Melon kasaba!

Zachichotały, a panna Pearl zarzuciła mu, że jest niepoprawnym flirciarzem. Gdy Ella nalewała mu kawę, spojrział jej w oczy.

- Dzień dobry.

- Mam nadzieję, że dobrze pan spał.

- Jak suseł.

A jednak, widząc głębokie cienie pod jego oczami, zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie jest lepszym kłamcą niż ona. Trochę podniósł ją na duchu, bo nałożył sobie całkiem solidną porcję. Kiedy zjadł, wziął pudełko domina oraz talię kart i wyszedł z Sollym na werandę przed domem. Spędzili tam godzinę. Potem odprowadził chłopca do matki i uśmiechnął się do niego.

- Brawo, Solly.

- Czy zrobił coś niezwykłego?

- Wszystko, co robi pani syn, jest niezwykłe.

- To prawda - przyznała, a po chwili dodała: - To, o co pana pytałam w nocy, to nie był tylko wybieg, żeby sprawdzić, jak pan się czuje.

- O te szkoły specjalne?

- Może powinnam do nich napisać i poprosić o programy nauczania?

- To chyba nie zaszkodzi.

- Pewnie nie, chociaż nie sądzę, żebym się kiedyś przemogła i wysłała Solly'ego gdzieś daleko.

- Nie podejmie pani przemyślanej decyzji, dopóki nie dowie się pani czegoś więcej. Murdy sam przyznał, że niewiele wie o dzieciach takich jak Solly. A te szkoły może udzielą pani wyjaśnień i wskazówek.

Zdecydowała się.

- Zwrócę się do nich o informacje.

- Świetnie. - Wyraźnie zadowolony z jej postanowienia, przeprosił ją i ruszył głównym korytarzem do schodów.

Był już w pół drogi na piętro, gdy zawołała za nim:

- Może panu coś przynieść?!

Zatrzymał się i odwrócił.

- Na przykład co?

- Mrożoną herbatę?

- Nie, dziękuję.

- Na werandzie było okropnie gorąco.

- Nie chce mi się pić.

Wszedł o kilka stopni, ale - jej zdaniem - wolniej.

- Na pewno dobrze się pan czuje? Wygląda pan...

Określił się na pięcie.

- Niczego mi nie trzeba!

Po raz pierwszy w jej obecności podniósł głos, po raz pierwszy się zdenerwował, czym tak ją zaskoczył, że przez chwilę nie wiedziała, co odpowiedzieć czy zrobić. Wzięła więc Solly'ego za rękę, zaprowadziła go do kuchni i puściła wahadłowe drzwi, które zamknęły się za nimi.

Po lunchu postanowiła, że przejdą się z Sollym do miasta. Bo, po pierwsze, przydałoby im się trochę ruchu, a po drugie, uważała, że jakiś czas z dala od domu obojgu im dobrze zrobi.

Słońce paliło bezlitośnie. Zanim dotarli do sklepu, przepocona sukienka kleiła jej się do ciała. W środku było względnie chłodno i

przyjemnie, a ponieważ Solly z radością obserwował wirujące płyty wentylatora na suficie, bez pośpiechu krążyła między półkami, sprawdzając listę zakupów. Ale i tak skończyła za wcześnie.

- Czy to już wszystko na dzisiaj, proszę pani? - spytał właściciel.

- Tak, panie Randall, dziękuję. Chwileczkę, poproszę jeszcze dwie butelki zimnego doktora peppera.

Sprzedawca zerknął na Solly'ego, który stał u boku matki, kiwając głową.

- Się robi. Mam je pani otworzyć?

- Bardzo proszę.

Nagle zobaczyła, jak z prawej strony wysuwa się wielka łapa i rzuca na ladę dwie pięciocentówki.

- Ja stawiam.

Ella odwróciła się i ujrzała przed sobą Conrada Ellisa. Lubieżny wzrok szpecił go jeszcze bardziej niż nieszczęsne znamię na twarzy.

- Kopę lat, Ello.

- Witaj, Conradzie.

Otaksował ją spojrzeniem tak obraźliwym, że ciarki jej przeszły po plecach.

- Dobrze się trzymasz. Dbasz o formę. - Nic nie odpowiedziała, więc widząc jej wyraźne skrepowanie, jeszcze bardziej wyszczerzył zęby w uśmiechu. Odwrócił się do Randalla. - Za peppera ja płacę.

- Dziękuję, Conradzie, ale pan Randall zechce doliczyć je do mojego rachunku - powiedziała cierpko.

Conrad nachylił się nad ladą i walnął sprzedawcę w rękę.

- Panie Randall, chyba mogę kupić u pana napoje gazowane, co?
Sprzedawca posłał Elli blady uśmiech.

- Już panią podliczyłem. - Nie zamknął rachunku, ale, jak widać, chciał uniknąć sprzeczki z Conradem. Zgarnął z lady pięciocentówki, a potem odwrócił się szybko i wyjął dwa napoje z metalowej skrzyni. Otrząsnął butelki z lodu, pośpiesznie zerwał z nich kapsle i postawił je na ladzie. - Dziękuję za zakupy. Każę spakować pani sprawunki i zaraz je pani wyślę przez syna Margaret.

- Dziękuję.

Obrzucił Conrada krzywym spojrzeniem i zniknął w składziku.

Ella, nie zwracając uwagi na zwałistą postać Ellisa, wzięła Sollygo za rękę i ruszyła do wyjścia. Cieszyła się, że poza nimi w sklepie nie ma nikogo, bo nie chciała, żeby ktoś był świadkiem tego spotkania. Z drugiej strony, gdy pan Randall zrejterował, została z Conradem sam na sam i czuła się niezręcznie, a nawet trochę się bała.

- Hej, zapomniałaś swoich napojów! - rzucił, kiedy go mijiała.

- Odechciało mi się.

- Daj spokój, Ello. Nie bądź taka. - Wziął ją pod rękę, ale wyrwała mu się natychmiast. Parsknął śmiechem - Co cię ubodło? Nie masz czasu pogadać ze starym przyjacielem?

- Nie dziś. Muszę wracać do domu.

- Wciąż gotujesz i sprzątasz dla innych?

- Prowadzę interes.

- To tak się dziś nazywa ścielenie łóżek i zamiatanie podłóg? Prowadzeniem interesu? - Prychnął drwiąco. - Jesteś na to za dobra. Nigdy nie tęsknisz za lepszym życiem?

- Nie.

- Akurat! - wycedził.

Próbowała go ominąć, lecz szybko zrobił krok w bok i zagroził jej drogę.

- Przepuść mnie.

- Ten twój żaloszny mężulek dał kiedyś znak życia?

Znow spróbowała się przecisnąć obok niego, ale był za szybki, zwłaszcza że ciągnęła za sobą syna.

- Wziął i dał nogę, no nie? Przez tego twojego chłopaka. Jak nie nie mógł znieść, że jego syn jest miejscowym głupkiem.

Ella kipiała z wściekłości. Conrad zgiął się w pasie tak, że miał głowę na równi z głową Solly'ego, który patrzył przez niego na przestrzał.

- A tak w ogóle, to co mu jest? - Pomachał ręką przed twarzą chłopca i rzucił falsetem: - Juhu! Słyszysz mnie kto?

- Dość tego! - Ella usiłowała odepchnąć Conrada, ale równie dobrze mogłaby próbować przesunąć wagon. Jedną ręką złapał jej dłoń i przycisnął do swojej piersi. Szamotała się, lecz zgniół jej palce. - Puszczaj!

Skwitował rechotem jej daremne próby.

- Zawsze byłaś pyskata. To lubię! Nawet ucieczka męża cię nie złamała, co? Szkoda tylko tego twojego dzieciaka. Dopiero jak go

teraz zobaczyłem z bliska, widzę, że nie należy wierzyć we wszystko, co się słyszy. Powiadają, że on się ś... ś... ślini i do tej pory s... s... sra w gacie.

- Powinien pan coś zrobić z tym jękaniem, panie Ellis.

Rainwater pchnął siatkowe drzwi i wszedł do sklepu. Na jego widok Ella niemal nie krzyknęła z ulgi. Conrad puścił jej rękę i obrócił się, żeby zobaczyć, kto mu wszedł w paradę.

- Uszanowanie pani. - Rainwater uchylił kapelusza, podszedł i zręcznie wpasował się między nią a Conrada.

Spojrzeli sobie w oczy. Z trudem opanowała oddech.

- Pan Rainwater.

- Margaret powiedziała mi, że wybrała się pani do miasta. Miałem tu coś do załatwienia, więc pomyślałem, że zajrzę i odwiozę panią i Solly'ego do domu.

- Dziękuję. To bardzo miło z pańskiej strony.

Wyciągnął rękę i zamaszystym gestem zaprosił ją do wyjścia, z dala od Conrada. Ale ten nie zamierzał dać się tak łatwo zbyć. Złapał Rainwatera za ramię i odwrócił go twarzą do siebie.

- Hej, słyszałem o panu.

- Ja o panu również.

- I wcale mi się nie spodobało to, co do mnie dotarło.

Rainwater uśmiechnął się uprzejmie.

- A więc mamy ze sobą coś wspólnego.

Przetrawienie jego słów zajęło Conradowi kilka sekund. Zmrużył wredne oczy w szparki, a jego znamię pociemniało z gniewu.

- Pan jesteś tym nowym lokatorem Elli.

- Owszem, wynajmuję u niej pokój.

Conrad zarechotał.

- A co jeszcze pan tam robisz, he? - zapytał chytrze.

Rainwater milczał, lecz Ella zauważyła znajome zaciskanie szczęk. Conrad był od niego przynajmniej o dwadzieścia pięć kilogramów cięższy, ale w najmniejszym stopniu nie udało mu się go zastraszyć.

- Proszę się odsunąć, panie Ellis. Chcemy wyjść.

Conrad uniósł ręce, jakby się poddawał.

- Jasne, nie ma sprawy. Ja tylko chciałem postawić Elli i temu jej kretynkowi coś do picia. Chciałem jej sprawić przyjemność, tak po prostu. - Łypnął na nich znacząco. - Wiesz pan, co ja myślę? Tak se myślę, że to pan jesteś od sprawiania jej przyjemności. Noc w noc? Jak już w tej jej wielkiej chałupie gasną wszystkie światła? - Lubieżnie puścił oko do Elli.

Rainwater popchnął ją delikatnie w kierunku drzwi. Czując jego dotyk na plecach, był tak silny, że poczuła ulgę. Przesunęła Solly'ego do przodu i nakierowywała go przed sobą do wyjścia. Byli już niemal za drzwiami, kiedy Conrad znów zacisnął rękę na ramieniu Rainwatera.

- Myślisz pan, że jako krewniak doktora Kincaida możesz pan wtykać nos w nie swoje sprawy? Takiego wała! My tu nie lubimy wścibskich obcych. Dotarło? Jak chcesz pan knuć, intrygować i

podburzać czarnuchów i hołotę, to znajdź pan se inne miejsce, żebym nie musiał panu złożyć tyłka.

Rozdział trzynasty

W drodze do samochodu milczeli, ale gdy tylko wsiedli, Rainwater zauważył:

- Ucieszyłby się, wiedząc, że panią zdenerwował.
- Wcale się nie zdenerwowałam.
- Pani się cała trzęsie.

Ella spojrzała na swoje dłonie i uświadomiła sobie, że Rainwater ma rację. Splotła ręce na podolku, żeby powstrzymać ich drzenie.

Solly zaczął wrzeszczeć.

Ni stąd, ni zowąd nabrał gwałtownych obiekcji do swoich butów. Gdy w końcu Elli udało się unieruchomić jego stopy, zobaczyła, że czubek jednego buta jest zadrapany. Rysa była ledwo widoczna, ale Ella pilnowała, żeby zawsze miał buty wypastowane na wysoki połysk, wystarczyło zatem małe odstępstwo, żeby wywołać u niego atak szału. Wierzgał, kopał i wymachiwał rękami, przez cały czas wydając przeraźliwy pisk.

Zdjęła mu buty. Przestał krzyczeć, lecz kiwał się w przód i w tył tak energicznie, że walił głową w oparcie siedzenia. Ale najwyraźniej to mu nie wadziło. Wręcz przeciwnie - zdawało się, że go uspokaja, wobec tego Ella nie próbowała go powstrzymać.

Gdy kryzys minął, Rainwater zapytał ją uprzejmie, czy chce jeszcze gdzieś wstąpić. Stanowczo odparła, że nie. Pragnęła jedynie wrócić do domu i wziąć się do swoich zwykłych prac domowych, żeby jak najszybciej zapomnieć o Conradzie i jego wstrętnych, nienawistnych zaczepkach.

Ani napad szalu Sollyego, ani scysja w sklepie najwyraźniej nie zrobiły na Rainwaterze najmniejszego wrażenia. Jadąc przez miasto, pewnie trzymał ręce na kierownicy i drążku zmiany biegów. Po drodze uchylał nawet kapelusza kilku mijanym przechodniom. Ella wolałaby, żeby tego nie robił. Czuła, że siedząc w jego samochodzie, rzuca się w oczy. Każdy, kto by zobaczył ją i Solly'ego razem z Rainwaterem, mógłby uwiarygodnić plotki, że pod jej dachem dzieje się coś niemoralnego.

Jeśli się nie myliła, poza Conradem nikt nic takiego nie sugerował, a jego słów nie można było brać na serio, ale niedobrze jej się robiło na samą myśl, że ona i jej lokator są obiektem sprośnych domysłów.

- On nie jest wart tego, żeby się nim przejmować - powiedział spokojnie Rainwater.

- Te jego ataki są coraz gorsze. Wcale nie słabną, wręcz przeciwnie.

- Nie Solly. Conrad Ellis.

- Nie zgadzam się. Należy się nim przejmować, i to bardzo.

Gdyby pan słyszał te paskudztwa, jakie wygadywał o Sollym...

- Słyszałem od progu. Ten człowiek to łobuz i skończony dureń. Jeżeli pozwoli pani mu się wyprowadzić z równowagi, zdenerwować, to da mu pani dokładnie to, o co mu chodzi. Powinna go pani ignorować, to dla pani najlepsza linia obrony.

- Tak jak pan. - Powiedziała to ostro, jakby z naganą.

Spojrzał na nią, ale odpowiedział z właściwym sobie spokojem.

- Nie mogłem puścić mimo uszu tego, co powiedział. Po prostu nie dałem się z tego powodu wciągnąć w kłótnię, bo jemu właśnie o to chodziło. Gdybym go zwymyślał za sugestie na nasz temat, dałbym mu pretekst, żeby mi przyłożył.

- Rozerwałby pana na strzępy.

Uśmiechnął się.

- Tak. W walce wręcz z całą pewnością bym przegrał. Ale się na mnie nie rzucił, prawda?

Pomyślała o stalowej niezłomności, jaką ujrzała w jego oczach, gdy popatrzył na Conrada. Najwyraźniej tamten też ją zobaczył. Puścił ramię Rainwatera, a nawet cofnął się o krok. Był z natury agresywny, a rodzice wychowali go w poczuciu, że jest kimś lepszym i że wszystko mu wolno. Nie przypominała sobie, żeby choć raz zrezygnował z okazji do bitki.

Czyżby wystraszył się tego, co zobaczył w oczach Rainwatera? Może determinację człowieka, który nie ma nic do stracenia i niczego się nie boi? Tak czy owak, mimo swej brutalnej siły i agresywności Conrad podkulił ogon i zrejterował.

Kiedy Rainwater zaparkował przed domem, czym prędzej wysiadła i wyciągnęła Solly'ego. Nie chciała, żeby Rainwater obszedł samochód i otworzył jej drzwi albo zrobił coś równie szarmanckiego, co mogłoby uzasadnić pogłoski o romansie.

Weszła do domu od frontu i nie zwalniając, miarowym krokiem wmaszerowała do kuchni. Margaret i jej syn Jimmy wypakowywali zakupy, które chłopak przyniósł ze sklepu. Na jej widok służąca oparła pięść na wydatnym biodrze, a drugą ręką walnęła Jimmy'ego w tył głowy.

- Już ja mu natarłam uszu za to, że zostawił panią w sklepie sam na sam z tą białą hołotą. A po pani zaczerwienionej twarzy widzę, że stało się coś złego.

- Nic nam się nie stało, Margaret.

- No to cud od Boga - burknęła nabzdyczona służąca. - Ten Ellis był podły od urodzenia, a zrobił się jeszcze gorszy, jak musiał z pani zrezygnować. Nigdy się nie pogodził z tym, że dała mu pani kosza.

Ella odwróciła się, słysząc za sobą jakiś ruch. Do kuchni wszedł Rainwater, z butami Solly'ego w rękę. Obrzucił dziwnym spojrzeniem obie kobiety i zatrzymał wzrok na Elli.

- Zostawiła je pani w samochodzie.

Wyrwała mu buty z ręki.

- Dziękuję panu.

Przyjrzał jej się bacznie, ale się odwróciła.

- To mój syn Jimmy - powiedziała Margaret. - Jimmy, to jest pan Rainwater.

Obaj skinęli sobie głowami na powitanie, po czym chłopak pierzchnął tylnymi drzwiami, wyraźnie zadowolony, że umknął przed gniewem matki.

- Margaret, czy gdybym własnoręcznie zebrał brzoskwinie, dasz się przekupić i upieczesz placek na deser po kolacji? - zapytał Rainwater.

- A niech to! Nie trzeba mnie przekupywać. Dla pana chętnie upiekę.

Zerwał dojrzałe brzoskwinie z drzewa w południowo-zachodnim rogu ogrodu, a Margaret upiekła placek owocowy. Ale Rainwater go nie skosztował, wyszedł przed deserem.

Podczas kolacji zadzwonił telefon. Ella podniosła słuchawkę.

- Ella? Tu Ollie. Możesz poprosić Davida?

A więc teraz to już był „David”. Czując, że sprawa jest ważna, spytała, czy stało się coś złego.

- Jeśli jest w domu, daj go do telefonu, proszę.

- Zaczekaj. - Zdumiona i poważnie zaniepokojona jego tonem, wróciła do jadalni, gdzie lokatorzy spożywali właśnie główne danie.

- Telefon do pana Rainwatera.

Wstał natychmiast i rzucił serwetkę obok talerza. Przeprosił pozostałych, minął Ellę i korytarzem przeszedł szybko do stolika pod schodami, na którym stał telefon i puszka na opłaty za czynsz.

- Kto dzwoni? - rzucił do Elli przez ramię.

- Ollie Thompson.

Obejrzał się na nią, podnosząc słuchawkę i podstawę telefonu.

- Ollie?

Wydawało się, że słucha przez całą wieczność, chociaż minęło ledwie kilka sekund.

- Zaraz będę - rzucił do słuchawki i natychmiast się rozłączył.

Powiesił słuchawkę na widełkach i odstawił telefon na stolik. Znowu przecisnął się obok Elli i ruszył do wyjścia.

- O co chodzi? Dokąd pan się wybiera? Co się dzieje?

- Opowiem pani po powrocie.

Wychodząc, zerwał kapelusz z wieszaka w korytarzu. Nie obejrzał się.

Czas włókł się niemiłosiernie.

Kiedy wróciła do jadalni bez niego, siostry Dunne były całe rozdygotane.

- Czy coś się stało? - zapytała panna Violet.

- Pan Rainwater został wezwany do przyjaciela. Jesteście państwo gotowi na placek owocowy ze śmietaną?

Udawała tylko, że jest spokojna, ale zdołała rozwiać niepokój sióstr.

- Cały on, prawda? On razu pobiegł na pomoc przyjacielowi - powiedziała panna Pearl. - Nawet nie dokończył kolacji. To bardzo miły młody człowiek.

- I mądry - dorzucił pan Hastings, częstując się następną kolbą kukurydzy. - Zna moje kolejne ruchy w szachach, zanim jeszcze je zrobię. Poproszę o masło, panno Pearl.

Zaraz po kolacji Ella zostawiła sprzątanie na głowie Margaret i zabrała Sollyego do jego pokoju. Popołudniowy atak w samochodzie najwyraźniej pozbawił go energii. Potulnie zniósł mycie gąbką i wkładanie pizamy, chociaż normalnie wierzgałby rękami i nogami.

Z ulgą przekonała się, że również lokatorzy wcześniej udali się do siebie. W bliźniaczych salonikach było pusto i ciemno, kiedy wróciła do kuchni, gdzie Margaret obwiązywała palec wskazujący szmatą.

- No nie! Co ci się stało?

- Zacięłam się tym starym nożem rzeźnickim.

- Wciąż krwawi. Chyba doktor Kincaid powinien rzucić na to okiem.

- E tam, starczy trochę oleju węglowego i będzie dobrze. W domu zabandażuję palec.

- To zmykaj już.

- Statki jeszcze nie pozmywane.

- Nie możesz zmywać ani wycierać naczyń z krwawiącym palcem.

Margaret zaczęła protestować, ale Ella usilnie prosiła ją, żeby poszła do domu i zajęła się skaleczeniem. W końcu służąca posłuchała, przepraszając, że zostawia jej na głowie tyle pracy.

Jednak Elli nie przeszkadzało, że zostanie sama. Miała za sobą wyczerpujący dzień i nie chciała odpowiadać na pytania Margaret dotyczące utarczki z Conradem oraz tajemniczego telefonu do Rainwatera, po którym tak nagle wyszedł z domu.

Zjadła kolację samotnie, przy kuchennym stole, ale z nerwów straciła apetyt. Nie znając powodu alarmującego telefonu Olliego Thompsona, zamartwiała się na śmierć. Zegar w kuchni wskazywał, że Rainwatera nie było od ponad dwóch godzin. Gdzie on jest, dokąd się wybrał i czy nie grozi mu niebezpieczeństwo?

Zmywając naczynia, usłyszała jego samochód nadjeżdżający ulicą. Szybko wytarła ręce, przebiegła głównym korytarzem i odsunęła rygiel siatkowych drzwi w chwili, kiedy stanął przed nimi.

Wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi i zaryglował, a potem zgasił światła na werandzie i w korytarzu. Wyczuwając jego napięcie, Ella stała bez ruchu i nie odzywała się, gdy on wyglądał za ogród, na ulicę.

Kilka minut później wyraźnie się odprężył. Napięcie opadło, zdjął kapelusz, powiesił go na wieszaku w korytarzu i odwrócił się do niej.

- Czy zostało trochę placka? - zapytał ściszym głosem.

Zaprowadziła go do kuchni. Mijając schody, uświadomiła sobie, że idzie na palcach. Nie rozmawiali, dopóki nie zamknęły się za nimi drzwi kuchni.

- Zostało mnóstwo jedzenia. Naszykuję panu.

Pokręcił głową.

- Poproszę tylko placek. Skoro Margaret zadała sobie trudu i go upiekła, powinienem przynajmniej skosztować. Myślałem, że ją jeszcze zastanę.

Powiedziała mu, że służąca skaleczyła się w palec.

- Wysłałam ją do domu. Kawy?

- O tak. - A po chwili wahania zapytał: - Przypuszczam, że nie ma pani gdzieś ukrytej butelki...

Zaprzeciżyła ruchem głowy.

- Wobec tego tylko czarną kawę.

Podawała mu dzbanek kawy i talerzyk z plackiem suto polanym śmietaną, po czym usiadła naprzeciwko przy stole.

- Gdzie pan był? Po co dzwonił Ollie?

- Nie było tak źle, jak się zapowiadało.

- Co się stało?

- Napadli na jego dom. Kiedy do mnie dzwonił, otaczało go kilka pojazdów. Głównie półciężarówki. Nic nie widział, tylko reflektory. Jeździli wokół domu, szybko i niebezpiecznie, ścinając słupki ogrodzenia i od sznura Loli do wieszania bielizny. Któryś z nich wjechał w zagrodę dla świni i rozwalił jedną ścianę. Wieprzek uciekł i wciąż go nie ma.

- Co to byli za ludzie?

- Chyba łatwo się domyślić.

- Conrad?

Podmuchał na kawę i upił łyk.

- Sądzę, że to było ostrzeżenie. Dla Olliego, dla mnie i pozostałych. Widocznie dowiedzieli się o naszej organizacji i odkryli jej cel.

- Albo...

Przerwała, więc spojrzał na nią.

- Albo?

- To był odwet za nasze dzisiejsze spotkanie w sklepie.

Pokręcił głową, bagatelizując jej niepokój.

- To nie miało z panią nic wspólnego. Ostatnio pewne oznaki wskazywały, że szykują coś przeciwko nam. W tym tygodniu do kilku farmerów dzwoniło z wiadomością, że agenci skupu bydła przyjadą ocenić ich stada. Podano im dzień i godzinę. Wiadomość rozeszła się dalej, tak jak zaplanowaliśmy. Zbieraliśmy się w tych miejscach, ale kupcy ani razu się nie pojawili.

- Te telefony były dla zamydlenia oczu.

- Ale odniosły skutek. - Znow upił łyk kawy. - Bo teraz każdy, kto się dowie, że rząd chce z nim ubić interes, nie będzie pewny, czy to prawda, czy tylko fałszywy alarm.

- A nie można zadzwonić do władz i potwierdzić te informacje?

- Próbowaliśmy, ale żadna biurokracja nie grzeszy szybkością, zwłaszcza taka, która rozdziela wielkie sumy z kasy Wuja Sama. Zanim się dowiedzieliśmy, że to fałszywy alarm, ludzie stracili wiele godzin. Moim zdaniem Conrad Ellis i jego kumple liczą na to, że się zmęczymy. Myślą, że wkrótce będziemy mieli dość rzucania rodzin i naszych interesów na zawołanie i zrezygnujemy z planu sąsiedzkiej samoobrony.

- A dojdzie do tego?

- Nie. - Zebrał łyżeczką resztki śmietany i odsunął pusty talerzyk.

- Jeżeli czyjaś determinacja osłabła, to po tym, co te łotry zrobiły dziś wieczorem, tylko się wzmocniła. Kiedy tam dotarłem, półciężarówki

wciąż krążyły wokół domu. Ciskali butelkami. Słyszałem, jak dzieci Olliego krzyczą ze strachu. Jak mówiłem, nie było tak źle, jak się zapowiadało, ale niech pani to wytłumaczy przerażonym dzieciom.

- Pewnie umierały ze strachu.

- I właśnie o to tamtym chodziło. Ale nasz system łączności się sprawdził. Zjechali się rozwścieczeni mężczyźni. Kiedy zbiry Conrada zobaczyły, że wkrótce będzie nas więcej niż ich, zwały na pastwisko. Kilka osób z naszej grupy pojechało za nimi, ale kompani Conrada zgasili reflektory, więc ściganie ich było zbyt niebezpieczne. Uciekli. Czy jest jeszcze trochę kawy?

Wstał, podszedł do pieca i wrócił ze świeżo napełnionym kubkiem.

- A co z Lolą i dziećmi? Nic im się nie stało?

- Dzięki Bogu, nic. Byli tylko śmiertelnie wystraszeni. Przyjechał teść Olliego i zabrał Lolę i dzieci. Błagała męża, żeby z nimi pojechał, ale został. Bał się, że tamci mogą wrócić i podpalić stodołę. Albo coś innego. Dwaj mężczyźni na ochotnika zaproponowali, że z nim zostaną. Szlachetny gest, tyle że dziś w nocy ich domy i rodziny zostały bez ochrony.

- Kiedy to się skończy? I jak?

- Nie wiem - odparł szczerze, patrząc jej prosto w oczy. - Obawiam się jednak, że zanim sytuacja się poprawi, będzie jeszcze gorzej.

Ona też się obawiała, ale nie chciała się do tego przyznać, nawet przed sobą.

- Dlaczego pan tak sądzi?

- Nastąpił wyraźny podział na dwie zwaśnione strony. W takiej sytuacji ludzie łatwo tracą głowę. Zwłaszcza jeżeli urząd powołany do pilnowania porządku publicznego jest bierny, nieudolny albo jawnie skorumpowany.

Wstała od stołu i podeszła do zlewu. Woda do zmywania naczyń wystygła. Wypuściła ją, napełniła zlew gorącą wodą, a potem zakręciła kurek, zacisnęła dłonie na skraju suszarki i oparła się o nią.

Rainwater przyniósł talerzyk po deserze i kubek po kawie, dodał je do sterty naczyń do umycia, a potem włożył ręce do kieszeni spodni. Czując jego wzrok na policzku, Ella odwróciła się do niego.

- Boję się - wyznała.

- Wiem. Przykro mi.

- To nie pańska wina.

- Moja. Próbowała mnie pani przekonać, żebym się w to nie mieszał. Powiedziała pani...

- Doskonale pamiętam, co powiedziałam. Ale moja kłótnia z Conradem nie zaczęła się od pana ani od tej sytuacji. Ja zawsze się go bałam.

Świdrował ją wzrokiem tak długo, aż w końcu nie mogła tego znieść. Odwróciła się do zlewu i zaczęła zmywać naczynia zanurzone w wodzie z mydlinami.

- Uganiał się za mną w szkole średniej. Matka była zachwycona, liczyła na to, że zostaniemy parą. Conrad był najbogatszym chłopcem w okolicy. Widziała w nim idealnego męża. Ale ja nie.

W drugiej komorze zlewu spłukała umyte naczynia. Kątem oka zobaczyła, że Rainwater ściąga marynarkę i wiesza na oparciu krzesła. Przerwała zmywanie i patrzyła, jak rozpina spinki i zakasuje rękawy koszuli. Potem wziął ścierkę i sięgnął po opłukany talerz.

Wyciągnęła rękę.

- Proszę tego nie robić.

Delikatnie odsunął jej dłoń.

- Proszę się zająć zmywaniem.

Gdyby miała z nim dyskutować, musiałaby przyznać, że ta prozaiczna czynność nabrała tak intymnego charakteru, że ogarnęła ją panika. Lepiej więc udawać obojętność, której bynajmniej nie czuła. A zresztą czy jest coś złego w wycieraniu naczyń, bo do tego się to przecież sprowadzało?

- Zamożność Ellisów nie zawróciła pani w głowie? - zapytał.

Wróciła do zmywania naczyń.

- Ani trochę. Znam Conrada od podstawówki. Siał postrach w klasie, ale wszystkie wybryki uchodziły mu na sucho. Był rozpuszczony i podły. Wątpię, żeby rodzice kiedykolwiek mu czegoś odmówili. Rozpieszczali go, dawali mu wszystko, czego chciał.

- A on chciał pani.

Z zażenowaniem wzruszyła ramionami.

- Okazywał to na wszelkie możliwe sposoby. Za namową mamy poszłam z nim kilka razy na tańce i zabawę. Na każdym przyjęciu udawało mu się krążyć wokół mnie i na swój bezczelny sposób dawał wszystkim do zrozumienia, że jesteśmy parą. Ale ja go nie lubiłam i

kiedy zostawaliśmy sam na sam, zawsze byłam skrepowana. Myślę, że zdawał sobie z tego sprawę i napawał się moim zakłopotaniem.

- Wciąż sprawia mu to przyjemność.

- Nie wątpię - mruknęła. - Tak czy inaczej, kiedy jego zaloty nie przyniosły skutku, postarał się oczarować moją matkę i oficjalnie poprosił o moją rękę. A ona była zaślepiona, widziała tylko dolary. Margaret nie dała się zwieść. Usiłowała ją przekonać, żeby przejrzała na oczy i zobaczyła, jaki jest naprawdę, ale matka nie chciała słuchać. Kiedy odrzuciłam jego oświadczenia, powiedziała mi, że jestem głupia i że pożałuję swojej decyzji.

Opłukała półmisek na mięso i podała go Rainwaterowi. Widząc nieme pytanie w jego oczach, dodała:

- Żałuję tylko, że matka mi tego nie wybaczyła nawet w chwili śmierci. Oświadczyła, że pozbawiłam ją jedynej rzeczy, dzięki której znów mogłaby być szczęśliwa. Umarła obrażona na mnie i rozczarowana.

Zaniósł stos czystych talerzy do kredensu i postawił je na półce.

- A kiedy wyszła pani za męża?

- Krótco po śmierci matki. Przejęłam prowadzenie pensjonatu. Wywiesiłam ogłoszenie na stacji kolejowej. A on pracował na kolei. Zobaczył ogłoszenie i przyszedł obejrzyć pokój. Ale go nie wynajął.

Rainwater przemyślał to sobie.

- Zobaczył tu coś, co spodobało mu się bardziej niż pokój - powiedział.

- Gdyby zamieszkał w pensjonacie, nie mógłby się do mnie zalecać.

- A zalecał się?

- I to bardzo skutecznie. Był wygadany i uprzejmy. Ujęły mnie jego maniery, tak się różnił od butnego i agresywnego Conrada. Ale oboje złożyliśmy śluby, których nie potrafiliśmy dotrzymać - dodała cicho.

Dalej już pracowali w milczeniu, dopóki ostatnia patelnia nie została wytarta i odstawiona na miejsce. Rainwater powiesił mokrą ścierkę nad blatem. Ella wypuściła wodę z obu komór zlewu. On odwinął rękawy koszuli i zapiął spinki. Ona zdjęła fartuch i powiesiła go na kołku. On wziął marynarkę i przewiesił ją sobie przez ramię.

A potem stanęli bez ruchu.

- Długi dzień - rzucił.

- Tak. Wyczerpujący.

- Jak większość pani dni.

- Zmęczenie to dla mnie nie nowina.

Unikając jego wzroku, pochyliła się nad stołem i przestawiła solniczkę i młynek do pieprzu na sam środek. Solniczka przewróciła się, więc ją podniosła. Teraz nie wiedziała, co począć z rękami, więc na chwilę splotła je na brzuchu, a potem opuściła.

- Ello?

Wpatrywała się w ceratę w kwiatowy wzorek na stole. Wysypały się na nią kryształki soli, ale rozmyły się w wirze niebieskiego powoju i czerwonych pelargonii, tak że prawie nie było

ich widać. W normalnej sytuacji zgarnęłaby je na dłoń. Teraz jednak bała się poruszyć.

- Ello.

Słyszając, jak zwraca się do niej po imieniu, wstrzymała oddech. Zamknęła oczy, powoli wypuściła powietrze z płuc, po czym uniosła głowę i spojrzała na niego.

- Winien ci jestem przeprosiny za to, że rano byłem wobec ciebie tak opryskliwy.

Rano. Wydawało się, że od tej pory minęły wieki. Dopiero po dłuższej chwili przypomniała sobie szorstkie słowa, które miał na myśli: „Niczego mi nie trzeba!”, rzucone w gniewie ze schodów.

- Nie ma o czym mówić.

- Byłem porywczy i niegrzeczny. Przepraszam.

- Narzucałam się panu.

- Pytając o moje zdrowie, kierowała się pani prawdziwą troską.

Właśnie dlatego wpadłem w gniew.

Lekko pokręciła głową na znak, że nic nie rozumie.

- Dlaczego moja troska pana rozgniewała?

Jego wzrok stał się jeszcze bardziej przeszywający.

- Ponieważ nie poznam już tak pięknej kobiety jak pani. Nie chcę, żeby patrząc na mnie, widziała pani inwalidę.

Rozdział czternasty

Ella spędziła niespokojną noc.

Rainwater nie zszedł na śniadanie. Za pośrednictwem Margaret, która zbierała na piętrze rzeczy do prania, dał znać, że prosi jedynie o kawę. Ella wysłała służącą, żeby zaniósła mu tacę do pokoju, a kiedy ta wróciła, oczekiwała od niej sprawozdania na temat stanu zdrowia lokatora. Margaret jednak nie puściła pary z ust, dopóki Ella jej nie spytała.

- Na moje oko nic mu nie dolega.

Ella nie dopytywała się o szczegóły. Powstrzymała się też i nie zajrzała na górę, żeby przekonać się na własne oczy. Poprzedniego dnia tak go nagabywała pytaniami, że w końcu stracił cierpliwość. Nie zamierzała powtórzyć tego błędu, bo nie chciała go złościć. Nie życzyła sobie też kolejnych uwag na temat tego, jaka jest piękna, skoro wcale piękna nie była, ani tego, że on nie chce, żeby widziała w nim inwalidę. Niestosowność tak intymnego dialogu wprawiała ją w zakłopotanie.

Poza tym ani jej aparycja, ani to, jak go postrzega, nie miało żadnego znaczenia w ich konkretnej sytuacji, polegającej na tym, że był lokatorem w jej pensjonacie. Wyłącznie lokatorem i nikim więcej. Mimo to miała nadzieję, że jeśli ból stanie się nie do zniesienia, nie będzie się zasłaniał męską dumą i da jej znać.

Po lunchu spadł lekki deszcz i w rezultacie wszystkie gorące powierzchnie zaczęły parować - dachy, samochody, tory kolejowe.

Wilgotność powietrza jeszcze bardziej wzrosła. Letni prysznic stanowił jednak atrakcję, rzadki i cudowny dar losu, którym Ella chciała się napawać, więc wyszła z torbą fasoli szparagowej na werandę. Usiadła w fotelu bujanym i położyła fasolę oraz ceramiczną miskę na kolanach. Solly usiadł obok niej na podłodze, z torbą szpul po niciach i pudełkiem domina.

Było to bezmyślne zajęcie - odrywanie końca strąka, zdzieranie włókna, a potem przełamywanie strączka na dwie albo trzy części i wrzucanie do miski. Ugotuje tę fasolkę jutro. Może doda do niej trochę młodych ziemniaków, w mundurkach. Byłby to dobry dodatek do pieczonej szynki.

Wróciła myślami od jadłospisu na następny dzień do wczorajszej nerwowej scysji z Conradem i zagrożenia, jakie spowodował ubiegłego wieczoru na farmie Thompsonów, a wreszcie do nocnego interludium w kuchni, gdzie omal nie potłukła zmywanych naczyń, obserwując dłonie Rainwatera, kiedy je wycierał.

Powiedział: „Ello”. Dwa razy.

Zignorowała to, że zwrócił się do niej po imieniu, ponieważ było to niestosowne, gdyby zaś zrobiła z tego problem i zwróciła mu uwagę, sprowokowałyby dalszą dyskusję na ten temat, na co absolutnie nie miała ochoty. Kiedy jednak odniósł się do jej urody, przeprosiła go i czym prędzej uciekła do swojego pokoju.

A jednak wciąż pamiętała, jak wypowiedział jej imię. W skrytości ducha cieszyło ją szczególne brzmienie, jakie jego głos

nadał dwóm prostym sylabom. Jakimś cudem wiedziała, że na długo zachowa to wspomnienie. Może na zawsze.

Zatopiona w myślach, w pierwszej chwili nie zauważyła, że Solly nie siedzi już na malowanych deskach werandy, tylko wstał i podszedł do barierki.

- Solly?

Oczywiście nie odpowiedział. Ze skupieniem ustawiał na sztorc klocek domina, dokładnie w jednej linii ze słupkiem i na środku deski tworzącej poręcz balustrady. Gdy ona bujała w obłokach, on stawiał je już od jakiegoś czasu, tak że teraz na poręczy stało w jednej linii kilkanaście klocek.

Przestawiła torbę fasolki i miskę na siedzenie fotela i zbliżyła się do barierki, ale nie na tyle, żeby naruszyć dla niej niewidzialne, za to jakże istotne dla syna granice. Nie chciała swoją bliskością odciągnąć go od tego, co robił.

Obserwowała go przez kilka minut, gdy naraz uświadomiła sobie, że ustawia klocki od najmniejszej wartości do największej. Ale co ważniejsze, nie wybierał ich z rozsypanej sterty, jak poprzednio. Teraz wyszukiwał kolejny klocek w pudełku, zanim ustawił go na końcu rzędu.

Nie była to jedna z niezwykłych zdolności przejawianych przez uczonych głupków, jakie opisywał doktor Kincaid. Najwyraźniej tamte talenty Solly również posiadał, ale dzisiaj w ustawianiu posługiwał się rozumem. Najpierw się zastanawiał, a dopiero potem wybierał kolejny klocek. Czyli liczył!

Łzy napłynęły jej do oczu. Przycisnęła palec do ust, żeby stłumić szloch.

- Margaret powiedziała, że nie ma pani na tyle zdrowego rozsądku, żeby wrócić z deszczu pod dach.

Określiła się na pięcie w chwili, gdy Rainwater pchnął siatkowe drzwi i wyszedł na werandę.

- Niech pan spojrzy. - Wskazała domino na poręczu. - Sam na to wpadł. Nie podsunęłam mu tego pomysłu. Proszę patrzeć.

Rainwater podszedł i stanął obok niej. Gdy Solly dodał następne dwa klocki, Rainwater zrozumiał, co wprowadziło Ellę w taką euforię.

- Zanim ustawi kolejny klocek według wartości, najpierw szuka go w pudełku - powiedział.

- Sądzi pan, że to ma znaczenie?

- Bez dwóch zdań.

- Pamiętam, jak w niedzielę przyglądał się żelaznym sztachetom płotu na cmentarzu. Najwyraźniej intryguje go porządek i precyzyjne rozmieszczenie przedmiotów. Czy taką fascynację da się podtrzymać i pielęgnować? Może da się ją rozwinąć w umiejętność, jak pan sądzi?

- Oczywiście. Pewnego dnia zostanie budowniczym mostów.

Uśmiechem skwitowała jego optymizm.

- Wystarczy mi coś znacznie skromniejszego.

Rainwater wyciągnął rękę i dotknął ramienia Sollyego. Chłopiec wzdrygnął się, ale nie zaprzestał tego, co robił.

- Brawo, Solly.

- Brawo, Solly - powtórzyła Ella.

- Uważam, że należy to uczcić - oświadczył Rainwater. - Choćby lodami. Czy mogę zaprosić panią i Solly'ego?

- Przed kolacją?

- Świątować należy spontanicznie. Zasady są po to, żeby je łamać...

- Panie Rainwater! - Margaret wypadła przez siatkowe drzwi. Wytrzeszczała przerażone oczy, z trudem łapała dech. - Mój syn Jimmy właśnie dzwonił ze sklepu, ponoć szykuje się rozróżba u Hatcherów. Mówił, że musi się pan pośpieszyć. Conrad Ellis i jego banda przechwalali się w sklepie, co zrobią hołocie, która się tam pojawi, żeby się mieszać do rządowych interesów.

- Już jadę. - Przecisnął się obok służącej i zniknął w domu jedynie po to, by zabrać kapelusz z wieszaka w korytarzu. - Gdzie jest farma Hatcherów?

- Pojadę z panem. - Ella zdjęła fartuch i rzuciła na krzesło.

- Wykluczone - zaprotestował. - Tam może być niebezpiecznie.

- Łatwiej będzie mi pokazać panu drogę, niż tłumaczyć, jak dojechać. - A wyczuwając jego wahanie, dodała: - Tracimy czas.

Skinął głową i zbiegł po schodkach. Ella deptała mu po piętach.

- Margaret, pilnuj Solly'ego! - krzyknęła przez ramię.

- Pani się o niego nie martwi. Uważajcie lepiej na siebie, pani i pan Rainwater. Jimmy mówił, że te białyśy są pijane i rozrabiają na całego.

Kiedy dotarli na farmę bydła położoną kilka mil na zachód od Gilead, sytuacja była już napięta. Zebrali się tam Ollie Thompson, pan Pritchett, kierownik poczty, pastor, nauczyciel prac technicznych ze szkoły średniej, właściciel miejscowej pomocy drogowej i wielu innych ludzi, których Ella знаła.

Ponuro skinęli głowami Rainwaterowi, gdy wysiadł z samochodu i dołączył do nich przy ogrodzeniu z drutu kolczastego, wyznaczającym granice pastwiska. Tylko on z całej grupy nie miał broni.

Na uboczu stała druga grupka, złożona głównie z Murzynów, choć było wśród nich kilku białych. Ściągnięte twarze i liche ubrania powiedziały Elli, że prawdopodobnie przybyli ze slumsów. Rozpoznała niedawno owdowiałego ojca trójki dzieci, z którym Rainwater się zaprzyjaźnił. Brat Calvin, przewyższający pozostałych o głowę, był ponury, ale spokojny.

Rainwater poradził Elli, żeby zaczekała w samochodzie, chociaż i tak nie miała zamiaru wysiadać. Jediną kobietą w zasięgu wzroku była pani Hatcher, stojąca na jałowym spłachetku ziemi przed domem; trzymała męża pod ramię, jakby chciała go odwieść od nierozważnego kroku.

Deszcz padał krótko, ale na niebie wisiały ciężkie, przytłaczające chmury. Powietrze było tak gęste, że z trudem wpadało do płuc, a oddychania nie ułatwiał smród łąjna z pełnej krów ciężarówki do przewozu bydła, która z warkotem silnika przejechała przez bramę pastwiska i bitym traktem ruszyła w kierunku głównej szosy.

Na pastwisku wykopano szeroki, głęboki dół, jeszcze większy niż ten na farmie Thompsonów, i zagoniono tam ze sto sztuk ryczących krów rasy angus. Wokół dołu stali mężczyźni w nisko opuszczonych kapeluszach, z wycelowanymi karabinami czekali, aż ich przywódca da sygnał do otwarcia ognia.

Kiedy zaczęli strzelać, Ella podskoczyła.

Mimo że przygotowała się na kanonadę, to jednak huk był ogłuszający, atakował nie tylko słuch. Zakryła rękami uszy, ale to nie stłumiło hałasu, tylko go nieco wyciszyło. Zamknęła oczy, czując, jak grzmot każdego wystrzału odbija się niemal od jej piersi i powiek.

Po pierwszych strzałach bydło wpadło w popłoch. Niezadowolone pomruki zwierząt przeszły w przerażony ryk, przebijający się nawet przez kakofonię palby, która zdawała się trwać w nieskończoność. Po chwili z dołu już tylko z rzadka dobiegało ryczenie pojedynczych krów. Każde cichło po wystrzale, którego huk rozbrzmiewał echem pod nisko wiszącymi chmurami.

Zapadła cisza tak gęsta jak kłęby dymu z broni palnej, unoszące się nad miejscem krwawej jatki.

Ella odczekała kilka sekund, po czym otworzyła oczy i odsłoniła uszy. Ze zdenerwowania dłonie miała mokre od potu. Wytarła je w spódnicę. Żaden z mężczyzn, czy to w grupie Rainwatera, czy brata Calvina, nawet nie drgnął.

Strzelcy opuścili karabiny i wolno ruszyli do rzędu czarnych samochodów, zaparkowanych jeden za drugim na szosie. Kilku

zapaliło papierosy. Inni rozmawiali między sobą ściszymi głosami. Wszyscy unikali wzroku milczących widzów.

Ich szef zatrzymał się i powiedział coś do pana Hatchera. Przerwał, czekając na odpowiedź albo żeby pan Hatcher w jakikolwiek sposób dał znać, że zrozumiał. Ten jednak bezceremonialnie odprawił go ruchem ręki. Agent rządowy odszedł i dołączył do pozostałych, którzy wsiadali do samochodów.

Gdy odjeżdżali, nikt nawet nie drgnął.

Kiedy konwój oddalił się o kilkaset metrów, ale był jeszcze w zasięgu wzroku, pan Hatcher zawołał:

- Kto chce, niech się częstuje!

Wciąż nikt się nie ruszył. W końcu pan Pritchett odkrzyknął:

- Alton, co on ci powiedział?

- Że zakopią je dzisiaj, zanim się zrobi ciemno. Ale żebyś wam nie pozwolił obedrzeć padliny z mięsa, bo będę miał kłopoty, a on nijak mi nie pomoże.

Co rzekłszy, pan Hatcher odwrócił się i ruszył przez plac do pniaka, na którym rąbał drewno na opał. Złapał długi trzonek siekiery i wyrwał zatopione w pniaku ostrze. Z siekierą pod pachą podszedł do dołu.

- Do diabła z nim. Nie odmówię głodnym resztek żyłastego mięsa.

Jego słowa nagrodzono owacją. Brat Calvin dał znak, na co jego ludzie zareagowali, jakby ich spuszczone ze smyczy. Przelazili nad siatką i gramolili się pod nią, pędzili na łeb na szyję do dołu,

zaopatrzeni w noże, tasaki i pojemniki na mięso. Bez wahania wskoczyli do masowego grobu. Dopiero wtedy Ella zdała sobie sprawę, jak silnym bodźcem jest głód.

Gdy zaczęli rąbać martwe bydło, ktoś zwrócił uwagę na warkot silników. Ella pomyślała, że to pewnie Rainwater pierwszy usłyszał ów dźwięk wśród radosnych krzyków ludzi ze slumsów, którzy po amatorsku zaczęli rozbierać mięso. W każdym razie wcześniej niż inni odwrócił się w stronę źródła hałasu i na jego twarzy natychmiast pojawił się przestach.

Ella obejrzała się raptownie.

Po drugiej stronie drogi z ukrycia w gęstym lesie wypadło kilka półciężarówek i samochodów osobowych. Pełne mężczyzn, którzy wywijali bronią palną i wylali jak potępieńcy, pojazdy pędziły coraz szybciej. Niewątpliwie schowali się tam i z silnikami pracującymi na jałowym biegu czekali na tę chwilę.

Pojazdy podskakiwały na wyboistym terenie, ale nie zwalniały. Na pełnej szybkości dotarły do szosy, przemknęły na drugą stronę i zahamowały ostro na skraju dołu. Wysypał się z nich tłum mężczyzn, wokół samochodu Rainwatera aż się od nich zaroilo.

Ella zobaczyła, jak pan Hatcher w roboczych butach gramoli się z dołu, usiłując znaleźć oparcie dla stóp w wilgotnej ziemi. Podbiegł do sparaliżowanej ze strachu żony. Zagonił ją do domu, sprawdził, czy drzwi są dobrze zamknięte, a potem biegiem wrócił do dołu, ściskając zakrwawioną siekierę.

Brat Calvin nakazał swoim podopiecznym zachować spokój i nie próbować żadnych głupot. Grupa z miasta rozbiegła się i zajęła pozycje wzdłuż ogrodzenia z drutu kolczastego, tworząc żywą barykadę, która miała chronić dół przed szturmem intruzów.

Ella rejestrowała to wszystko kątem oka, ponieważ patrzyła na Conrada, który trzymał się za swoimi ludźmi, dopóki nie stanęli oko w oko z grupą z miasta. Wtedy dwaj z nich odsunęli się i zrobili mu przejście. Conrad podszedł wprost do Rainwatera.

Ella bez namysłu otworzyła drzwi samochodu i wysiadła.

Conrad zmierzył Rainwatera wzrokiem od stóp do głów, obejrzał się i prychnął drwiąco. Jego kompani parsknęli śmiechem. Conrad odwrócił się z powrotem do Rainwatera.

- Pan nimi dowodzisz?

- Nie.

- No to niech wasz przywódca każe wyłazić z dołu czarnuchom i nierobom, bo zostaną zakopani razem z padliną.

- Zastrzelicie nieuzbrojonych ludzi?

- Mają noże.

- Te noże dla nikogo nie są groźne.

- Oni łamią prawo.

Rainwater rozejrzał się teatralnie.

- Nie widzę przedstawiciela prawa, który mógłby ich aresztować.

- Agenci rządowi kazali mi dopilnować, żeby nikt nie obdzierał z mięsa tych krów.

- Ma pan na to jakieś papiery?

Conrad zawahał się i w zamyśleniu przygryzł policzek.

- Nie potrzebuję żadnych papierów. Ja tu dowodzę.

- To pan tak twierdzi - odparł oschle Rainwater.

- Każe im pan stamtąd wyłazić czy nie?

- Panie Ellis, gdyby rządowi zależało, żeby ci ludzie nie dostali trochę wołowiny za darmo, to na terenie pana Hatchera roiliby się od agentów z odznakami. Pilnowaliby, żeby nikt się nie dobrał do tego bydła.

- Bydło! - Conrad splunął na ziemię. - Toż to sama skóra i kości. Nie nadaje się do spożycia.

- Ci niedożywieni ludzie ze slumsów pozwalają sobie być odmiennego zdania.

- Pan to masz gadane, trudno nadażyć.

- Wobec tego ujmę to prościej. Dlaczego z własnej woli robicie coś tak obrzydliwego, skoro nawet przedstawiciele prawa od tego stronią? To was nie dotyczy, więc może przymkniecie oko? Pozwólcie tym ludziom zabrać tyle mięsa, ile zdołają, i zanieść innym głodnym rodzinom.

Conrad przysunął twarz do twarzy Rainwatera.

- A wiesz pan co? Pocałuj mnie pan w dupę!

Kumple nagrodzili go kolejnym rechotem, który zaraz ucichł, gdy Conrad wyrznął Rainwatera pięścią w twarz.

Rainwater wyczuł atak i zrobił unik, tyle że za wolno i za mały. Knykcie Conrada otarły mu kość policzkową i zadrapały skórę tak, że pociekła krew. Rainwater zatoczył się do tyłu. Przed upadkiem na

drut kolczasty uratował go tylko świetny refleks Tada Wallacea, właściciela pomocy drogowej, który wyciągnął rękę i go podtrzymał.

Gdy tylko Rainwater stanął pewnie na nogach, Wallace rzucił się na Conrada. Ale Rainwater złapał go za rękaw koszuli i odciągnął.

- On tylko na to czeka. Na pretekst do ataku.

Inni pomrukiem przyznali mu rację. Tad Wallace się wycofał. Rainwater grzbietem dłoni otarł krew z twarzy.

- Masz, czego chciałeś, przyłożyłeś mi. Dopiąłeś swego. Wszyscy to widzieli. Będą o tym opowiadać tygodniami. Uderzyłeś mnie, masz się czym chwalić. Więc wynoście się i zostawcie tych ludzi w spokoju.

Wyraźnie rozbawiony Conrad obejrzał się przez ramię na swoich kumpli, którzy jak na komendę ryknęli śmiechem.

- Nie, jeszcze nie zamierzamy się wynosić. Myślisz pan, że się wystraszymy tych prostaków z paroma dwururkami i zardzewiałymi nożami?

- A co powiecie na wieczne potępienie? Tego się nie boicie?

Nikt nie zauważył, że brat Calvin wyszedł z dołu, obszedł siatkę z drugiej strony i teraz stał za jednym z członków bandy Conrada. Wystraszeni jego dudniącym głosem, rozstąpili się przed nim. Zrobili to niechętnie, lecz nikt mu nie przeszkodził podejść do Conrada. Imponujący wzrost i szerokie bary sprawiały, że nawet przywódca zbirów wydawał się przy nim nieduży.

Ale Conrad się nie wystraszył. Uśmiechnął się do niego drwiąco.

- A ty, czarnuchu, jesteś tym pastorem, co to podburza innych?

- Dobrze wiesz, kim jestem. Wybiłeś okno w moim kościele, ale nie mnie tym obraziłeś, tylko Boga. Wiem, że jesteś bigotem, ale mnie to nie obchodzi. Za swoją nienawiść i uprzedzenia odpowiesz przed Wszechmogącym. Mnie interesuje tylko to, że ci ludzie są głodni, a dzięki dobroci i wielkoduszności pana Hachera mają okazję dostać trochę darmowego mięsa. I nie tylko kolorowi. Biali również. Pamiętasz Lansy'ego Roedera?

Machnął ręką w kierunku dołu. Ella ujrzała tam wychudzonego mężczyznę w kombinezonie, z rzeźnickim nożem w jednej dłoni i miską w drugiej. Ręce aż po łokcie oraz ubranie miał całe we krwi. Nie tracił czasu, tylko wycinał mięso, zanim się zepsuje.

- Lansy mówił, że chodziliście razem do szkoły - ciągnął brat Calvin. - Trzy miesiące temu bank zajął jego dom. Wyrzucili go wraz z rodziną, a że nie mieli się gdzie podziać, mieszkają teraz w slumsach. Pracuje przy zbiorach bawełny, ale zarabia tyle co nic. Jego dzieci przymierają głodem.

Na Conradzie nie zrobiło to najmniejszego wrażenia.

- Nie moja wina, że nie potrafi wykarmić dzieciaków. Jak go nie stać, żeby miały co jeść, to po co ich tyle narobił? - Parsknął drwiąco. - Pewnie dlatego, że ta jego żonka jest całkiem do rzeczy. - Obejrzał się przez ramię na swoich kumpli. - Może to ją powinien wysłać do roboty, co wy na to? Już ja bym dał jej zarobić.

Jego kumple gruchnęli lubieżnym śmiechem. Kilku zagwizdało. Lansy upuścił miskę i rzucił się ku nim biegiem. Wiedząc, że nie ma szans w starciu z Conradem, dwaj ludzie obalili go na ziemię i

przytrzymali, a on bluzgał tylko stekiem wyzwisk. Takie poniżenie spowodowało, że kompania Conrada wręcz tarzała się ze śmiechu.

Ale kiedy Conrad odwrócił się z powrotem do brata Calvina, na jego twarzy nie było cienia uśmiechu.

- Daję wam minutę. Wynoście się stąd albo zaczniemy strzelać. Ja nie żartuję, kaznodziejo.

Rainwater wystąpił do przodu.

- Najpierw będzie pan musiał zastrzelić nas.

Conrad wyciągnął rękę za siebie, na co jeden z kumpli podał mu rewolwer. Wycelował w brzuch Rainwatera.

- Mnie tam bez różnicy. Pan pójdiesz na początek, panie wyszczekany.

Elli zmroziło krew w żyłach. Zwolennicy Rainwatera zaczęli nerwowo przestępować z nogi na nogę. Oderwali się od obiadów, pozamykali swoje sklepy, wybiegli z domów, byleby przyjść z pomocą sąsiadom. A teraz groziło im, że padną ofiarą przemocy, której mieli nadzieję zapobiec. Przeciwwstawienie się uzbrojonej bandzie w rzeczywistości okazało się dużo straszniejsze, niż im się wydawało podczas tajnych zebrań.

W przeciwieństwie do nich Rainwater był niewzruszony.

- Nie sądziłem, że jest pan aż tak głupi, panie Ellis.

Conrad szturchnął go rewolwerem. Rainwater ani drgnął.

- Nie sądziłem, że w swojej głupocie jest pan gotów zastrzelić ludzi z zimną krwią na oczach tylu świadków.

- Zaryzykuję.

- W to nie wątpię. Skoro ma pan szeryfa Andersona w kieszeni. -
Rainwater przekrzywił głowę. - A kogo pan zna w FBI?

Conrad zamrugął.

- W FBI?

- W Federalnym Biurze...

- Wiem, co to jest FBI. Oni nic do tego nie mają.

- Ale będą mieli. Mówił pan, że dowodzi tu z rozkazu agentów rządowych, w co szczerze wątpię. Ale nawet jeśli to prawda, a nagle pojawi się kupa trupów i rannych, to jak pan myśli, kto zostanie z ręką w nocniku? Strzelcy, którzy zrobili, co do nich należało? Ludzie z programu pomocy rządowej? Biurokraci?

Pociągnął nosem i pokręcił głową.

- Jeśli dojdzie do przelewu krwi, wtedy oni... od prezydenta Roosevelta w dół... zwałą całą winę na pana, za to, że postawił pan w złym świetle rządowy program, który w założeniu miał pomóc ludziom. Ale, jak widzę, tak pali się pan do bitki, że wcale to pana nie obchodzi.

Jeden z kumpli Conrada podszedł do niego od tyłu i szepnął mu coś na ucho. Ella nie słyszała słów, ale nie zostały dobrze przyjęte.

- Stul pysk! - warknął Conrad i odprawił go takim ruchem ręki, jakby odpędzał natrętną muchę. A potem zwrócił się do Rainwatera: - Pan myślisz, żeś pan taki mądry, co?

- Liczę na pańską mądrość, panie Ellis. Myślę, że jest pan zbyt mądry, żeby dalej w to brnąć.

- Odpuść, Conrad - rzucił żałośnie ktoś z bandy.

- Tak, spadajmy stąd.
- Niech se zeżrą te krowy. Kogo to obchodzi?
- Jedźmy się upić.

Mamrocząc coś do siebie, opuścili broń i ślamazarnie powlekli się do swoich pojazdów.

Po chwili już tylko Conrad stał naprzeciwko zdeterminowanych ludzi z miasta. Cofnął się o kilka kroków, a potem wycelował w każdego z nich po kolei, machając lufą tak, jakby groził palcem.

- Znacie mnie i wiecie, że nie rzucam słów na wiatr. To jeszcze nie koniec. Wręcz przeciwnie. - Wystrzelił w powietrze z rewolweru sześć razy, opróżniając bębenek. A potem odwrócił się i odmaszerował.

Ella wciąż stała przy otwartych drzwiach samochodu. Oczy Conrada, kiedy ją mijał, rzucały wściekle błyski.

- Po raz drugi źle wybrałaś, Ella.

Rozdział piętnasty

- Czy pan Rainwater dziś do nas nie dołączy? - spytała panna Violet, gdy Ella podawała siostrze sałatkę.

- Wyszedł do przyjaciół.
- Och.

Panna Pearl nie potrafiła ukryć rozczarowania. We włosach miała świeży kwiat. Panna Violet westchnęła.

- A pan Hastings znowu wyjechał, więc dzisiejszy wieczór spędzimy samotnie, siostrzyczko.

- Za to będziecie miały oba saloniki tylko dla siebie. - Ella spróbowała zaszczepić im nieco pogody ducha.

Ale nawet ta obietnica nie poprawiła im humoru. Jadły równie machinalnie, jak machinalnie Ella je obsługiwała. Ona była myślami gdzie indziej, z Rainwaterem i tamtymi, którzy zostali, żeby wyciąć całe mięso z wybitego bydła i rozprowadzić je wśród mieszkańców slumsów oraz okolicznych rodzin będących w skrajnej nędzy.

- To paskudna robota - powiedział jej Rainwater, kiedy namówił ją, żeby pozwoliła się odwieźć do miasta.

- Nie brzydzę się surowego mięsa. Mogłabym się przydać.

- Ma pani inne obowiązki.

Oczywiście miał rację. Ale po wygranej potyczce z Conradem czuła się zawiedziona, że musi wracać do tak prozaicznych zajęć jak szykowanie i podawanie kolacji lokatorkom w podeszłym wieku.

- Poza tym nie wierzę, żeby Conrad się poddał - dodał Rainwater po namyśle. - Możliwe, że wróci. A wtedy będą kłopoty.

Ella obawiała się, że tym razem również miał rację. Wiedziała, że po takim publicznym upokorzeniu Conrad obmyśla teraz straszliwy odwet.

- Co pani powiedział na do widzenia? - zapytał nagle Rainwater.

- Że stoję po niewłaściwej stronie, coś w tym guście. - Pamiętała słowo w słowo, co Conrad powiedział jej na odchodnym, ale

parafrazując go, unikała osobistych konotacji, z którymi wolała się nie afiszować przed Rainwaterem.

Odwiózł ją do domu i przeprosił, że nie odprowadzi jej do drzwi.

- Muszę jak najszybciej wracać do Hatcherów. Prawdopodobnie nie zdążę wrócić na kolację.

- Niech pan na siebie uważa.

Uchylił kapelusza i odjechał. Wyglądał jak ktoś, kto wygrawszy pierwszą bitwę, wraca na front, podniecony zwycięstwem i spragniony dalszej walki.

Ella, z natury łagodna, unikała zwady, jeśli to było możliwe. A jednak zazdrościła Rainwaterowi - w gruncie rzeczy w ogóle mężczyznom - że wolno mu wracać do boju i pokazać, na co go stać.

Gdy siostry skończyły kolację i przeszły do saloniku na partyjkę kart, Ella namówiła Sollyego, żeby coś zjadł. Margaret przyglądała mu się, chwając go za każdy kęs. Odkąd Ella opowiedziała jej, jak się skończyła konfrontacja na farmie, służąca była w wyśmienitym humorze. Wychwalała pod niebiosa odwagę brata Calvina, Rainwatera i pozostałych mężczyzn, którzy przeciwstawili się Conradowi: „Najwyższy czas, żeby ktoś mu utarł nosa”.

Ella wątpiła, żeby na tym skończyły się kłopoty z Conradem, ale zachowała obawy dla siebie.

Podczas gdy Margaret kończyła sprzątać naczynia, Ella położyła Sollyego spać i życzyła spokojnej nocy siostrzynie Dunne, kiedy mijały ją na schodach, kłócąc się o wynik rozgrywki remika.

Przed powrotem do domu Margaret zamierzała wstąpić do slumsów. Ella dała jej na drogę dwa kosze z resztkami jedzenia, po czym samotnie zjadła kolację przy kuchennym stole. Prawie skończyła, gdy usłyszała warkot samochodu. Szybko ruszyła do drzwi frontowych i z trudem ukryła rozczarowanie na widok doktora Kincaida, który sapiąc, wchodził po schodkach na werandę.

- Dobry wieczór pani - odezwał się, gdy ujrzał ją przez siatkowe drzwi. - Miałem nadzieję, że zdążę panią złapać, zanim się pani położy.

Odsunęła rygiel.

- Jeszcze nieprędko się kładę. Zapraszam do środka.

Gdy przekroczył próg, zaprosiła go do saloniku dla gości.

- Napije się pan herbaty?

- Nie, dziękuję. Dopiero co skończyłem kolację. Czy jest David?

- Wyszedł wieczorem.

- Hmm. - Zdjął kapelusz i usiadł. - Dostałem to dzisiaj i jak najszybciej chciałem się tym z panią podzielić.

Podał jej dużą kopertę, otwartą. Ella usiadła i wyjęła kilka spiętych, zapisanych na maszynie kartek. Obejrzała nagłówek na papierze firmowym, rzuciła okiem na pierwszą stronę i spojrzała wyczekująco na lekarza.

- To bardzo poważany specjalista - wyjaśnił. - Przeprowadził kilka badań. Mówiłem pani, że pisałem do lekarzy w całym kraju, prosząc o informacje na temat uczonych głupków. Jeden z nich pamiętał o mojej prośbie i był tak miły, że mi to przysłał. Ten artykuł

ukazał się kilka miesięcy temu w pewnym czasopiśmie medycznym. Pomyślałem, że zainteresuje panią i doda otuchy. Podobnie jak mnie.

- Dziękuję. - Przerzuciła kartki, czytając podkreślone podtytuły akapitów.

- Niektóre dzieci z wadami rozwojowymi podobnymi do Sollyego uczy się mówić i czytać ze zrozumieniem, w niektórych przypadkach z bardzo dobrym skutkiem. Ma się rozumieć nikt, nawet ten światowej sławy specjalista, nie gwarantuje sukcesu w stu procentach, ale każdy zauważalny postęp to olbrzymi krok naprzód, nie sądzi pani?

Przycisnęła kartki do piersi i skrzyżowała na nich ręce, jakby ścisnęła skarb.

- Dziękuję, doktorze. Nawet pan sobie nie wyobraża, jaka jestem wdzięczna za pańskie starania.

- Chyba jednak sobie wyobrażam - odparł z uśmiechem.

Opowiedziała mu o najnowszym osiągnięciu Solly'ego.

- Wprawdzie układa tylko kostki domina w jednej linii i według ich wartości, ale wątpię, czy większość dzieci w jego wieku potrafiłaby się tak skupić i miałaby dostatecznie dużo cierpliwości, żeby zrobić coś tak...

- Skrupulatnie?

- Tak.

- To samo pisze ten lekarz w artykule - rzekł, ruchem głowy wskazując kartki, które wciąż przyciskała do piersi. - Taka precyzja to powszechna cecha dzieci z objawami takimi jak u Sollyego.

Przeczytawszy o tych badaniach, doszedłem do wniosku, że byłem w błędzie, namawiając panią do podawania mu leków. W gruncie rzeczy nikt nie zna możliwości umysłu uczonych głupków, a niewątpliwie są one różne u poszczególnych pacjentów. Solly nie umie wyrazić poziomu swojej inteligencji, nie wiemy więc, do czego jest zdolny. Może potrafi tylko układać domino, a może dysponuje genialnym umysłem. Tak czy owak, jeżeli ocena tych zdolności w ogóle jest możliwa, jest pani to winna zarówno synowi, jak sobie.

Powiedziała mu, że napisała do kilku szkół.

- Nie dostałam jeszcze ani jednej odpowiedzi, dlatego nie wiem, czy moje starania coś dadzą. Możliwe, że akurat te szkoły nie mają doświadczenia z takimi dziećmi jak Solly. Ale jeśli nawet znajdę szkołę z odpowiednim programem nauczania, to pewnie i tak czesne okaże się przeszkodą nie do pokonania. - Przerwała, a po chwili dodała cicho: - Poza tym nie wyobrażam sobie, że mogłabym go puścić w świat samego.

- Nawet gdyby to było dla niego najlepsze wyjście?

- Nie wiadomo, czy on się nada do szkoły, doktorze. Wybór może nie zależeć ode mnie.

- Ale gdyby zależał od pani...

- Zobaczymy - bąknęła, unikając jednoznacznej odpowiedzi.

Po chwili klepnął się w uda i wstał.

- Muszę się zbierać. Żona nie położy się spać, dopóki nie wrócę.

Odprowadziła go do drzwi i jeszcze raz gorąco podziękowała za artykuł.

- Nie mogę się doczekać, kiedy go przeczytam od deski do deski.

- Myślę, że wiele pani wyjaśni. Porozmawiamy znowu, kiedy już zapozna się pani z tymi informacjami.

- Oczywiście.

Przesunął wzrok na piętro, po czym znów spojrzął na nią.

- Jak on się miewa?

Wiedziała, że teraz już nie pyta o Solly'ego.

- Wczoraj potraktował mnie dość obcesowo. Wciąż mi powtarzał, że czuje się świetnie, a ja nic, tylko wierciłam mu dziurę w brzuchu. W końcu miał tego dość. - W zasadzie była to prawda. Nie musiała mu szczegółowo tłumaczyć, dlaczego jej zachowanie tak zirytowało Rainwatera. - Zazwyczaj jest bardzo zrównoważony.

- Ale bywa też uparty jak osioł. W życiu nie widziałem równie upartego dziecka. Nie tak, jak to zwykle bachory, on był zdeterminowany. Jeśli wbił sobie coś do głowy, wiercił wszystkim dziurę w brzuchu tak długo, aż postawił na swoim. - Zachichotał. - Ale pamiętam, że kiedy raz czy dwa mu się nie udało, dostał napadu hysterii.

Nie potrafiła sobie wyobrazić Rainwatera w napadzie hysterii, ale doskonale wyobrażała sobie, jak obstawał przy swoim. Już dwukrotnie jego niezłomna determinacja zmusiła Conrada, żeby spuścił z tonu.

Doktor Kincaid zmarszczył czoło.

- Mówiła pani, że wyszedł.

Przytaknęła.

- Przypuszczam, że wcześniej był na ranchu Altona Hatchera. A wieczorem w slumsach.

Ponownie kiwnęła głową.

- Próbowałem go przekonać, żeby się do tego nie mieszał. Lepiej nie robić sobie wrogów z Conrada Ellisa i jego bandy.

- Ja też próbowałam mu to wyperswadować, doktorze. Bez skutku.

Lekarz westchnął.

- Nic dziwnego.

- Czy on zawsze angażował się w takie rzeczy?

- Ma pani na myśli przegrane sprawy?

- Dlaczego pan sądzi, że to przegrana sprawa?

- Dlatego, że od zarania dziejów ludzie byli zastraszeni przez takich opryszków, i nie sądzę, żeby to się miało zmienić. Podczas tego kryzysu gospodarczego jedni będą cierpieć, sępy będą korzystać z ich nieszczęścia, a jeszcze inni, wściekli na tę sytuację, zaczną wyładowywać swój gniew na niewinnych, coraz częściej popełniając kradzieże, dokonując napadów, a nawet morderstw. Ale żeby nie wyjść na starego zrzędę i czarnowidza, pozwolę sobie dodać, że trudne czasy wydobywają z ludzi także najlepsze cechy.

- Jak w przypadku pana Rainwatera.

- Odpowiedź na pani wcześniejsze pytanie brzmi: tak. David zazwyczaj opowiada się po stronie słabszych. Myślę, że dorastał w poczuciu winy za to, że od urodzenia był uprzywilejowany.

Sama nigdy nie zapytałaby go, na czym to uprzywilejowanie polegało, więc się ucieszyła, gdy doktor Kincaid rozwinął temat.

- Ojciec Davida odziedziczył tysiące akrów urodzajnej ziemi i miał smykałkę do uprawy bawełny. Podczas pierwszej wojny światowej zbił wielki majątek. David uczył się prowadzenia interesu dosłownie od podstaw, a był pojętym uczniem. Już jako nastolatek o uprawie i sprzedaży bawełny wiedział więcej niż większość tych, którzy siedzieli w tej branży od dziesięcioleci.

Następnie poszedł na studia i nauczył się jeszcze więcej, jak prowadzić interesy. Po dyplomie został pośrednikiem handlowym działającym na własny rachunek. Za swoją bawełnę uzyskiwał najwyższe ceny, więc mniejsi farmerzy powierzali mu własne plony, żeby też sprzedał je jak najkorzystniej. Szło mu świetnie i nadal posiada tę ziemię, na której wzbogacił się jego ojciec.

Obecnie sytuacja na rynku jest tak fatalna, że uprawia zaledwie ułamek tego areału co kiedyś, ale mimo to nie zwolnił ani jednego dzierżawcy. Plony i dochody z ziemi są wyraźnie mniejsze niż jeszcze kilka lat temu, ale kiedy ten kryzys się skończy... no cóż, ziemia nie zniknie, a na bawełnę zawsze będzie popyt.

Innymi słowy, chociaż nie wyraził tego wprost, dawał jej do zrozumienia, że David Rainwater ma pokaźny majątek.

- Mógłby zamieszkać wszędzie. Więc dlaczego akurat u mnie? - zdziwiła się.

- Po pierwsze, chciał, żebym to ja go leczył. Proszę mnie nie pytać dlaczego. Podejrzewam, że kiedy usłyszał diagnozę i

dowiedział się, że jest nieuleczalnie chory, chciał być blisko rodziny. A jego jedyną rodziną jestem ja i moja żona.

- Nigdy się nie ożenił?

- Nigdy, chociaż okazji nie brakowało. - Lekarz roześmiał się cicho. - Każda niezamężna kobieta w północnym Teksasie próbowała go usidlić. David jest przystojnym mężczyzną, ale wyobrażam sobie, że wśród jego wielbicielki nie brakowało łowczyń posagów. On też to podejrzewał. Kiedyś spytałem go, dlaczego trwa w stanie kawalerskim, skoro lecą na niego tłumy pięknych kobiet. Odpowiedział, że czeka na tę jedyną, która zechce go dla niego samego, a nie dla jego majątku.

W zamyśleniu pociągnął się za ucho.

- Teraz żona byłaby dla niego wielką pociechą. Zastanawiam się, czy nie żałuje swojej decyzji o pozostaniu kawalerem. - Nagle pokręcił głową. - Ale, jak go znam, nie żałuje. On nie z tych, którzy oglądają się za siebie i lamentują.

Elle wciąż dręczyła ciekawość, dlaczego Rainwater, którego, jak widać, stać było na coś lepszego, postanowił zamieszkać w pensjonacie.

- Mógł sobie kupić własny dom - myślała na głos. - Znacznie większy niż mój.

- On ma swój dom. Zostawił go i przyjechał tutaj. Przypuszczam, że nie chciał być sam w chorobie. Sądzę, że przedkłada atmosferę rodzinną nad samotność. - Przyglądał jej się przez dłuższą chwilę, po czym włożył kapelusz. - Naprawdę muszę się już pożegnać. Proszę

mnie zawiadomić, co sądzi pani o tym artykule. A gdyby Davidowi się pogorszyło, natychmiast proszę po mnie dzwonić.

- Oczywiście. Dobranoc. I jeszcze raz dziękuję.

Zamknawszy za nim drzwi, wróciła do saloniku, usiadła obok najjaśniejszej lampy i zaczęła czytać raport lekarski. Właśnie czytała go po raz drugi, gdy wrócił Rainwater.

Dotarła do drzwi szybciej niż on. Na jego widok serce podeszło jej do gardła i jęknęła.

- Wszystko w porządku - rzucił szybko. - To nie moja krew.

- Wielkie nieba!

- Mówiłem pani, że to brudna robota. Nie mogę wejść do pani domu w takim stanie. Pozwoli pani, że przejdę od tyłu i skorzystam z kranu w pralni, żeby się umyć?

- Podam panu mydło i ręcznik pod tylne drzwi.

- Czy byłaby pani tak miła i przyniosła mi jeszcze jakieś czyste ubranie?

- Zaraz przyniosę.

Zszedł po schodkach i zniknął za rogiem domu. Ella szybko poszła na górę do jego pokoju. W szafie znalazła starannie powieszona koszule i spodnie. Po chwili wahania przemogła się, wysunęła szufladę komody i wyjęła z niej krótkie kalesony i skarpetki.

Dotykała już jego bielizny, kiedy robiły z Margaret pranie. Potem zawsze jednak zostawiały ubrania lokatorów złożone na łóżkach. A to

zupełnie co innego niż wyjmowanie tak osobistych przedmiotów z szuflady.

Z łazienki wzięła myjkę, ręcznik i mydło, po czym pośpiesznie zeszła na parter i przez kuchnię dotarła do tylnego wejścia, gdzie na nią czekał. Pchnęła siatkowe drzwi. Sięgnął po swoje rzeczy, ale mu ich nie dała.

- Utyła pan ubrania we krwi, jeśli ich teraz dotknie. Zaniosę je na miejsce.

- Dziękuję.

Ruszyła przez ciemny plac do szopy, gdzie położyła ubrania i przybory z łazienki na stole, na którym trzymała środki do prania oraz wybielacz.

- Tu nie ma światła.

- Dam sobie radę.

- Zjadłby pan coś?

- Byle nie czerwone mięso.

Skwitowała uśmiechem jego cierpki żart.

- Na jutrzejszy lunch zrobiłam sałatkę z kurczaka.

- Sprawilem pani już dość kłopotu.

- Zrobię panu kanapkę.

Zostawiła go samego. Zanim weszła do domu, usłyszała świst odkręcanego kranu i plusk wody.

Przygotowała kanapkę i położyła ją na talerzu wraz z pomidorem w plasterkach i kawałdem kantalupa. Ukroiła także porcję biszkoptu i przełożyła na osobny talerzyk. Nie wiedząc, czego chciałby się napić,

postawiła na stole pustą szklankę i nastawiła dzbanek kawy na piecu, by w każdej chwili ją zaparzyć. A potem usiadła plecami do drzwi i czekała.

Gdy usłyszała, jak otwiera siatkowe drzwi, obejrzała się. Stał na jednej nodze i wciągał skarpetkę.

- Mam brudne buty. Wyczyszczę je rano, przy lepszym świetle.

Stanął na drugiej nodze, włożył drugą skarpetkę i wszedł do kuchni.

Pachniał mydłem. Mokre włosy zaczesał palcami do tyłu, żeby nie opadały na twarz.

- Wrzuciłem ubranie do pralki, żeby się namoczyło. Mam nadzieję, że dobrze zrobiłem.

- Margaret zajmie się nim z samego rana.

- Nie mogę się na to zgodzić.

Ruchem ręki zaprosiła go do stołu, na którym czekała kolacja.

- Chętnie to dla pana zrobi. Odkąd się dowiedziała o pańskim starciu z Conradem, jest pan jej bohaterem.

Spojrzał na jedzenie.

- Sądziłem, że nie jestem głodny, ale to wygląda wspaniale.

Dziękuję.

- Jeśli woli pan zjeść u siebie w pokoju, wezmę tacę.

- Zjem tutaj. - Odsunął krzesło i usiadł.

- Czego się pan napije?

- Poproszę mleko.

Nalała mu mleka do szklanki stojącej obok talerza, ale kiedy już odstawiła butelkę do lodówki, nie bardzo wiedziała, co począć dalej - zostawić go, żeby zjadł sam, czy dosiąść się do stołu.

Spojrzał na nią z pełnymi ustami i przełknął.

- O co chodzi?

- Ma pan ochotę na towarzystwo?

Odsunął krzesło i wstał.

- Zapraszam. - Wskazał krzesło po drugiej stronie stołu.

Skrzywiła się na tak ceremonialne zachowanie, ale usiadła.

- Pomyślałam, że może jest pan zmęczony i nie ma ochoty na rozmowę.

- Jestem zmęczony, ale to przyjemne zmęczenie.

- A więc wszystko poszło dobrze? Nie było dalszych kłopotów?

- Najmniejszych. Conrad Ellis i jego banda się nie pokazali.

Zanim pojawiły się spycharki, zdążyliśmy rozebrać kilka sztuk bydła. Resztę czasu zabrało nam rozwożenie mięsa, żeby ugotowano je, zanim się zepsuje. Jak się nazywa ten wytwórca lodu?

- To pan Miller.

- Wspaniałomyślnie podarował nam kilka bloków lodu, żebyśmy mogli obłożyć mięso, zanim je rozprowadzimy.

- Doktor Kincaid mówił, że w trudnych czasach z ludzi wychodzi to, co najlepsze.

- Kiedy się z nim pani widziała?

Opowiedziała mu o wizycie lekarza i artykule na temat badań, który jej zostawił. Jego oczy rozbliły się z ciekawości.

- Gdy pani skończy, też chętnie go przeczytam, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

- A ja chętnie usłyszę pańskie zdanie na ten temat.

Skończył jeść i wstał.

- Zaraz wracam.

Wyszedł z kuchni, zanim zdążyła go zapytać, dokąd się wybiera. Zmyła naczynia i zostawiła je odwrócone na suszarce, żeby wyschły. Już miała pogasić światła, gdy nagle wrócił z książką w ręku.

Wyciągnął ją do niej, uśmiechając się.

- Wygląda na to, że dzisiaj wszyscy dają pani coś do czytania.

Wzięła od niego książkę i odczytała tytuł. *Pożegnanie z bronią.*

- Już pan skończył?

- Dziś rano. Właśnie dlatego nie zszedłem na śniadanie. Nie chciałem jej odkładać, dopóki nie doczytam do końca. Chciałem dać ją pani od razu, ale wydarzenia nas rozdzieliły.

Przesunęła czubkami palców po tytule i odczytała go na głos.

- Przeczytam jak najszybciej i zwrócę panu. Obiecuję, że będę o nią dbała, nie zniszczę jej.

- To prezent, Ello.

Szybko spojrzała mu w oczy.

- Nie mogę go przyjąć.

- Bardzo proszę, niech pani nie odmawia. Chcę, żeby ją pani zatrzymała.

Patrzyła mu w oczy, dopóki była w stanie znieść jego przenikliwe spojrzenie, a potem zwiesiła głowę i wbiła wzrok w okładkę książki.

- Czy zakończenie jest smutne?

- Bardzo.

Poczuła, że jego spojrzenie pali ją w czubek głowy. Miała wrażenie, że napierają na nią ściany, a powietrze uciska odkryte partie jej ciała. Zaszło jej w gardle.

- Nie odmówiłbym sobie tak pięknego romansu, nawet wiedząc, że smutno się skończy - powiedział zduszonym głosem. - A pani?

Spojrzała na niego, lecz czując, że coś wzbiera w jej sercu, szybko spuściła wzrok na książkę. Nie była w stanie odpowiedzieć. Nie wiedziała, jak brzmi jej odpowiedź. Szukała jej w słowach na okładce książki, ale rozplływały się przed oczami.

Patrzyła na nie przez łzy.

Rozdział szesnasty

Następnego dnia starała się go unikać.

Zszedł na śniadanie i wesoło gawędził z siostrami Dunne, które zadrezczały go pytaniami o to, gdzie się tak niespodziewanie wypuścił poprzedniego wieczoru. Były ciekawe, jak go spędził i z kim. Ella to wchodziła, to wychodziła z jadalni, więc nie słyszała wszystkich jego odpowiedzi, ale wkrótce sprowadził temat na ulubione audycje radiowe obu pań.

Gdy tylko próbował pochwycić jej spojrzenie, za każdym razem uciekała wzrokiem. Już od dwóch dni był ostatnią osobą, której wieczorem mówiła dobranoc, a to wytręcało ją z równowagi. Mimo

że w rozmowach starannie omijali tematy osobiste i nie zaszło między nimi nic niestosownego.

Nie byłaby jednak wobec siebie szczera, gdyby się nie przyznała, że ich relacje wykroczyły poza normalne stosunki między właścicielką pensjonatu a lokatorem. Wdała się w nie zażyłość. Rozmowa sam na sam z panem Hastingsem nie martwiłaby jej w najmniejszym stopniu. Przecież zdarzało się, że wracał z podróży służbowej zbyt późno jak na kolację w salonie, a wtedy podawała mu coś na zimno w kuchni. Nie czuła też skrepowania poprzedniego wieczoru, kiedy siedziała sama z doktorem Kincaidem w saloniku.

Ale sam na sam z Rainwaterem to było całkiem co innego.

W jego obecności czuła się niepewna, traciła głowę. I wcale nie z powodu tego, co mówił albo robił. Nigdy jej nie dotknął. No cóż, tylko w rękę i tylko raz. W tym, co mówił, nie było nic nieobyczajnego, nawet w uwadze na temat jej urody. Jego postawie niczego nie mogła zarzucić.

To samą swoją obecnością powodował ten niewytłumaczalny ucisk w jej piersi. Ubiegłego wieczoru, gdy stała tak blisko niego, że czuła na twarzy jego oddech i słyszała zaprawiony goryczą smutek w głosie, zalała się łzami. Kiedy spłynęły jej na policzki, wybąkała tylko „dobranoc” i uciekła jak poprzedniej nocy. Obawiała się jednak, że wczoraj nie zrobiła tego dostatecznie szybko. Zobaczył jej łzy i pewnie się zastanawiał, co sprawiło, że się rozpląkała. Bo ona się zastanawiała, dlaczego tak się stało.

To ten jego upór, żeby przyjęła sentymentalną powieść, spowodował wybuch uczuć, które normalnie trzymała pod kontrolą. Po latach praktyki nabrała wprawy w ukrywaniu strachu, złości, bólu głowy, a nawet radości. Niewątpliwie potrafiła się powstrzymywać od płaczu. Ale w zaciszu kuchni, gdzie słyszała tylko tykanie zegara i bicie swojego serca, jej stalowe opanowanie pękło.

Przestraszyła się tej utraty powściągliwości. Stroniła od tak silnych uczuć, wychodząc z założenia, że jeśli dopuści, by w murze obronnym, jakim otoczyła swe serce, pojawiło się choćby najmniejsze pęknięcie, to ten mur runie. A wtedy co ją czeka?

Dokładnie to samo co teraz. Jej sytuacja wcale się nie zmieniła. Nadal będzie żyła jako wdowa, tyle że nieformalna, więc bez korzyści wynikających z tego statusu. Jej dziecko wciąż będzie zamknięte w swoim świecie, do którego ona nie ma wstępu. Wszystkie kolejne dni będą takie same, pełne niekończących się, niewdzięcznych zajęć, bez chwili ulgi, wytchnienia, a nawet poczucia dobrze wykonanej pracy.

Gdyby jednak zaczęła się nad sobą rozczulać, to by ją tylko przybiło, osłabiło i w rezultacie coraz gorzej znosiłaby rozczarowania i rozpacz.

Właśnie to próbowała wytłumaczyć Rainwaterowi tego dnia, gdy nie pozwoliła mu pielnić ogródka. Wprowadziła w swoje życie delikatną, chwiejną równowagę i nie mogła sobie pozwolić na to, żeby cokolwiek ją naruszyło. Albo ktokolwiek.

Ale tym, co ją gnębiło najbardziej, przez co rzucała się wczoraj na łóżku przez całą bezsenną noc, był strach, że jest już za późno, że szale się przechyliły i nic nie da się zrobić.

Dzisiaj jej strach objawił się w postaci kłótliwego nastroju, na co Margaret zwróciła jej uwagę, stawiając na piecu fasolkę szparagową.

- Coś mi się widzi, że ktoś tu dziś wstał lewą nogą - burknęła, kiedy Ella po raz drugi upomniała ją, żeby nie przesadzała z tłuszczem z boczku.

Ella puściła to mimo uszu i zajęła się codziennymi obowiązkami, a nawet wymyśliła sobie nowe, żeby łatwiej unikać Rainwatera. I udawało jej się to całkiem skutecznie do czasu, gdy po kolacji wyszedł na werandę, gdzie siedziała w bujanym fotelu i przyglądała się, jak Solly ustawia klocki domina na poręczy.

Delikatnie zamknął za sobą siatkowe drzwi i dołączył do nich.

- Znowu to robi?

- Z własnej inicjatywy. Ja tylko wyjęłam domino. Wziął ode mnie pudełko i zabrał się do pracy.

Nawet determinacja, żeby unikać Rainwatera, nie umniejszyła jej dumy z powodu małego sukcesu Solly'ego ani nie nadszarpnęła optymizmu, z jakim patrzyła teraz w jego przyszłość.

- Dziękuję, że przyniosła mi pani ten artykuł medyczny do pokoju. Przeczytałem go po południu. Rozumiem, dlaczego wyniki tych badań tak panią poruszyły.

- Chciałabym znaleźć sposób, żeby ten specjalista mógł obejrzeć Solly'ego. To oczywiście niemożliwe, ale zastanawiam się, czy nie

poprosić doktora Kincaida, żeby opisał mu w liście cechy i zachowanie Solly'ego. Od czasu publikacji tego artykułu na pewno jest zasypywany prośbami od rodziców równie zdesperowanych jak ja. Ale może chętniej odpowie innemu lekarzowi niż zatroskanej matce.

- Jestem pewien, że Murdy zrobi to dla pani.

W milczeniu patrzyli, jak chłopiec układa klocki. Kiedy skończył, Rainwater pochwalił go:

- Brawo, Solly.

- Tak, Solly - przytaknęła. - Brawo.

- Wczoraj coś nam przeszkodziło i nie mogliśmy tego uczcić. - Rainwater wyjął zegarek kieszonkowy i sprawdził, która godzina. - Słdep jest otwarty do wpół do dziesiątej. Pojedźmy do miasta na lody.

- Już za późno.

- Trzeba to uczcić.

- Ostatnim razem, kiedy dałam Solly'emu lody w rożku, zdenerwował się, bo rozpuściły mu się w dłoni. Nie spodobało mu się, że jest upačkany.

- Wobec tego zamówimy lody w pucharku.

- Dziękuję panu, ale powinnam go już położyć do łóżka.

- Psze pani?

- Tu jestem, Margaret.

Na werandę weszła służąca, w kapeluszu i z torebką na ramieniu.

- Pójdę już, no chyba że ma pani dla mnie jeszcze jakąś robotę.

- Nie, dziękuję. Do zobaczenia rano.

- Próbuję namówić panią Barron, żeby pojechała z Sollym i ze mną do miasta na lody - wtrącił się Rainwater. - Może zgodziłaby się, gdyby pani też się z nami wybrała. Potem odwiozę panią do domu.

- Pan wie, że mnie nie wolno siadać w środku.

- Ani mi się śni siedzieć w środku - uspokoił ją. - Myślałem, żeby się przespacerować z lodami po placu.

- Już za późno na wyprawę do miasta - zaprotestowała Ella, ale oni nie zwracali na nią uwagi.

Margaret uśmiechała się promiennie do Rainwatera.

- Ja tam uważam, że nie ma to jak stare dobre waniliowe - rzuciła.

- Ja najbardziej lubię truskawkowe. A pani, pani Barron?

- Czekoladowe. Ale jest za późno...

- Pani się nie da prosić. Będzie ledwo dwadzieścia minut, jak się ściemniło, a na dworze tak przyjemnie - kusila Margaret. - Dlaczego pani nie pozwala, żeby pan Rainwater postawił Solly'emu lody?

Przechytrzył ją. Odmawiając, pozbawiłaby przyjemności także Margaret, bo Rainwater nie mógł spacerować po placu sam na sam z kolorową kobietą - w ten sposób naraziłby się na potępienie zarówno przez białych, jak i czarnych.

Pokonana, acz niespecjalnie zmartwiona z tego powodu, rzuciła:

- Wezmę tylko kapelusz.

Ella już wcześniej postanowiła, że nie pokaże się więcej w jego samochodzie. Gdyby ludzie często widywali ją w takiej sytuacji,

zaczęliby plotkować. Ale tego wieczoru na ulicach nie było wiele osób. Kiedy zaparkował przed sklepem, plac był wyludniony.

Mogła się obawiać plotek jedynie ze strony Doralee - nieładnej, a w związku z tym wciąż niezamężnej córki pana Geralda, która tego dnia obsługiwała klientów. Dziewczyna miała koszmarne wystające zęby i - zdaniem Elli - nadrabiała to paskudnym usposobieniem. Do wszystkich od razu odnosiła się obrzydliwie, nie dając im szansy, żeby potraktowali ją równie nieprzyjemnie.

Doralee zerkała na nich ciekawie przez szybę, kiedy wysiadali z samochodu i szli do sklepu.

- Solly i ja zaczekamy tu z Margaret - powiedziała Ella.

- Jaki smak wziąć dla Solly'ego?

- Waniliowe - odparła, pamiętając, jakiego wrzasku narobił, gdy upaść sobie ręce roztopionymi lodami. Wanilię łatwiej było zmyć.

- Dla pani czekoladowe?

- Bardzo proszę.

- Widzi mi się, że brat Calvin pracuje do późna - zauważyła Margaret, siadając obok Elli na ławce przed sklepem.

Ella spojrzała w ślad za jej wzrokiem na budynek Afrykańskiego Episkopalnego Kościoła Metodystycznego. Stał dwie przecznice dalej, przy Elm Street, która wytyczała granice rasowe w mieście. W środku paliły się światła, więc nawet z tej odległości było go widać między drzewami.

- Chyba naprawia to wybite okno - ciągnęła służąca w zadumie. - Za pieniądze z niedzielnej tacy.

Rainwater zatrzymał się w pół drogi do sklepu.

- Proszę do niego zajrzeć i poprosić, żeby się do nas przyłączył.

Margaret uśmiechnęła się do niego.

- Bardzo pan uprzejmy.

Wstała z ławki, przeszła na drugą stronę ulicy, ruszyła chodnikiem i skręciła za najbliższy róg.

Ella słyszała, jak Rainwater zamawia lody, również dla pastora.

- A jedno waniliowe poproszę w pucharku. Przejdziemy się po placu, ale obiecuję, że potem go odniosę.

- Mam do pana zaufanie, panie Rainwater.

Ella zachodziła w głowę, jak mu się udało rozbroić nawet uszczypliwą Doralee Gerald. Dziewczyna zwróciła się do niego po nazwisku, mizdrząc się niczym panna Pearl, którą Ella poprosiła przed wyjściem, żeby zaryglowała siatkowe drzwi.

Panna Pearl zaniepokoiła się, że zostanie z siostrą sama, i spytała, na jak długo wychodzą. Ella odparła, że wkrótce wrócą, żałując, że musi się spowiadać z czasu spędzanego z kimś, od kogo pobiera czynsz.

Solly siedział na ławce obok niej; gapiąc się w dal, kiwał się w przód i w tył i stukał butami, nie zważając na komara, który mu siadł na kolanie. Ella odgoniła owada. Solly wciąż się kiwał.

Środkiem ulicy przytruchtał chudy, na oko wygłodniały pies. Nie rozpoznawszy go, Ella spięła się, ale podreptał dalej, nie zaszczycając ich nawet spojrzeniem.

Zauważyła, że przecznicę dalej gasną światła w biurowcu. Po chwili z kancelarii wyszedł jedyny prawnik w mieście w towarzystwie sekretarki. Zamknął drzwi na klucz, a potem wsiedli do jego samochodu i odjechali. Jego żona od dziesięciu lat poruszała się na wózku. Krążyły plotki na temat charakteru stosunków, jakie łączyła go z młodą i ładną sekretarką.

- Proszę bardzo. - Rainwater przecisnął się przez drzwi z porcją lodów w szklanym pucharku dla Solly'ego i czekoladowymi w rożku dla Elli. - Panna Doralee nakłada...

Przerwał mu wrzask tak przeszywający, że nawet Solly zareagował - przestał się kiwać i stukać butami.

Ella zerwała się na równe nogi.

Rainwater upuścił obie porcje lodów na chodnik, przebiegł na drugą stronę ulicy i popędził w kierunku budynku Afrykańskiego Episkopalnego Kościoła Metodystycznego, bo najwyraźniej stamtąd dobiegł krzyk. Nie skręcił za róg, lecz wpadł w prześwit między sklepem spożywczym a pocztą.

Nocne powietrze rozdarł kolejny krzyk.

Ella chwyciła Solly'ego za rękę i pobiegła za Rainwaterem. Gdy dotarli na drugą stronę ulicy, musiała wlec syna za sobą, wbiegając w prześwit, w którym zniknął Rainwater. Wychodził on na szerszą alejkę, biegnącą do następnej przecznicy na tyłach budynków biurowych.

Alejka była zryta głębokimi koleinami i zaśmiecona odpadkami przyciągającymi szczury, bezpańskie koty i żerujących nocą

padlinożerców. Jej środkiem pędziło dwóch mężczyzn, zwróconych do Elli plecami. Jeden z nich potknął się o śmietnik, ale nie przerwał biegu.

Ella zauważyła, że w parkanie zagrządzającym alejkę brakuje kilku desek, co umożliwiło przejście. Ściskając dłoń syna, precyzyjnie się między sztachetami, zastanawiając się, czy to Rainwater zrobił wyłom w płocie, przebiegając tędy chwilę wcześniej.

Po drugiej stronie parkanu znajdowało się podwórko na tyłach opuszczonego domu, który w ciemności wydawał się jeszcze bardziej zaniedbany i zrujnowany niż w rzeczywistości. Nie zwalniając, Ella utorowała sobie drogę między chwastami na wyboistym terenie. Serce podchodziło jej do gardła, płuca paliły z wysiłku.

Oak Street nadjeżdżał jakiś samochód. Przebiegając z Sollym przez ulicę, znalazła się w świetle jego reflektorów. Usłyszała pisk hamulców, ale nie zatrzymała się, żeby przeprosić wystraszonego kierowcę za wtargnięcie pod koła.

Nadrabiała dystans do Rainwatera. Wciąż biegł, ale wyglądał, jakby chwyciła go kolka. Trzymał się za bok, przecinając Elm Street, i wpadł na teren przykościelny. Gdy wchodził po schodach do drzwi kościoła, Ella była już kilka kroków za nim. Krzyki w środku przeszły w lament.

Przed wejściem do środka Rainwater odwrócił się do Elli.

- Nie patrz na to.

Ostrzegł ją zbyt późno. Przez otwarte drzwi zobaczyła, jak brat Calvin zwisa z belki stropowej, z zadzierzgniętym na szyi sznurem.

Margaret była zrozpaczona.

Kucała, więc Rainwater pomógł jej wstać i przeprowadził ją przez próg na schody. Ella usiadła obok niej na górnym stopniu, przytuliła ją i szeptała słowa pociechy, zdając sobie sprawę, że są banalne i na nic się nie dadzą.

Ella i Rainwater pierwsi dobiegli do kościoła, ale ze wszystkich stron nadciągali inni przedstawiciele kolorowej społeczności, zaalarmowani krzykami Margaret.

Rainwater zamknął drzwi kościoła, lecz wisielca bez trudu widać było przez okna. Ponad cichy szmer stłumionych głosów wybijały się okrzyki odrazy i oburzenia. Niektórzy płakali. Dzieci, które normalnie biegałyby dookoła, goniąc świetliki, teraz stały grzecznie, wybałuszając oczy na oświetloną świątynię. Pies, którego Ella widziała wcześniej, ujadł wściekle.

Przy krawężniku zatrzymał się samochód i wysiadł z niego ten sam prawnik, który kilka minut wcześniej wyszedł z kancelarii. Staął z boku - niewątpliwie był przejęty, ale nie na tyle, żeby się w to mieszać. Nagle dostrzegł Ellę.

Niechętnie przecisnął się przez tłum. Podchodząc do schodów kościoła, zdjął kapelusz.

- Pani Barron? Lillian i ja usłyszeliśmy krzyki. Omal nie przejechałem pani i pani syna.

- Zlinczowano pastora, panie Whitehead.

- Och! - Wypowiadając to słowo, jęknął z głębokim zalem i współczuciem.

Ella natychmiast pożałowała, że w ogóle słuchała plotek o nim i jego sekretarce.

- Czy mógłby pan zawiadomić szeryfa? - poprosił Rainwater.

Prawnik spojrzał na niego ponad ramieniem Elli i najwyraźniej wyczuł w nim opanowanego dowódcę.

- Już się robi, proszę pana. - Włożył kapelusz i pobiegł do samochodu, w którym czekała na niego zaniepokojona sekretarka.

Rainwater przyklęknął obok Elli. Twarz miał zlaną potem, był blady. Przypomniała sobie, jak biegł nierównym kłusem, trzymając się za bok.

- Boli pana?

Pokręcił głową.

- Zabrakło mi tchu. Proszę, to kluczyki od mojego samochodu. - Rozwarł jej palce i wcisnął kluczyki w dłoń. - Zaczekam na szeryfa. Proszę odwieźć Margaret do domu. A potem może pani wrócić po mnie.

- Czy szeryf nie będzie jej chciał przesłuchać? Zeznania mogą mi być potrzebne do śledztwa.

Zacisnął usta w wąską kreskę.

- Żadnego śledztwa nie będzie.

Podjeżdżając przed dom Margaret, Ella zdziwiła się na widok tłumu jej krewnych i przyjaciół. Chociaż właściwie nie powinna być zaskoczona. Wieści o takiej tragedii rozchodziły się błyskawicznie.

Mężczyźni stali na podwórku, paląc papierosy i rozmawiając między sobą. Dzieci, za młode, żeby rozumieć, co się stało, spały na wyłożonych na werandę siennikach. Starsza kobieta, z fajką z korzenia kukurydzy sterczącą z kącika bezzębnych ust, wachlowała śpiące maluchy gazetą.

Pozostałe kobiety czekały w domu na powrót Margaret. Ella zostawiła Solly'ego na przednim siedzeniu samochodu, gdzie wyraźnie dobrze się czuł, i pomogła wysiąść służącej. Mężczyźni zdjęli kapelusze i z szacunkiem odsunęli się na bok, gdy Ella prowadziła Margaret na werandę.

Jimmy, oczko w głowie matki, czekał na nią tuż za drzwiami. Gdy tylko weszły do domu, załkała z żalu i padła mu w ramiona. Otoczyły ich inne kobiety, które przybyły, żeby pomóc i razem z nią dzielić jej ból.

Ella zawróciła, wiedząc, że zostawia Margaret w dobrych rękach. Gdy wyszła na werandę, Jimmy ruszył za nią.

- Dziękuję, pani Barron - powiedział.

- To dla niej straszne przeżycie, Jimmy. Tak bardzo ceniła brata Calvina. Jak zresztą my wszyscy.

- Rozumiem, psze pani. - Przez chwilę spoglądał na podwórko, po czym znów popatrzył na nią. - Wszyscy wiemy, kto to zrobił.

Młody człowiek był bardziej rozgniewany niż zasmucony. Widząc jego gniew, Ella się wystraszyła. Spojrzała na niego błagalnie.

- Jimmy, nie wpakuj się w jakieś kłopoty. Gdyby coś ci się stało, twoja matka by tego nie przeżyła.

- Będę ostrożny.

Nie złożył obietnicy, że nie będzie szukał zemsty za ten lincz, ale wiedziała, że nie ma prawa go pouczać.

- Przekaż Margaret, żeby nie przychodziła do pracy, dopóki nie poczuje się na siłach.

- Dobrze.

- I daj mi znać, kiedy odbędzie się pogrzeb.

- Jeszcze raz dziękuję, że ją pani odwiozła. - Nagle spojrzał na nią ze zdziwieniem. - Jak to się stało, że byliście razem w mieście?

Wyjaśniła mu, że Rainwater zabrał ich na lody i wysłał Margaret z zaproszeniem do brata Calvina. Jimmy zwiesił głowę, a kiedy po chwili podniósł wzrok, w oczach Elli zobaczył łzy. Podziękował jej jeszcze raz, odwrócił się i wszedł do domu.

- Był bardzo wzruszony dobrocią, jaką okazywał pan jego matce - poinformowała Ella Rainwatera, zdając mu relację z tego, co działo się, gdy odwiozła Margaret. - Nie mogłam uwierzyć, że tyle osób dowiedziało się już o linczu i zebrało się w jej domu.

Kiedy po niego wróciła, w kościele była już tylko garstka ludzi. Przed wejściem stał samochód szeryfa. Szeryf rozmawiał właśnie z sędzią pokoju, którego wezwano, żeby oficjalnie potwierdził zgon brata Calvina. Wokół snuło się kilku ciekawskich gapiów.

Rainwater stał na uboczu, przy jezdni. Gdy Ella zahamowała, od razu wsiadł do samochodu, nie zamieniając się z nią przy kierownicy. Teraz zerknął na Solly'ego, który potulnie siedział między nimi.

- Wygląda, jakby był śpiący.

- Biegł ze mną przez całą drogę ze sklepu do kościoła. Wykazał się dużą dojrzałością. Zachował się wspaniale.

- Być może wyczuł, że pani go potrzebuje.

- Możliwe.

Zanim dojechali do domu, Solly zasnął. Elli było tak dobrze z jego główką spoczywającą lekko na jej ramieniu, że najchętniej wcale by nie wysiadała.

- Zaniosę go - powiedział Rainwater.

Delikatnie wziął chłopca na ręce, uważając, żeby go nie zbudzić.

Siostry Dunne razem przybiegły do drzwi, żeby ich wpuścić do środka. Miały na sobie koszule nocne, pantofle i siatki na włosy. Trajkotały, przekrzykując się nawzajem.

- Odchodziłyśmy od zmysłów ze strachu! - zawołała panna Pearl.

- Czy w mieście coś się stało? Słyszałyśmy syreny.

- Panie Rainwater, kiepsko pan wygląda.

Ella popatrzyła na niego. Jak słusznie zauważyła panna Violet, wyglądał marnie.

- Czy chłopcu coś się stało?

- Nie, panno Pearl. Po prostu zasnął. A mnie nic nie jest, trochę się tylko zasapałem. - Rainwater minął je, niosąc Solly'ego do pokoju.

Ella ruszyła za nim.

- Możecie panie wracać do łóżka - rzuciła przez ramię. - Po drugiej stronie miasta były... kłopoty. Wezwano szeryfa Andersona. Teraz już wszystko jest w porządku. - Wkrótce i tak się dowiedzą o zlinchowaniu pastora i o tym, że to Margaret znalazła jego zwłoki, ale dziś wieczór nie chciała się wdawać w tłumaczenie im, co i jak. - Przykro mi, że musiały panie czekać na nasz powrót i nie mogły pójść spać o zwykłej porze.

- I tak byśmy nie zasnęły, skoro Bóg jeden wie, co się wyrabiało w dzielnicy kolorowych.

Ella powstrzymała się od gniewnej riposty. Siostry były stare. Ich prymitywna postawa wynikała z niewiedzy, ale była zbyt głęboko zakorzeniona, żeby ona zdołała ją zmienić.

- Życzę paniom dobrej nocy. Do zobaczenia przy śniadaniu.

Zostawiła je u stóp schodów i poszła dalej, do prywatnej części domu. Rainwater stał na środku jej pokoju, trzymając Sollyego na rękach.

- Tam. - Ella wskazała pokoik, w którym sypiał Solly.

Rainwater przecisnął się przez wąskie drzwi i delikatnie położył chłopca na łóżku. Ella ściągnęła synowi buty, ale darowała sobie piżamę i pozwoliła mu spać w ubraniu.

- Dziękuję panu.

- Posiedzi pani ze mną na werandzie?

- Raczej nie. Już późno.

- Bardzo proszę. Muszę pani coś powiedzieć.

Rozdział siedemnasty

- Conrad Ellis został powołany na zastępcę szeryfa.

Oznajmił jej to w chwili, gdy ledwie weszła na werandę, zanim jeszcze zdążyła usiąść.

- Co takiego?

- Niestety, uszy pani nie mylą. Szeryf mianował go swoim zastępcą. Z pewnością na jego prośbę.

Zaskoczona tą nowiną, podeszła do barierki, na której stały w równiutkim rzędzie klocki domina.

- Skąd pan wie?

- Przyjechał z szeryfem, z odznaką na piersi i karabinem w ręku. Postarał się, żebym zauważył jedno i drugie. Dostał nawet zaszczytu odcięcia brata Calvina.

- Z belki, na której sam go powiesił.

- To prawie pewne.

Odwróciła się. Spoglądali na siebie z oddali. W obliczu tak skrajnej niesprawiedliwości Elli zabrakło słów. Rainwater najwidoczniej także nie miał nic do powiedzenia. Był wyraźnie przybity i zmęczony. Miał ściągniętą twarz. Ella zwróciła uwagę, że wstając, trzymał się za bok. Podeszedł do siatkowych drzwi, otworzył je i spojrzał na nią.

- Nie muszę pani tłumaczyć, co to oznacza.

- Mając taką władzę, Conrad może sponiewierać każdego, a i tak mu się upiecze.

- Musi pani zachować ostrożność.

- Pan również.

Skinął głową i wszedł do domu.

Zdjęła po kolei klocki domina z poręczy i starannie odłożyła je do pudełka. Solly doceni taki porządek. Ta myśl wywołała uśmiech na jej twarzy. A jednak pomimo uśmiechu wyrwał jej się niezapowiedziany szloch. Zamknęła pudełko i przycisnęła je do piersi, jakby to było koło ratunkowe w oceanie smutku.

Łzy napłynęły jej do oczu i pociekły po twarzy. Jedną ręką zakryła usta, żeby stłumić szlochanie, ale nie dało się ujarzmić. Płakała z powodu Margaret, która miała nieszczęście dokonać tego upiornego odkrycia. Płakała z powodu brata Calvina - miłego, hojnego i dzielnego idealisty.

Podziwiała go, że postawił się Conradowi i zagroził mu wiecznym potępieniem, chociaż była świadoma, że zginął właśnie z powodu szczerości w wyrażaniu opinii. Jaki los czeka jego młodą żonę? Czy wiedziała, że przez fanatyków została wdową?

Płakała z powodu Jimmy'ego, który w rezultacie tego zdarzenia stanie się zgorzkniały i wściekły, przepelniony nienawiścią i żądzą zemsty. Opłakiwała Olliego i Lolę. Hatcherów i Pritchettów. A także wszystkich innych, zmuszonych do zniszczenia stad, żeby nie stracić swoich domów i farm, które przecież utrzymywały się z bydła. Do płaczu doprowadzała ją okrutna, przedziwna ironia tego wszystkiego.

Płakała nad biedną Doralee Gerald, w której pechowym życiu prawdopodobnie nic się nie zmieni na lepsze i która zestarzeje się

jako wieczny obiekt kpin bądź litości. Uroniła nawet łezkę współczucia dla pana Whiteheada, prawnika, którego prawie nie знаła, ale który wyglądał na porządnego człowieka w beznadziejnie smutnej sytuacji, stojącego wobec moralnego dylematu.

W końcu łzy się wyczerpały i przestała szlochać. Jeszcze rano była z siebie dumna, że potrafi się powstrzymać od płaczu. Ale najwyraźniej straciła tę umiejętność. Wybuchiała płaczem coraz częściej... i coraz bardziej gwałtownie. Przeplakała noc w pokoju Solly'ego po tym, jak jego atak szału w związku ze szpulkami przerwał panom grę w szachy. Ubiegłej nocy zalała się łzami, kiedy Rainwater dał jej w prezencie książkę. Ale dzisiejszy płacz był jak dotąd najsilniejszy. Musi odwrócić ten trend. Od zaraz.

Weszła do domu, zarygnowała siatkowe drzwi i obesła wszystkie pokoje, sprawdzając pozostałe drzwi i gasząc światła. W swoim pokoju rozebrała się do halki i narzuciła letni szlafroczek. Wstydząc się czerwonych, zapuchniętych oczu, przemywała je zimną wodą, dopóki nie odzyskały normalnego wyglądu, potem wyszorowała zęby i na koniec wyjęła spinki z włosów, rozpuszczając ciężki kok.

Kiedy ścieliła sobie łóżko, rozległo się pukanie do drzwi, tak ciche, że w pierwszej chwili uznała, że się przesłyszała. Jednak pukanie się powtórzyło, równie ciche, ale wyraźne. Sprawdziła, czy pasek szlafroka jest dobrze zawiązany, podeszła do drzwi i uchyliła je odrobinę.

- Pan Rainwater.

Zaniepokojona, otworzyła drzwi szerzej i zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów, zastanawiając się, czy jego dolegliwość w boku to była rzeczywiście kolka i czy naprawdę tylko się zasapał.

- Usłyszałem pani płacz.

- Aha.

- Mój pokój jest dokładnie nad werandą.

- A, tak.

- Miałem otwarte okna.

- Nie wiedziałam. Przepraszam, że zakłóciłam panu spokój.

- Nic podobnego. Nie w ten sposób, o jakim pani myśli.

Po chwili zapytał, dlaczego płakała.

- Zachowałam się głupio.

Nic nie powiedział, tylko stał i obserwował jej twarz, cierpliwie, czy może raczej uparcie czekając na wyjaśnienie.

Wykonała bezradny gest ręką.

- Z kilku powodów.

- Na przykład?

- Życie jest...

- Jakie?

- Takie okrutne, bolesne, smutne. Zastanawiałam się dlaczego. - Oczywiście największą niesprawiedliwością był jego stan zdrowia. Gdy sobie o tym przypomniała, łzy znów napłynęły jej do oczu, więc starła je niecierpliwie grzbietem dłoni. - Dziękuję, że pan się o mnie martwi, ale nic mi nie jest.

- Doprawdy?

Spojrzała mu w oczy, ale widocznie jej kiwnięcie głową nie wypadło przekonująco, bo nawet nie drgnął. Ona też nie. Patrzyli sobie w oczy tak długo, aż poczuła podobny ucisk w piersi jak ubiegłej nocy, kiedy ścisnęła w dłoniach książkę od niego. Krew w jej żyłach niemal buzowała, oczy znów zaszyły łzami i musiała zagryźć dolną wargę, żeby przestała drzeć.

Zbliżył się do niej o krok. Zobaczyła, jak jego usta układają się w słowo „Ella”, ale go nie usłyszała, tak bardzo puls dudnił jej w uszach. Powoli uniósł ręce, ujął jej twarz w dłonie tak, by dopasowały się do kształtu policzków. Pochylił głowę. Czując na twarzy jego ciepły oddech, jęknęła cicho. Musnął wargami kącik jej ust.

Wstrzymała oddech.

Pocałował ją w drugi kącik ust. Zamknęła oczy, wyciskając łzy; mokre i gorące spłynęły po policzkach.

- Nie płacz - szepnął.

Muśnięcie jego warg obudziło w niej dawno uspięne pożądanie. Nie narastało stopniowo, nie ożywało sennie po długim spoczynku. Wybuchło. Kiedy więc pocałował ją naprawdę, zaczęła wydawać tak pożądliwe dźwięki, że wepchnął ją do pokoju i delikatnie zatrzasnął nogą drzwi.

Opierając się o nie plecami, przyciągnął ją do siebie i stali tak bez końca, przytuleni. Upajała się poczuciem, że jest w jego objęciach, i szybkim oddechem, którym omiatał jej szyję. Oparła się o niego, czując twardość jego kości i ciała.

Wcisnęła twarz w wycięcie jego rozpiętego kołnierzyka i dotknęła wargami szyi. Miał ciepłą skórę. Głęboko wdychała jego zapach, już od dawna znajomy, ale zakazany aż do tej chwili, kiedy przestała się wreszcie hamować, i upajała się nim, nasiąkała, wchłaniała go i zapamiętywała na całe życie.

Odsunął ją od siebie, przeczesał dłońmi jej włosy i patrzył, jak niesforne kosmyki świętują swoją wolność, owijając się wokół jego palców. Wyraźnie fascynowały go jej bujne włosy, ich jedwabistość i długość, i miała wrażenie, że najchętniej bawiłby się nimi godzinami.

A potem zatopił w niej wzrok. Te niesamowite oczy. Niebieskie, przejrzyste - najpiękniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziała i jakich już nigdy nie zobaczy. Była tego pewna.

- Kocham cię, Ello.

Zamknęła oczy zaledwie na kilka sekund, a kiedy znów je otworzyła, szepnęła drżącym głosem:

- Wiem.

- Nigdy nie zrobiłbym ci krzywdy.

- Na pewno nie.

- Więc jeśli każesz mi wyjść, wyjdę.

Oparła policzek o jego pierś.

- Gdybyś mnie teraz zostawił, nie przeżyłabym tego bólu.

Wyszeptał jej imię, uniósł głowę i złożył pocałunek na ustach. Ella miała wrażenie, że umrze z rozkoszy. A wtedy on puścił jej twarz i rozwiązał pasek szlafrocza. Kiedy wsunął ręce pod materiał i objął ją w talii, poczuła nacisk jego długich palców i uświadomiła sobie, że

pocałunek jest za ledwie preludium do rozkoszy, jaką on pragnie jej dać. A kiedy przesunął dłońmi po śliskiej halce, muskając od spodu piersi, była już tego pewna.

Nie miała lustra, zresztą w łazience było za ciemno, żeby się mogła przejrzeć, ale patrząc na jego twarz, wiedziała, że jej oczy na pewno aż lśnią z zachwytu.

- Nie miałam pojęcia.

On z takim samym skupieniem wpatrywał się w jej twarz.

- O czym?

- Że mogę, że ktokolwiek może doświadczyć czegoś tak niezwykłego i to przetrzymać. Jak to możliwe?

- Stwórca miał chwilę natchnienia.

Uśmiechnęła się, trąciła nosem jego ramię i położyła na nim głowę.

- Z moim mężem tak nie było. Całkiem inaczej. Nawet nie potrafię porównać jednego przeżycia do drugiego. Może dlatego, że go nie kochałam.

- Skoro go nie kochałaś, dlaczego za niego wyszłaś?

- Wcześniej dałam już kosza Conradowi. Chyba się bałam, że jeśli będę odrzucała kolejnych zalotników, wkrótce ich zabraknie. Nie chciałam skończyć jako stara panna, która prowadzi pensjonat - odparła i w zamyśleniu dorzuciła: - Choć właściwie i tak wyszło na to samo.

- Masz Solly'ego.

- Tak.

Ujął kosmyk jej włosów i przesunął go między palcami.

- Ello, mąż też pewnie cię nie kochał. Inaczej by cię nie zostawił.

- A ja myślę, że jednak mnie kochał. Na swój sposób. Po prostu nie mógł znieść tego, co działo się z Sollym. Pewnie był zagubiony, bo nic na to nie mógł poradzić. Może uważał, że Solly wystawia mu złe świadectwo. Albo zajrzał w przyszłość, zobaczył, jak będzie wyglądało życie z takim dzieckiem, i po prostu musiał uciec. Ale pewnie nigdy się nie dowiem, co tak naprawdę skłoniło go do odejścia.

- Nie wiesz, czy żyje, czy umarł?

Pokręciła głową, a potem odsunęła się trochę i uśmiechnęła się blado.

- Całkiem możliwe, że jestem cudzołożnicą. Ale popełniłam dzisiaj ten grzech rozmyślnie i z wielką przyjemnością. - Jej oczy znów zaszyły łzami. - Czy moja miłość do ciebie to kara boska za grzechy?

Przesunął palcem po jej wargach i przyciągnął ją do siebie.

- Nie, Ello. To Jego błogosławieństwo.

Nastąpiło to, co nieuchronne - wstał nowy dzień.

Ella obudziła się, ledwo niebo na wschodzie poszarzało. Leżała bez ruchu, napawając się dotykiem przytulonego do niej ciała, cichym oddechem Rainwatera i świadomością, że nawet gdyby żyła sto lat, nigdy nie zapomni, jak cudowny był ten świt.

Obudziła go niechętnie. Jęknął w proteście, lecz wiedział, że musi opuścić jej pokój, zanim ktoś ich nakryje. Zaśmiewali się, kiedy najpierw po ciemku szukał swojego ubrania, potem krzywo zapiął guziki koszuli i musiała je rozpiąć i zapiąć od nowa.

- Pośpiesz się - rzuciła, tłumiąc śmiech, gdy popychała go do drzwi i podawała mu buty. - Chyba nie chcesz, żeby siostry Dunne cię przyłapały, jak wymykasz się z mojej sypialni?

- Skąd wiesz, czy wcześniej nie wymykałem się od nich?

To znów wywołało u niej napad wesołości i musiała zakryć usta, żeby powstrzymać chichot. Odsunął jej dłoń i spróbował ją pocałować, ale się uchyliła.

- Idź już! Chcę się wykapać, zanim się wezmę do pracy.

- Czujesz się nieczysta?

- Nie, obolała. - Pomimo mroku zobaczyła jego uśmiech. Lekko klepnęła go w ramię. - No i coś ty taki z siebie zadowolony? - Zanim zdążyła zaprotestować, pocałował ją jeszcze raz, ale gdy ta zabawa szybko zaczęła się przeradzać w coś więcej, odepchnęła go. - Jeśli chcesz dostać bułeczki na śniadanie...

- Już sobie idę.

Pierwszy zszedł na parter. Zdążył się umyć, ogolić i przebrać. Pożerała go wzrokiem, nie mogła się na niego napatrzeć i żałowała za każdym razem, gdy podając śniadanie, musiała wychodzić po coś do kuchni.

Brakowało jej pomocnej dłoni Margaret, ale właściwie cieszyła się, że tego dnia się nie zjawiała. Margaret z całą pewnością by spostrzegła, że Ella się zmieniła, że zmienił się dom, wszystko.

Za każdym razem, gdy spoglądali sobie z Rainwaterem w oczy, atmosfera iskrzyła, wyczuwało się niewidzialne prądy. Będąc w pobliżu niego, za każdym razem pragnęła go dotknąć i powstrzymywała się tylko dzięki nadludzkiej sile woli. Wiedziała, że z nim jest podobnie - patrzył na nią z nieskrywanym pragnieniem, śledził wzrokiem każdy jej ruch.

Siostry najwyraźniej nie dostrzegły różnicy, jaka nastąpiła z dnia na dzień, co Elli nie mieściło się w głowie. Dla niej było oczywiste, że nic nie pachniało, smakowało, brzmiało i nie wyglądało tak samo jak zaledwie kilka godzin wcześniej.

Mogłaby przysiąc, że słyszy krew krążącą w jej żyłach, jak gdyby tamy utrzymujące ją przez całe życie puściły, otwarły się pod dotykiem Rainwatera. Jej pięć zmysłów się wyostrzyło. Zakończenia nerwowe stały się bardziej wrażliwe. Czowała mrowienie skóry, ciało miało tak cudownie obolałe jak jeszcze nigdy dotąd.

Czy te przemożne odczucia fizyczne są tym, co kaznodzieje zwą pożądaniem? Jeśli tak, to dopiero teraz zrozumiała, dlaczego ostrzega się przed tym ze wszystkich ambon jak świat długi i szeroki. Działały o wiele silniej niż najwspanialszy narkotyk, odurzały bardziej niż najmocniejszy trunek. Pojęła teraz, jak łatwo i ochoczo można im ulec i podporządkować całe swoje życie.

Nie wiedziała, nawet sobie nie wyobrażała, że to, co mężczyźni i kobiety robią razem, może być tak oszałamiająco cudowne, tak piękne dla ciała, umysłu i duszy.

Szybko uporała się z obowiązkami, żeby jak najszybciej spędzić trochę czasu z synem i Rainwaterem. Po lunchu wymyślił, że ma coś do załatwienia, i zaprosił ją i Solly'ego, żeby wybrali się razem z nim. Był to pretekst, żeby całą trójką wyjść z domu; wyjaśnienie, które nie powinno wzbudzić podejrzeń sióstr Dunne.

Pojechali za miasto i znaleźli przyjemne, ocienione miejsce pod kępą drzew orzesznika, rosnącą nad potokiem. Rozłożyli koc. Przez pewien czas Rainwater wciągał Solly'ego w zabawy kartami, które wymyślał na oczekaniu. Oboje nie mogli się nadziwić postępom chłopca.

- Ello, on zaczyna rozumieć pojęcia - rzucił z podnieceniem, gdy Solly prawidłowo rozwiązał podrzucone mu zadanie. - Jestem pewny.

- Ja też.

Równie pewna była tego, że Solly nie zaszedłby tak daleko, gdyby nie Rainwater, co z jednej strony powodowało, że wstydziła się swojej porażki, a z drugiej była mu wdzięczna, że tak uprzejmie zajął się jej synem. Nie była już o to zazdrosna, przeciwnie - dozgonnie wdzięczna.

Nie udało im się jednak skusić Solly'ego, żeby wszedł z nimi do potoku. Kiedy chcieli mu zdjąć buty, wyraźnie się zdenerwował, więc wrócili na koc i dali mu talię kart. Bawił się nimi, a Rainwater złożył głowę na kolanach Elli i czytał jej na głos powieść Hemingwaya.

W pewnej chwili przerwał, odchylił głowę do tyłu i widząc łzy w jej oczach, powiedział:

- Jeszcze nie doszedłem do smutnej części.

- Nie płaczę z powodu tej historii ani dlatego, że jest mi smutno. - Zerknęła na Sollyego, który wpatrywał się w gałęzie drzew, jakby zahipnotyzował go wzór utworzony przez liście na tle nieba. Ten sam wzór odbijał się w oczach Rainwatera, gdy znów na niego spojrzała. - Nie pamiętam w moim życiu ani jednej chwili, kiedy byłam tak szczęśliwa jak teraz. A wszystko dzięki tobie.

Usiadł i przytulił ją. Pocałowali się. Wprawdzie delikatnie, ale do końca siedzieli objęci, pławiąc się w mglistym popołudniowym skwarze i w miłości, którą odnaleźli wtedy, kiedy najmniej się tego spodziewali.

Ella musiała się śpieszyć, żeby zdążyć z podaniem kolacji o wpół do siódmej. Gnębiona poczuciem winy, zrzuciła na nieobecność Margaret to, że posiłek jest na zimno - szynka w plastrach i rozmaite sałatki. Siostrze Dunne najwyraźniej to nie przeszkadzało, zapewne dlatego, że Rainwater poświęcał im więcej uwagi niż zwykle i wciągnął je w rozmowę na temat różnic między uczniami dzisiaj a tymi, których one uczyły kilkadziesiąt lat wcześniej.

Czy naprawdę istnieją dowody na moralny upadek młodzieży amerykańskiej? Dzięki dyskusji, którą wywołał, nie zwróciły uwagi na brak gorących dań.

Ella kończyła właśnie zmywać naczynia, gdy do tylnych drzwi zapukał Jimmy, który przyniósł wiadomość.

- Pogrzeb brata Calvina jest jutro o piątej po południu.
- Dlaczego tak późno? - spytała.
- Żeby uczestnicy potem mogli zjeść kolację na dziedzińcu.

Po niedzielnym nabożeństwie zwykle organizowali pikniki dla tych, którzy zajmowali się grobami bliskich na przylegającym do kościoła cmentarzu. Wszyscy przynosili coś do jedzenia, a potem się tym dzielili na kościelnym dziedzińcu.

- Ceremonia odbędzie się w kościele?
- Uważamy, że to najstosowniejsze miejsce.

Ona też tak uważała, chociaż nie sądziła, żeby ktoś, kto wejdzie do świątyni, mógł nie myśleć o młodym pastorze zwisającym z belki stropowej. Może ta ceremonia była próbą oczyszczenia tego miejsca, uwolnienia go od piętna.

- Jak się trzyma twoja matka?
- Jest zdruzgotana.
- Tak jak my wszyscy.
- Z całym szacunkiem, proszę pani, nie wszyscy.

Później przytoczyła tę rozmowę Rainwaterowi.

- Martwię się o Jimmy'ego i innych chłopców. Mam nadzieję, że nie spróbują się zemścić.

- Też mam taką nadzieję, bo to by tylko spowodowało więcej kłopotów, prawdopodobnie doszłoby do rozlewu krwi. Ale skoro prawo ich zawiodło, trudno się dziwić, że pragną odwetu.

Obawy Elli potwierdziły się wieczorem.

Siedziała z Rainwaterem w saloniku, w przyzwoitej odległości, nie mogąc się doczekać, kiedy siostry Dunne pójda wreszcie na górę. Rainwater oderwał się od lektury czasopisma, odłożył je i podszedł do okna.

- Coś się pali.

Ella przestała cerować i stanęła obok niego przy oknie. Na tle nocnego nieba odcinały się płomienie.

- To gdzieś koło szosy.

W tym momencie zadzwonił telefon. Gdy Ella ruszyła odebrać, panna Pearl stanęła w łukowatym wejściu do prywatnego saloniku.

- Proszę pani, czujemy dym.

- Coś się pali w mieście.

- O mój Boże! - załkała panna Violet, która dołączyła do siostry, trzymając w pokrytej starczymi plamami dłoni karty do gry.

Ella odebrała telefon. Dzwonił Ollie Thompson, więc wstrzymała oddech w obawie, że będzie chciał rozmawiać z Rainwaterem i wezwie go na miejsce kolejnego kryzysu. Ale on chciał tylko przekazać informacje. Podziękowała mu i się rozłączyła. Odwiesiła słuchawkę, odwróciła się i zobaczyła, że trójka jej lokatorów stoi w korytarzu, czekając na wieści.

- To był Ollie. Wiedział, że pewnie poczuliśmy dym. Chciał nam powiedzieć, że pali się warsztat samochodowy Packy'ego Simpsona.

- Szkoda - skwitowała panna Pearl. - To taki miły czarnuch. Na nasz widok zawsze uchyla kapelusza, prawda, siostrzyczko?

Nie zwracając na nie uwagi, Ella spojrzała na Rainwatera.

- Jak do tego doszło? - zapytał.

- Szeryf oskarżył go, że zostawił w popielniczce zapalonego papierosa. Ale pan Simpson zażywa tabakę. On nie pali. - Odczekała, aż ta informacja dotrze do niego, i ciągnęła: - Warsztat spłonął doszczętnie, ale on i tak się cieszy, że ogień nie przeniósł się na dom. Oba budynki dzieli niecałe dwadzieścia metrów.

Siostry poczłapały do prywatnego saloniku dokończyć partyjkę remika. Ella ruchem ręki zaprosiła Rainwatera do pierwszego salonu. Solly siedział na dywanie tam, gdzie go zostawiła, i układał szpulki.

- Pan Simpson jest diakonem w kościele brata Calvina - wyjaśniła na tyle cicho, żeby stare panny nie mogły jej podsłuchać. - Na jutrzejszym pogrzebie ma nieść trumnę.

Rainwater spoglądał na nią przez dłuższą chwilę.

- Skąd dzwonił Ollie? - zapytał.

- Ze sklepu. Ludzie zebrali się tam i obserwowali pożar. Ollie wiedział, że należy nas zawiadomić.

Odwrócił się i ruszył do drzwi frontowych. Ella pobiegła za nim.

- Wychodzisz?

- Chcę porozmawiać z tymi, którzy są jeszcze w sklepie. Może się czegoś dowiem. To nie przypadek, że warsztat Murzyna płonie dzień po tym, jak inny Murzyn został zlinchowany.

Przyznawała mu rację, ale serce ścisnęło jej się z niepokoju.

- Proszę cię, nie wychodź.

- Niedługo wrócę. - Włożył kapelusz.

- Boli cię bok.

- Słucham?

- Od popołudnia. Zauważyłam to, ale się nie dopytywałam, bo nie chciałam cię złościć.

- Nic mi nie jest.

- Pozwolisz, że zadzwonię po doktora Kincaida?

Uśmiechnął się, rozbawiony jej desperackimi próbami, żeby go zatrzymać.

- Niedługo wrócę.

Gdy przestępował próg, złapała go za rękę.

- Obiecuj mi, że będziesz ostrożny.

- Obiecuję. - Zerknął za nią, sprawdzając, czy nikogo nie ma, a potem szepnął: - Zobaczymy się później.

Rozdział osiemnasty

Później - dużo później - usłyszała jego samochód. Do tej pory zdążyła położyć Solly'ego spać, dokończyła cerowanie, przygotowała jedzenie na następny dzień, a także doprowadziła się do absolutnej hysterii, która minęła natychmiast, gdy tylko otworzyła siatkowe drzwi i wpuściła go do środka.

- Nic mi się nie stało. Po tym, jak zamknięto sklep, część z nas kręciła się po okolicy. Staraliśmy się rzucać w oczy, licząc na to, że dzięki temu obędzie się bez kolejnych incydentów. I do niczego już nie doszło.

- Bogu dzięki!

- Tak, ale wszyscy się zgadzają, że podpalenie warsztatu miało być ostrzeżeniem dla całej społeczności murzyńskiej, żeby nikt nie próbował pomścić brata Calvina. Jak się domyślasz, pan Simpson bez ogródek wyrażał swoje zdanie na temat linczu. Podczas dzisiejszej modlitwy w południe prosił, żeby gniew Boży dosięgnął wszystkich winnych zamordowania pastora. Nawiasem mówiąc, szeryf Anderson uznał tę śmierć za samobójstwo.

- To śmieszne.

- Ludzie i tak wiedzą swoje. Stąd to napięcie.

Ella, mocno zaniepokojona sytuacją w miasteczku, z egoistyczną ulgą przyjęła powrót Rainwatera w dobrej formie. Już chciała zarzucić mu ręce na szyję i to wyznać ale powstrzymał ją drżący głos dobiegający ze szczytu schodów.

- Pani Barron, czy w mieście panuje spokój?

Odwróciła się i ujrzała nie jedną, lecz obie siostry Dunne, które przyglądały im się nad balustradą.

- Tak, wszystko w porządku - odparła, próbując nie okazywać rozczarowania. Liczyła na to, że Rainwater zaraz po powrocie pójdzie do jej pokoju. Ale teraz nie było to możliwe. Miała ochotę zwymyślać siostry, że ukradły jej czas przeznaczony dla niego, a jednak spokojnie oznajmiła: - Pan Rainwater właśnie wrócił.

On zaś ruszył w stronę schodów.

- Miłe panie, z radością zawiadamiam, że pożar ugaszono i że objął tylko jeden budynek. Pan Simpson poniósł bolesną stratę, ale na szczęście obyło się bez ofiar.

Siostry pomrukiem przyznały mu rację. W połowie schodów obejrzał się na Ellę.

- Przepraszam, że musiała pani czekać na mój powrót.

- I tak nie zamierzałam się kłąć. Dobranoc panu.

Była to najdłuższa godzina w życiu Elli, bo każda upływająca minuta była minutą bez niego. Martwiła się, że kiedy już dotarł do swojego pokoju, pewnie padł z wyczerpania i zasnął. Na myśl, że będzie musiała spędzić tę noc bez niego, omal znów nie zalała się łzami.

Nie poznawała samej siebie w tej histeryczce. Dwadzieścia cztery godziny wcześniej była kobietą powściągliwą, która wiedziała o każdym niesfornym kosmyku włosów wymykającym się z koka, która martwiła się, czy przyjęcie w prezencie książki nie jest aby niestosowne, źle się czuła, gdy pan Rainwater zwracał się do niej po imieniu, i nie chciała jeździć w jego samochodzie. A teraz się bała, że więcej nie zechce dzielić z nią łóżka.

Kiedy zapukał do drzwi, niemal przefrunęła przez pokój. Gdy otworzyła, wśliznął się do środka.

- Nie słyszały cię?

- Nie sędę.

Nagle onieśmielona, wstrzymując dech, próbowała dostrzec w ciemnościach jego postać. Kiedy jednak sięgnął po nią, przyciągnął do siebie, a ich usta się spotkały, nieśmiałość zniknęła bez śladu.

Ich pożądanie było tak silne, że nawet się nie rozebrali, więc ten gorączkowy akt wydawał się jeszcze bardziej zakazany niż

poprzedniej nocy, kiedy powoli, niemal nabożnie rozebrali się nawzajem, a potem weszli do łóżka. O dziwo, wtedy nagość była bardziej obyczajna niż teraz, gdy obłapiając się przez ubranie, wydawali jęki rozkoszy zmieszane z niezaspokojeniem.

Rozebrali się dopiero, kiedy było po wszystkim. Ale nagość na nowo obudziła ich żądze i nie mogli utrzymać rąk przy sobie. Gdy nasycili się pocałunkami, jego usta powędrowały do jej piersi. Objęła jego głowę i przytrzymała mocno. Żałowała, że nie ma mleka, którym mogłaby go nakarmić, dodać sił, wyleczyć.

Ten żal spadł na nią tak nagle, tak brutalnie, że zaszlochała.

- Nie zostawiaj mnie.

Uniósł głowę, dotknął jej policzków i poczuł łzy. Przytrzymała go kurczowo.

- Nie możesz. Nie wolno ci mnie zostawić.

- Ciii.

- Dobry Boże, błagam cię. - Przytuliła go mocno. Szalejąc z rozpaczy, pragnęła go tak trzymać na wieki. - Powiedz, że nigdy mnie nie zostawisz. Nie zniosłabym tego. Przysięgnij.

- Ciii, ciii. - Przyciskał ją do siebie, kołysał w ramionach jak dziecko i muskał ustami jej włosy. - Ello, nie prosź mnie o jedyną rzecz, jakiej nie mogę ci zapewnić. Gdybym tylko mógł... Ale akurat czas to jedyne, czego nie mogę ci dać.

Tulił ją, dopóki się nie uspokoiła. Kiedy ją w końcu odsunął na tyle, by móc na nią spojrzeć, odgarnął jej włosy z twarzy i przesunął kciukami po policzkach.

- Kocham po raz pierwszy i ostatni. I jest doskonale. Po prostu idealnie.

Miała wrażenie, że pęknie jej serce, nie mogła wykrztusić słowa, ale nie musiała nic mówić, by zrozumiał jej uczucia. On rozumiał wszystko.

Rano wstydziła się tego wybuchu. Prosiła go o coś niemożliwego do spełnienia i wiedziała, że jest równie zdruzgotany jak ona, ponieważ nie mógł sprawić, by jej gorące życzenie się ziściło. Ale rozpamiętując to i nieustannie ganiąc się w duchu za załamanie, marnowałyaby tylko czas, który im pozostał. Dlatego przestała o tym myśleć i skupiła się na cudzie, jakim była miłość do niego i kochanie się z nim. Miłość do niego uważała za najwspanialszy prezent.

Po śniadaniu zaproponował, że pomoże jej sprzątać, a ona nie oponowała. Nie dlatego, że pod nieobecność Margaret potrzebowała pomocy, tylko dlatego, że dzięki temu mogli przebywać w tym samym pomieszczeniu. Tak więc on pilnował Solly'ego, a ona zajęła się pobieżnymi porządkami. A zaledwie kilka dni temu przywiązywała wielką wagę do tego, czy stół jest wypolerowany na błysk i czy we wszystkich kątach jest pozamiatane.

Teraz jednak ważniejsze było dla niej co innego. Sprzątała tylko na tyle, żeby w domu nie było brudno, nic więcej. Nie zamierzała tracić czasu na szorowanie podłóg, skoro zamiast tego mogła patrzeć na Rainwatera. Bo tak naprawdę tylko tego pragnęła: przyglądać mu się, żeby na zawsze utrwalić w pamięci jego uśmiech, niesforny

kosmyk włosów, modulację głosu, każdą rzęsę i każdą linię na dłoniach.

Po lunchu upiekła dwa kurczaki, zrobiła sałatkę ziemniaczaną i ciasto na kolację przewidzianą po pogrzebie brata Calvina. Rainwater przez cały czas towarzyszył jej w kuchni, pomagał kroić mięso i warzywa. Solly bawił się przy stole.

Ella udawała, że... No cóż, udawała wiele rzeczy.

Gdy już przygotowała jedzenie, Rainwater poszedł się przebrać. Ella wystroiła siebie i Solly'ego w najlepsze niedzielne ubrania.

- No proszę, jaki z ciebie ładny kawaler, Solly! - zawołała panna Pearl, gdy Ella, trzymając go za rękę, weszła do saloniku, gdzie siostry słuchały radiowej transmisji koncertu.

Ella znów się nie mogła nadziwić, że nie zauważyły niczego niezwykłego, skoro wszystko było tak radykalnie inne. Zmiany, jakie się dokonały na skutek jej miłości do Rainwatera, były tak zasadnicze, że przecież nie mogły przejść niezauważone. Nawet kiedy byli osobno, czuła dotyk całego jego ciała, jakby odcisnęło na niej niezatarte piętno. Zastanawiała się, jak to możliwe, że inni tego nie widzą.

- Stół jest nakryty, pieczony kurczak leży na półmisku w kuchni - poinformowała siostry Dunne. - Sałatki ziemniaczana i ogórkowa, a także herbata są w lodówce. Jeśli o czymś zapomniałam, proszę, żeby się panie obsłużyły same. Talerze zostawcie na stole. Sprzątnę po powrocie.

- A ja wciąż mam wątpliwości, czy... wypada pani pokazywać się na tym pogrzebie - oświadczyła panna Violet z miną strofującej ucznia nauczycielki.

Siedziała z tak zaciśniętymi ustami, że Ella zastanawiała się, jak zdołała je otworzyć, żeby się odezwać.

- Siostra ma rację, pani Barron. To może być niebezpieczne - dodała panna Pearl, z niewiadomego powodu zniżając głos do szeptu.

- Z całą pewnością nic nam nie grozi.

Panna Violet westchnęła ciężko.

- No cóż, skoro uparła się pani, żeby tam iść...

- Owszem.

- ...to cieszę się, że u pani boku będzie pan Rainwater.

- Ja również się cieszę - odparła Ella.

Rainwater wszedł z koszem piknikowym i ciastem w pudełku. Wzięła od niego ciasto.

- Życzę paniom miłego wieczoru - rzekł, uchylając kapelusza, po czym zaprowadził Ellę i Solly'ego do swojego samochodu.

Przyjechali za wcześnie, ale kościół i tak już był pełen ludzi. Na ulicy na odcinku kilku przecznic w obu kierunkach stały samochody i wozy zaprzężone w muły. Wszystkie miejsca siedzące w świątyni były zajęte, zabrakło nawet stojących, więc ludzie tłoczyli się na dziedzińcu, zaglądali przez okna.

Wielu z tych, których Ella pamiętała ze slumsów, wolało zostać na dworze. Niektórzy biali najwyraźniej również podzielali zastrzeżenia sióstr Dunne w sprawie udziału w pogrzebie. Przyszli,

ale prawie cały czas trzymali się na uboczu, w jednej grupie. Elli zrobiło się milej na sercu, gdy pośród tych, którzy weszli do środka, dojrzała Olliego i Lolę Thompsonów oraz państwa Pritchettów.

Sądziła, że zważywszy na okoliczności śmierci pastora, w pobliżu będą czekać stróże prawa, gdyby w dzielnicy białych bądź kolorowych doszło do rozruchów, ale nie zauważyła nikogo w mundurze.

Rainwatera również zdziwiła nieobecność sił porządkowych.

- Szeryf jest za pan brat z przestępcami, więc przypuszczałem, że będzie się trzymał z daleka - skomentował ten fakt. - Ale dziwię się, że tak zrobił. Myślałem, że jednak zjawi się ze swoimi ludźmi, choćby tylko po to, żeby nas zastraszyć. Albo triumfować.

W otwartych drzwiach świątyni stanął Timmy i dał im znak, żeby weszli do środka, gdzie Margaret zarezerwowała dla nich dwa miejsca. Ella obawiała się, że wciśnięty między nią a Rainwatera Solly może się wystraszyć, ale gdy tylko zaczął się okładać rękami po uszach, co zapowiadało napad szaleńcy, Rainwater wyciągnął z kieszeni spodni garść pięciocentówek i rozsypał je na zniszczonej okładce śpiewnika. Solly natychmiast zajął się monetami i zaczął je układać po swojemu.

Ella uśmiechnęła się nad głową syna do Rainwatera, a on odpowiedział tym samym.

Była kiedyś na pogrzebie męża Margaret, więc nie dziwiło jej okazywanie żalu śpiewem. Młoda wdowa po bracie Calvinie była nieutulona w bólu. Chór śpiewał długo i głośno. Wyglądało na to, że

o wygłoszenie mowy poproszono wszystkich, którzy choćby przelotnie znali pastora, a kiedy ostatni mówca zszedł z ambony, każdy, kto miał ochotę, także mógł zabrać głos, z czego wielu skorzystało. Homilia występującego gościnnie pastora przerodziła się w długie kazanie.

Jakimś cudem Solly zachowywał się cicho i spokojnie, przez cały czas pochłonięty monetami. Bielizna Elli przesiąkła potem. Korzystała z wachlarza, który dostała przy wejściu, ale to nie wystarczało. Im bardziej przeciągało się nabożeństwo, tym bardziej wzrastał upał w kościele.

Ale jej niewygody były niczym w porównaniu z samopoczuciem Rainwatera. Najpierw zwróciła uwagę na to, że się wierci. Potem zauważyła, że często sięga pod marynarkę i łapie się za bok. Twarz mu pobladła i spływała potem, więc ocierał ją chusteczką, którą czasami przyciskał do ust.

Spostrzegł, że Ella go obserwuje, i uśmiechnął się do niej z otuchą.

- Zwykła kolka - powiedział bezgłośnie.

Jednak wiedziała, że to nieprawda. Mimo że podziwiała brata Calvina, pragnęła, by nabożeństwo skończyło się jak najszybciej, bo wtedy mogłaby zabrać Rainwatera do domu. Za wszelką cenę chciała namówić go na zastrzyk, żeby nie musiał znosić takiego bólu. Po drodze mogli zresztą wstąpić do doktora Kincaida.

Gdy tylko przebrzmiało ostatnie „Amen”, pokierowała Solly'ego do nawy, nie zważając na jego głośne protesty, kiedy zbierał monety.

- Zostawię jedzenie, które przywieźliśmy - powiedziała do Rainwatera, gdy zatrzymała ich ciżba żałobników blokujących wyjście. - Ale nie zostaniemy. Wracajmy do domu.

- Dlaczego? Solly się zdenerwował, bo nie znosi tłumy. Uspokoi się, kiedy wyjdziemy na zewnątrz.

- Nie o niego się martwię. Wiem, jak bardzo cię boli.

- Nic mi nie jest. - A widząc jej konsternację, ukradkiem ujął i ścisnął jej dłoń. - Dobrze się czuję, a jeśli nie zostaniemy, Margaret będzie urażona.

Tak więc zostali. Trumnę z ciałem brata Calvina wysłano do Houston, gdzie miał być pochowany. W cieniu drzew na kościelnym dziedzińcu ustawiono stoły. Rainwater przypilnował Sollyego, a Ella dołożyła jedzenie do tego, które przynieśli inni.

Ludzie ze slumsów zaczęli się rozchodzić, ale pan Simpson - diakon, którego budynek zniszczono poprzedniej nocy - wszedł na pniak i ogłosił, że zaprasza do stołów wszystkich, także tych, którzy niczego nie przynieśli. Ci, którzy przyszli z pustymi rękami, wahali się, w końcu jednak głód okazał się silniejszy od zakłopotania i ustawili się rzędem w kolejce.

- Nie taki dobry jak twój - powiedział Rainwater, gdy spróbował pieczone udko kurczaka. - Ale wieści szybko się rozchodzą. Półmisek, który ty przyniosłaś, jest już pusty.

Przeszli wzdłuż stołów, nakładając sobie jedzenie, po czym Ella rozłożyła koc na skrawku trawy w kącie dziedzińca. Rainwater jakby poczuł się lepiej. Nie pocił się już tak bardzo, chociaż twarz wciąż mu

trochę błyszcząca. Miał woskową cerę i białe obwódki wokół ust. Wyglądał tak jak wtedy, gdy znalazła go w łóżku, złożonego strasznym bólem.

- Nie jesteś głodna? - spytał, ruchem głowy wskazując jej talerz.

Prawie nie tknęła jedzenia.

- To pewnie przez ten upał.

Ale nie chodziło o temperaturę. To o niego tak się zamartwiała.

Przejrzał jej wykręt.

- Ello, nie przejmuj się mną.

- Nic na to nie poradzę.

- Kocham cię i za to, że tak się o mnie troszczysz, ale nie chcę, żebyś przeze mnie cierpiała. Nigdy.

Spojrzała mu głęboko w oczy.

- Cierpienie i tak mnie nie ominie - odparła ochryłym głosem.

Odłożył udko na talerz i spojrzał w dal.

- Wobec tego nie powinienem był się zjawiać u ciebie.

Wściekle pokręciła głową.

- Nie. O nie! To tak, jakby zrezygnować z przeczytania książki, bo smutno się kończy. Miałam wybór. - Nie dbając o to, czy ktoś na nich patrzy, wyciągnęła rękę i gładziła go po policzku, dopóki znów nie spojrzał jej w oczy. - Nie zrezygnowałabym z miłości do ciebie. Za żadne skarby świata.

Patrzyli na siebie, porozumiewając się bez słów, oderwani od otoczenia, nie zważając na to, co dzieje się wokół nich. Czar minął, gdy oboje jednocześnie zorientowali się, że Solly zaczął się wiercić.

- On chce do łazienki. - Ella wstała i wzięła syna za rękę.
- Gdzie jest najbliższa?
- Niestety, to wychodek na dworze za kościołem. Zaraz wracam.
- Posprzątam tu i spotkamy się przy samochodzie.

Zapadł już głęboki zmierzch. Pojawiły się gwiazdy. Księżyc wschodził nad dachami, wyglądał jak porcelanowy talerzyk. Tłum się wyraźnie przerzedził. Rozeszli się już nawet ci, którzy zostali, żeby poskładać stoły i zebrać naczynia i śmieci. Ella była tak bez reszty pochłonięta Rainwaterem, że nawet tego nie zauważyła.

Minęli ją Jimmy i Margaret w swoim przedpotopowym gruchocie. Margaret pomachała ręką i zawołała:

- Zobaczymy się jutro, przyjdę bladym świtem.

Poganiając syna, Ella prowadziła go za rękę wzdłuż kościoła na tyły budynku. Dwa wychodki stały dość daleko od świątyni. Jeden był przeznaczony dla mężczyzn, drugi dla kobiet. Ella wiedziała, że w obu będzie okropnie, i wzdragała się na myśl, że muszą tam wejść.

Za kościołem w cieniu wysokich krzewów było już całkiem ciemno. Zastanawiała się, czy nie puścić Solly'ego w krzaki, wiedziała jednak, że z powodu wrodzonej pedanterii będzie się wzbraniał. Poza tym nie chciała, żeby ktoś go zobaczył, jak sika na dworze.

Gdyby tak zrobił normalny chłopiec, ludzie przyjęliby to ze śmiechem - wiadomo, jak jest z dziećmi. Ale gdyby przyłapali na sikaniu Solly'ego, nie wiadomo, jakie konsekwencje mogłyby go spotkać. A

nuż zaczęliby gadać, że jest zboczeńcem, bo ma nie po kolei w głowie?

Gdy otworzyła liche drzwi wychodka dla kobiet, uderzył ją potworny smród. Wstrzymując oddech, wpuściła Solly'ego do środka. W klitce na szczęście było ciemno, ale utrudniało jej to rozpięcie spodenek syna. Kiedy już się z tym uporała, postawiła go przed dziurą. Nie obsikał deski, obyło się bez przygód.

Czym prędzej zapięła mu spodenki.

- Brawo, Solly. Brawo.

Musi pamiętać, że zaraz po powrocie do domu mają starannie wyszorować ręce mydłem. Albo u doktora Kincaida, jeśli uda jej się przekonać Rainwatera, żeby do niego wstąpił.

Z mocnym postanowieniem, że namówi Rainwatera na wizytę u lekarza jeszcze tego wieczoru, wypchnęła Sollyego z wychodka i szybko zamknęła drzwi.

- Hej, Ella!

Zaskoczona, odwróciła się gwałtownie. Stał tam Conrad Ellis, niedbale oparty ramieniem o ścianę wychodka. Do koszuli munduru miał przypiętą odznakę zastępcy szeryfa, a ze skórzanej kabury wystawał rewolwer. W mrocznym świetle jego znamię wydawało się czarne jak atrament. Z wykrzywionych w bezczelnym uśmiechu ust zwisał papieros.

Ruchem głowy wskazał małą klitkę.

- Czarnuchy to potrafią wszystko zasmrodzić, no nie?

- Co ty tu robisz?

- Jestem służbowo - oznajmił, stukając palcem wskazującym w kolbę niczym rewolwerowiec, który lada chwila sięgnie po broń. - Pilnuję, żeby czarnuchy nie dostały amoku.

Serce Elli łomotało szybko, ale zdawała sobie sprawę, że za nic nie może okazać po sobie strachu. Mocno złapała Solly'ego za rękę i szybko zaczęła się oddalać.

Ale Conrad nie zamierzał jej puścić. Zagroził drogę.

- Co się z tobą porobiło? Myślisz, że twoje gówno nie śmierdzi? Za dobra jesteś, żeby się miło przywitać ze starymi kumplami?

- A jeśli będę miła i się przywitam, zejdziesz mi z drogi?

Wyjął papierosa z ust, rzucił go w trawę, przydeptał obcasem i zrobił krok w jej stronę.

- Zależy.

- Od czego?

Łypnął na nią lubieżnie.

- Od tego, jak dalece będziesz miła.

Natychmiast zrozumiała, co miał na myśli. Otworzyła usta do krzyku, lecz on skoczył do przodu, pchnął ją na ścianę wychodka i zatkał jej usta ręką.

Coś gruchnęło na ziemię obok niej. Zdała sobie sprawę, że rzucając się na nią, Conrad przewrócił Solly'ego. Teraz przyciskał ją do ściany wychodka tak, że nie mogła poruszać rękami, ale wyciągała palce, bezskutecznie usiłując dotknąć syna, i jednocześnie próbowała oderwać rękę Conrada od swoich ust. Nie dałaby rady go pokonać, lecz gdyby zdołała krzyknąć, ktoś by ją usłyszał.

- Powinnaś być dla mnie miła, o wiele miłsza. - Przestał się hamować, teraz już dyszał jak zwierzę. - Tak miła jak dla tego twojego lokatora. Jak to jest, że jemu dajesz, a mnie nigdy nie dałaś, co? - Jego nieświeży oddech trącił whisky, ale nie mogła odwrócić twarzy.

Kiedy wolną ręką ścisnął jej pierś, zacharczała z oburzeniem, na co zaczął miętosić ją jeszcze bardziej brutalnie.

- Jak to jest, że wolisz tego bladego cherlaka ode mnie? Trzeba ci było chłopca, to powinnaś przyjść do mnie.

Udało mu się wepchnąć rękę między ich ciała i wsunąć między jej nogi. Próbowwała się opierać przed brutalnymi pchnięciami, ale nie miała się gdzie cofnąć, a przyciskał ją tak silnie, że nie mogła się też przesunąć w bok. Klamra kabury boleśnie wpijała jej się w brzuch.

Co z Sollym, czy nic mu się nie stało? Czy padając na ziemię, stracił przytomność? Próbowwała go dojrzeć kątem oka, lecz w polu widzenia miała tylko twarz Conrada, wykrzywioną z wściekłości i nalaną od alkoholu; w jego małych oczkach tliła się urażona duma i okrucieństwo.

Usłyszała, jak gdzieś niedaleko ktoś odpala silnik, gwizdże przenikliwie, a potem woła Conrada. Ale on albo nie usłyszał, albo miał to gdzieś. Stękając z wysiłku, nogą rozsunał jej stopy, tak że nie mogła złączyć nóg. Z przerażeniem spostrzegła, że gmera przy rozporku i nie mogąc go rozpiąć, mamrocze wściekle jakieś obelgi.

„To się nie dzieje naprawdę!" - krzyczało jej w głowie. Ale działo się i wiedziała, co Conrad jej zrobi, jeśli go jakoś nie powstrzyma.

Nagle przestała się szamotać, zwiotczała. Zaskoczony, zatoczył się do tyłu. Zaledwie o kilkanaście centymetrów i wciąż zakrywał jej usta, ale korzystając z jego chwilowego zaskoczenia, w ułamku sekundy z całej siły kopnęła go kolanem w krocze.

Otworzył usta, lecz zamiast krzyku wydał tylko cichy, bolesny jęk. Oburącz złapał się za krocze, opadł na kolana, a potem runął twarzą na ziemię. Ella zakryła twarz rękami, po części dlatego, żeby nie patrzeć i nie słuchać, jak zwija się z bólu u jej stóp, a także by zaczerpnąć powietrza, uspokoić łomotanie serca i wziąć się w garść.

Usłyszała ryk silnika pędzącego samochodu, pisk opon, pijacki rechot i bełkot jakichś mężczyzn. Banda Conrada. Zbliżali się. Musiała się ruszyć, uciekać, zanim zjawią się jego kumple. Ale jeszcze nie była w stanie nic zrobić. Potrzebowała kilku sekund, żeby pozbierać myśli.

- Ella?

Jej imię. Rainwater ją wołał. To jego kochany, wspaniały głos. Nawet zduszone charczenie Conrada nie zagłuszało tego cudownego dźwięku.

- Ella?

Conrad jęczał coraz głośniejsze.

I nagle rozległ się inny dźwięk. Niespodziewany trzask, mokre plaśnięcie przypominające odgłos pękającego dojrzałego melona.

Jęki Conrada ucichły w jednej chwili.

Ella oderwała dłonie od twarzy.

Conrad wciąż leżał na ziemi u jej stóp. Ale już się nie ruszał. Tył czaszki miał przepołowiony dokładnie na środku. W ciemności nie było widać kolorów, ale pofałdowana substancja w szczelinie błyszczała, a wypływający z niej płyn tworzył na ziemi kałużę tak czarną jak olej silnikowy oglądany w świetle księżyca.

Nad leżącym stał Solly z wielkim, zakrwawionym kamieniem w rękach.

Ella zakryła dłonią usta, ale i tak wydobywał się z nich jakiś dziwny dźwięk zdradzający krańcowe przerażenie. Opadła na kolana i patrzyła to na rozłupaną czaszkę Conrada, to na pogodną, anielską buzię syna.

- Ella!

Ujrzała, jak buty Rainwatera zaryły w ziemi obok nieruchomego ciała. Rainwater głośno wypuścił powietrze z płuc i ukląkł obok Sollyego. Ella patrzyła, jak wyjmuje z małych rąk jej syna kamień, który rozwalił głowę Conrada Ellisa. Dopiero wtedy spojrzała mu w twarz i przekonała się, że jest przerażony tak samo jak ona i tak samo nie wierzy własnym oczom.

- Brawo, Solly.

Odwrócili się jak na komendę i z przerażeniem spojrzeli na chłopca, który wypowiedział te słowa. Patrzył na spustoszenie, jakiego dokonał, nie rozumiejąc z tego nic poza tym, że to koniec cierpienia, i powtarzając słowa pochwały, które ostatnio tak często

słyszał. Słowa, które przedarły się do jego świadomości, utrwaliły w pamięci, a teraz wykrzykiwał je na cały głos.

- Brawo, Solly! Brawo, Solly! Brawo, Solly!

- O Boże! - Ella podczołgała się do syna, przycisnęła go i wtuliła jego twarz w swoje piersi, żeby stłumić obciążający go potok słów. Latami czekała na dzień, kiedy się odezwie, kiedy go usłyszy, a teraz chciała wygłuszyć jego słodki głos, uciszyć, żeby nie został skazany.

- Ciii, Solly. Cicho. Nie, kochanie, nic nie mów.

Z ulicy przed kościołem dobiegły ich krzyki, śmiechy, trzask drzwi samochodu, brzęk tłuczonego szkła, tupot stóp. Spoza drzew błysnęły latarki.

- Conrad! - zawołał ktoś śpiewnie. - Gdzie jesteś?

- Wyłaź, chodźże tu!

- Chodź, spuścimy czarnuchom łomot!

Solly zaczął wrzeszczeć, próbował wyrwać się matce. Okładał się dłońmi po uszach, machając nimi jak ranny ptak skrzydłami. Ella gorączkowo spojrzała nad jego głową na Rainwatera. Ich oczy spotkały się na kilka sekund.

A potem on zrobił coś bardzo dziwnego. Zanurzył ręce w kałuży krwi, która zebrała się pod głową Conrada. Ella w osłupieniu patrzyła, jak wstał powoli, z kamieniem w rękach, i odwrócił się do nadbiegających mężczyzn, którzy wypadli zza rogu kościoła. Przewodził im szeryf.

Jeden z mężczyzn zatrzymał się raptownie kilka metrów od nich.

- Co jest, kurde? Conrad!

Teraz i pozostali zobaczyli, dlaczego ich kompan leży bez ruchu. Każdy wlepił wzrok w Elle, Solly'ego i Rainwatera, próbując pojąć to, przeciwko czemu buntował się jego rozum.

Nagle jednocześnie rzucili się do przodu, miotając przekleństwa. Dwaj obalili Rainwatera, przygnietli go do ziemi i zaczęli okładać pięściami po twarzy.

- Nie! Stójcie! - krzyknęła Ella. - Zostawcie go!

Ale nikt jej nie słuchał. Byli jak wściekłe psy toczące pianę z pyska, czekając na swoją kolej, by dobrać się do Rainwatera.

- Dość! Dość tego! - Szeryf Anderson przepchnął się do przodu i zaczął odpychać tamtych, aż w końcu zrzucił ostatniego z nich z Rainwatera, którego chwycił pod pachy i poderwał.

Ten jednak nie był w stanie ustać o własnych siłach, więc dwaj mężczyźni przytrzymali go, a szeryf skuł mu kajdankami zakrwawione ręce na plecach. Głowa Rainwatera opadła na pierś. Z ust ciekła strużka krwi. Chwiał się na nogach.

Do Elli w końcu dotarło, co się dzieje. Załkała cicho, a potem wychrypiała:

- Nie.

Szeryf odwrócił się do niej.

- Jeden z moich ludzi odwiezie panią i pani syna do domu. Zostaną z wami, dopóki nie wsadzę tego typa za kratki. A potem przyjadę was przesłuchać.

- Nie! Pan Rainwater nic złego nie zrobił.

- Ello.

- To nie...

- Ello.

Spojrzała wściekle na człowieka, który wypowiadał jej imię tak jak nikt inny. Teraz trzymał głowę prosto. I patrzył na nią.

- Posłuchaj szeryfa - powiedział spokojnie. - Tak właśnie należy zrobić.

Kiedy tam stała, zasapana, i łkała, powoli uświadomiła sobie, co on zamierza zrobić. Gwałtownie pokręciła głową.

- Nie!

Był równie spokojny, jak ona zrozpaczona.

- Będzie dobrze.

Spojrzała na Sollyego, który uspokoił się i już nie krzyczał, odkąd go puściła, ale nadal uderzał się rękami w skronie i szeptał:

- Brawo, Solly.

A potem spojrzała na mężczyznę, który dotknął jej syna, dotarł do niego tak blisko jak nikt inny, nawet ona. Spojrzała na mężczyznę, który dotarł do niej. Jego twarz się rozmyła, gdy łzy napłynęły jej do oczu.

Jeszcze raz pokręciła głową i wydusiła słabo:

- Nie, nie.

W jego oczach nigdy nie malowała się taka powaga. A już z pewnością nigdy nie było w nich tyle miłości. Powoli skinął głową. Poruszył ustami, a ona odczytała z jego warg: „Tak”.

Epilog

Umarł, zanim zdążyli wykonać wyrok.

Przez bitą godzinę małżeństwo słuchało bez ruchu. Zmierzchało, ale nikt nie zwracał uwagi na upływ czasu. Kobieta pochlipywała. Mąż podał jej chusteczkę. Podziękowała mu i z wdziękiem wytarła nos.

- Ten zegarek kieszonkowy należał do niego? - spytała. - Do Rainwatera?

Antykwariusz skinął głową.

- Poprosił doktora Kincaida, żeby kazał wygrawerować na nim datę, kiedy doktor przyprowadził go do domu mojej matki i ich sobie przedstawił. - Przesunął palcami po wyrytych w złocie cyfrach. - Tego wieczoru, kiedy szeryf go aresztował, widzieli się po raz ostatni.

- Jak to, nie przyszła na jego proces? - zdziwiła się kobieta.

- Obyło się bez procesu. Przyznał się do winy. Przebywając w więzieniu, nie zgadzał się na jej odwiedziny. Nie chciał, żeby tak go zapamiętała. Pisywali do siebie listy, a doktor Kincaid je dostarczał.

- Jak długo żył? - zapytał mężczyzna.

- Pięć tygodni. Nie cierpiał zbyt długo.

Kobieta ujęła dłoń męża i ścisnęła ją mocno.

- Pańska matka prawdopodobnie cierpiała o wiele dłużej niż on.

- Za wszelką cenę chciała się z nim zobaczyć, ale z czasem zrozumiała, że jak zwykle to on miał rację. Powiedziała mi, że nie przeżyłaby, gdyby musiała patrzeć, jak on umiera.

- Czy udało jej się z tego otrząsnąć?

- Po jego śmierci z zaskoczeniem dowiedziała się, że zapisał jej cały majątek. Gdy czasami urywał się z domu, nie zawsze wychodził na spotkania z Olliem Thompsonem i bratem Calvinem. Porządkował też swoje sprawy.

Staruszek się uśmiechnął.

- Matka wyprzedzała swoją epokę i zrobiła ze spadku dobry użytek. Najszybciej jak się dało zamknęła pensjonat i przenieśli się na północ Teksasu, gdzie założyła nowe plantacje bawełny na ziemi Rainwatera. Zbierała ją, odziarniała, sprzedawała. I pośredniczyła w sprzedaży plonów innych plantatorów, tak jak kiedyś on to robił.

Kilka lat później przeznaczyła zyski na budowę zakładów tekstylnych. Zbiła pokaźny majątek i cieszyła się powszechnym szacunkiem. Dostała... o, nawet nie pamiętam, ile nagród i wyróżnień. Za wybitne osiągnięcia w biznesie, jako obywatelka roku, takie tam pochwały.

- Niesamowite - mruknęła kobieta z podziwem.

- Była niesamowita, to prawda. - Staruszek znów tęsknie pogłaskał zegarek. - Kiedyś mi powiedziała, że pewien mężczyzna musiał umrzeć, żeby nauczyć ją, jak ma żyć. Przed Rainwaterem żyła w więzieniu, na które sama się skazała. On ją uwolnił. Pod każdym względem.

- On też był na swój sposób niesamowity - zauważył mężczyzna.

- Był niewinny, a umarł jako skazaniec. Zdaję sobie sprawę, że i tak

nie pożyłby długo. A jednak było to olbrzymie poświęcenie z jego strony. Dla pana.

Staruszek obrzucił ich zdziwionym spojrzeniem. Nagle zdał sobie sprawę, że to oni się pogubili.

- Przecież on się poświęcił dla Solly'ego.

- Ale... a pan nie... Antykwariusz pokręcił głową.

Kobieta zerknęła na wizytówkę, którą od niego dostała.

- Zakładałam, że... Pański sklep nosi nazwę...

- Na cześć mojego brata. Ja mam na imię David. David Rainwater Barron.

Spojrzeli na niego z konsternacją.

- Pan jest jego synem? - szepnęła kobieta.

- Tak.

Znów się rozplakała, tym razem z radości. Mąż objął ją ramieniem.

- A co się stało z Sollym? - zapytała.

- Po przeprowadzce na północ stanu matka zgłosiła się do szkoły w Dallas, która cieszyła się znakomitą reputacją. Tam przyjęli jej syna. Nie potrafiła się z nim rozstać, ale wiedziała, że to dla niego najlepsze wyjście. Tej nocy, kiedy zginął Conrad Ellis, pękła bariera językowa. W końcu Solly nauczył się mówić prawie normalnie, czasami tylko brakowało mu jakiegoś słowa czy zwrotu.

- Czy on pamiętał albo wiedział...

- Co zrobił? Nie. Matka nigdy nie obciążyła go brzemieniem prawdy.

- A nauczył się czytać, jak na to liczyła?

- Owszem. Rozwiązywał zagadnienia matematyczne, na których najtęższe umysły łamały sobie zęby, i projektował skomplikowane modele budynków i mostów, ale nigdy nie wykorzystał swoich umiejętności w praktyce. Może teraz, kiedy nauka poszła do przodu i o autyzmie wiemy o wiele więcej, byłoby to możliwe. Ale wtedy jego choroba nie miała nawet nazwy, doczekała się jej dopiero w połowie lat czterdziestych.

Kiedy wyrósł z wieku szkolnego, matka kupiła mu dom. Miał do pomocy kogoś, kto się nim zajmował, gdy matka pracowała. I żył szczęśliwie aż do śmierci. Zmarł nagle, w wieku trzydziestu dwóch lat, na wadę serca, której wcześniej u niego nie stwierdzono.

Oczywiście, oplakiwaliśmy go. Kiedy nie mogłem się pogodzić z jego śmiercią, matka przypominała mi, że Solly żył o wiele lepiej, niż mogłaby sobie wymarzyć, i że zawdzięcza to wyłącznie Rainwaterowi. On wiedział, co by czekało Solly'ego, gdyby go posądzono o zabójstwo Conrada Ellisa. Odebraliby go matce i zamknęli w szpitalu dla umysłowo chorych przestępców, gdzie prawdopodobnie do końca życia byłby brutalnie wykorzystywany. W tej ostatniej chwili, kiedy byli razem, mój ojciec uświadomił matce, że jedynie poświęcając siebie, daje nadzieję na godziwe życie dla Solly'ego.

Przez pewien czas małżeństwo milczało. W końcu mężczyzna zerknął na zegarek.

- Musimy się zbierać. - Podał staruszkowi rękę. - To było fascynujące popołudnie. Dostaliśmy o wiele więcej, niż się spodziewaliśmy, decydując się na wstąpienie do pana.

Antykwariusz wyszedł zza lady i odprowadził ich do drzwi. W progu kobieta uściskała go spontanicznie, sprawiając mu tym wielką przyjemność.

- Do widzenia - powiedziała. - Miło było pana poznać.

- I wzajemnie. Do widzenia.

Byli już prawie przy swoim samochodzie, gdy nagle kobieta zawróciła.

- A czy pan Rainwater wiedział o panu?

Staruszek się uśmiechnął.

- Doktor Kincaid zawiadomił go o tym zaledwie na kilka godzin przed śmiercią. Mimo że był już bardzo osłabiony, napisał list do mojej matki. Nigdy się z nim nie rozstawała, zawsze nosiła go przy sercu. I list, i Rainwatera.

A widząc nieme pytanie w ich oczach, pokręcił głową.

- Opowiedziała mi wszystko to, co ja wam opowiedziałem, ale nigdy nie zdradziła mi treści tego listu. Jestem pewien, że był jej zbyt drogi, żeby chciała się nim dzielić z innymi. Pochowano ją z nim i z egzemplarzem *Pożegnania z bronią*, który dostała od mojego ojca.

Spojrzał na chronometr spoczywający na jego dłoni i mocno zacisnął na nim palce.

- A jego zegarek dała mnie.